

Zmysty... zmysty...



TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

Zmysły... zmysły...

ZMYSŁY... ZMYSŁY...

Wróciwszy w tym roku z urlopu, czułem, jak zawsze po powrocie z urlopu, przerażającą pustkę w głowie. Próbowałem wszystkiego, aby pobudzić ospałą myśl: odbywałem forsowne¹ spacerki, leżałem na kanapie z głową nisko, a nogami wysoko — nic. Zażywałem kolę², zażywałem hormosperminę (ekstrakt jąder byka, znakomite podobno na intelekt) — nic. Szukając deski ratunku, zapisałem się do kółka samokształcącego, którego każdy członek obowiązuje się, wzorem dawnych filomatów³, przeczytać i zreferować jedną książkę na miesiąc. Wierzajcie mi: przeczytać jedną książkę na miesiąc, to jest bardzo trudno. Jak wybrać: czemu tę a nie inną? — skoro ze wszystkich tylko tę, to już w ogóle nie warto żadnej... Tak wahając się, wszedłem do księgarni; postanowiłem zamknąć oczy, wyciągnąć rękę i wybrać na los szczęścia. Trafiłem na *Don Juana* Delteila⁴. Skrzywiłem się: nie lubię Don Juana, to dobre dla snobów. Co na ten temat można jeszcze powiedzieć? Od czasu tezy psychoanalityka-dramaturga, zdaje się Lenormanda, że don Juan był nieświadomym pederastą⁵, który, rzecz prosta, zmieniał kobiety, bo nie mógł znaleźć w nich smaku, jakaż jeszcze koncepcja zdoła zafrapować? Rad byłem natomiast z nazwiska autora: słyszałem o Delteilu wiele, a nic jeszcze jego nie czytałem. I oto, biorąc książkę do ręki, spostrzegłem koło niej drugą, p.t. *Delteil tout nu* (coś niby po naszymu *Delteil na goło*), pióra Maryse Choisy⁶. Pomyślałem sobie: wezmę i tę, będzie *a conto* na drugi miesiąc. Zwłaszcza, że tej Maryse (po naszymu Maryśka) Choisy coś znałem: prawda, to ona napisała *Un mois chez les filles — Miesiąc u dziewcząt* — wielki sensacyjny reportaż, dla którego zebrania autorka, młoda doktorka filozofii, wstąpiła, jako służąca, na miesiąc do domu publicznego studiować tam życie. Nie wystudiowała nic specjalnie ciekawego, ale narobiła wiele hałasu i zgorszenia, tak że przerobiono ten *Miesiąc u dziewcząt* na sztukę teatralną, nawet zabronioną przez policję. Z książki Maryse Choisy o Delteilu dowiedziałem się, że ta badaczka domów publicznych jest — jak i Delteil zresztą — programową „katoliczką”, bodaj czy nie *dzieckiem Marii*. To jest osobliwa rzecz z katolicyzmem literatów we Francji: faktem jest, że trzy czwarte książek tych neo-katolików powinno by się znajdować na indeksie, gdyby indeks miał czas interesować się bieżącą literaturą. Ma to swoje poważne tradycje: od Barbeya d’Aureville⁷ i Huysmansa⁸, którym zresztą Delteil poświęca swego *Don Juana*. Książka ta przesycona jest żarem zmysłów, mimo że p. Maryse broni gorąco swego umiłowanego Delteila od zarzutu deprawacji, pisząc: „Nigdy nikt nie onanizował się po książce Delteila”. W ogóle formy, w jakich ta Maryse Choisy (która się najwyraźniej w nim kocha) śpiewa swoje uwielbienie dla Delteila, są dość ory-

Narkotyki

Książka

Religia, Książka

¹forsowny — intensywny. [przypis edytorski]

²kolę — zawierająca kofeinę roślina uprawna, stosowana w produkcji napojów orzeźwiających i alkoholowych. [przypis edytorski]

³filomaci — tajne stowarzyszenie studentów i absolwentów Uniwersytetu Wileńskiego, którego pierwotnym celem było samokształcenie, pomoc w nauce i ćwiczenie się w sztuce pisarskiej. [przypis edytorski]

⁴Delteil (1894–1978) — pisarz francuski. [przypis edytorski]

⁵pederasta — homoseksualista. [przypis edytorski]

⁶Choisy, Maryse (1903–1979) — francuska pisarka, zwolenniczka psychoanalizy. [przypis edytorski]

⁷Barbey d’Aureville, Jules Amédée (1808–1889) — francuski pisarz, poeta i krytyk, uważany za prekursora dekadentyzmu. [przypis edytorski]

⁸Huysmans, Joris-Karl — właśc. Charles-Marie-Georges Huysmans (1848–1907), francuski pisarz, początkowo naturalista, później autor prowokacyjnych obyczajowo powieści, kojarzonych z dekadentyzmem. [przypis edytorski]

ginalne: „Jest to inteligencja czysta, nie na sposób tego eunucha⁹ Kanta, ale na sposób Boga” — pisze ta fanfaronka¹⁰ (od słowa *fanfara*) katolicyzmu.

Mimo to, książka jej musiała mieć widocznie jakiś fluid¹¹, bo pod jej wpływem sprowadziłem sobie całego Delteila. I nie żałuję. Cóż za wirtuoz stylu! Co za orgie słów; skojarzeń, sparzeń, kopulacji słów! Mały, kilkanaście stronic liczący fragmencik *Koty paryskie* jest czymś olśniewającym.

Tylko wciąż ta nieznośna bufonada „neo-katolicka”! To także jest charakterystyczne dla neo-katolików: łączą wyrafinowaną zmysłowość z jakąś paradą samoogłupienia à la Pascal¹². „Dzielię ludzi (pisze Delteil) na trzy kategorie: katolików, idiotów i bandytów, ponieważ każdy, kto, nie wierząc w Boga, jest uczciwy, jest idiotą”...

Mówi to z taką stanowczością, że człowiek nie śmie nawet spytać o los kalwinów, których podobno we Francji jest sporo...

Ale nie o tym miałem pisać. Właściwie, punktem wyjścia moich refleksji było to, iż, czytając książkę Maryse Choisy o Delteilu, trafiłem na następujące zdanie: „Kwestia podświadomości w sztuce staje się zatem w metafizyce zagadnieniem głębszym, zagadnieniem bardzo nowoczesnym: wielością rzeczywistości”.

Podskoczyłem na krześle: cóż ta dziewczucha okradła naszego Chwistka¹³ z jego terminologii? Ale nie: pani Maryse jest lojalna. Spostrzegam przypisek: „Czytaj w tej kwestii Bertranda Russella¹⁴, Macha, i Leona Chwistka (pisze go: *Chwistec*), który miał na ten temat interesujący referat na kongresie filozoficznym w Neapolu w r. 1924”.

Mój Boże, zacerwieniłem się ze wstydu. Toż mam w szufladzie od roku *Wielość rzeczywistości* Chwistka, ofiarowaną mi przez samego autora, i trzebaż było dopiero, aby przypisek spotkany we francuskiej książce przypomniał mi, że jej dotąd nie otworzyłem. Widzę, kochany analfabeto, który mnie czytasz, zdumienie na twojej twarzy: kto to jest w ogóle Chwistek? Wstydyż się, dzikusie. Leon Chwistek, malarz, matematyk i logik, autor zajmującej tezy filozoficznej, znanej powagom europejskim, jest w świecie intelektualno-artystycznym postacią nader popularną. Urzędownie jest docentem czy profesorem uniwersytetu lwowskiego. Jest teoretykiem nowych szkół malarskich. Czci go Tadeusz Peiper¹⁵, St. Ign. Witkiewicz¹⁶ uważa Chwistka za „najtęższego logika w Europie”, mając zarazem jego teorię za wierutny nonsens.

Ale znów nie o tym chciałem mówić. Chciałem mówić o *Wielości rzeczywistości*. Rozwijam pakiet, i oto co uderza moje oczy: akwarela, którą pozwałam sobie tu reprodukować.

Przypomniało mi się, jak żywe, owo popołudnie, spędzone w domu Chwistka. Rozmawialiśmy o rzeczach literackich czy filozoficznych. Obcowanie z tą bogatą inteligencją jest prawdziwą rozkoszą. Równocześnie oko moje błędziło po ścianach. Uderzyła mnie dziwna zmysłowość, bijąca z porozwieszanych obrazów: spytałem artysty, czy to są jego ostatnie prace. Ożywił się: wyjął tekę, jedną, drugą, trzecią, przesunął przed moimi oczami — więcej niż bez osłonek — cały seraj¹⁷ odurzających piękności. Spojrzałem na Chwistka: oczy jego błyszczwały, cała twarz miała coś uduchowiono-zwierzęcego. Piękna żona artysty, milczący świadek tej sceny, spoglądała na niego życzliwie. „Niech pan zachowa ten obrazek na pamiątkę” — rzekł Chwistek i zawinął mi akwarelę wraz z egzemplarzem *Wielości rzeczywistości*, z którą do dziś dnia przetrwała w moim sekretarzyku¹⁸.

⁹eunuch — kastrat. [przypis edytorski]

¹⁰fanfaronka — dosł.: osoba zarozumiała. [przypis edytorski]

¹¹fluid — według spirytystów: energia psychiczna. [przypis edytorski]

¹²Pascal, Blaise (1623–1662) — francuski filozof i matematyk, po 1654 porzucił nauki ścisłe na rzecz filozofii i teologii. Najważniejszym jego dziełem literackim są *Mysli*. [przypis edytorski]

¹³Chwistek, Leon (1884–1944) — artysta, matematyk i filozof, czołowy teoretyk awangardowej grupy formistów. [przypis edytorski]

¹⁴Russell, Bertrand (1872–1970) — brytyjski filozof, matematyk i logik, a także działacz społeczny i eseista, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury (1950). [przypis edytorski]

¹⁵Peiper, Tadeusz (1891–1969) — polski poeta awangardowy, krytyk i teoretyk sztuki, założyciel czasopisma „Zwrotnica” i autor hasła „Miasto-masa-maszyna”. [przypis edytorski]

¹⁶Witkiewicz, Stanisław Ignacy (1885–1939) — malarz, fotografik, pisarz, dramaturg, filozof i teoretyk sztuki, twórca Teorii Czystej Formy, znany z ekscentrycznego stylu życia. [przypis edytorski]

¹⁷seraj — pałac władcy w krajach muzułmańskich. [przypis edytorski]

¹⁸sekretarzyk — biurko z umieszczonym na jego blacie elementem zawierającym szufladki. [przypis edytorski]

A teraz kwestia godna zastanowienia. Jaki związek istnieje między tymi akwarelami Chwistka a jego filozofią, logiką, matematyką, i czy w ogóle istnieje? Sądzę, że najściślej; że to są po prostu różne formy emanacji tej samej istoty; tylko że w obecnym stanie nauki nie ma sposobów ustalenia i zbadania tych związków. Ale, z drugiej strony, nie ma powodu wątpić, że kiedyś stanie się to rzeczą dostępną i łatwą; że da się transponować¹⁹ objawy ducha na dowolną formę. Wówczas może niejedna teza matematyczna czy metafizyczna, przetransponowana w ten sposób, będzie przypominała kolekcję pornograficznych pocztówek.

Zmysły, wszędzie zmysły! Trafiam na książkę sztandarowego katolika — orgia zmysłów! Biorę do rąk apologię jego czystości: autorką jej — reporterka *Miesiąca u dziewcząt*. Ta autorka *Miesiąca u dziewcząt* przypomina mi pracę filozoficzną naszego pisarza, i oto ta *Wielość rzeczywistości*, gdy ją wyjmuję z opakowania, nastrecza mym oczom widok zdolny rozplomienić pożar w sercu najbardziej zużytym. Zmysły, wszędzie zmysły! Czy nigdzie im nie ujdę, czy nigdzie się przed nimi nie schronię? Jako odtrutkę biorę do ręki ostatnią pociechę mego życia, Jakuba Wojciechowskiego *Życiorys własny robotnika*, którego rzeźwa prostota wróży krynicę²⁰ duchowego zdrowia. Otwieram i czytam, przebóg!

„I zaledwie zem się rozewlek i do łóżka wsed, to zem zapomniał światło zakręcić, bo my tam mieli światło elektryczne, to zem musiał jeszcze raz wyjść z łóżka i światło zakręcić. I kiedy zem po raz drugi wsed do łóżka i zaledwie zem się położył, to już moja gospodyni drzwi otwarła i sie do mego pokoju pakowała. I jeno²¹ miała na sobie ładny biały spodnik, i już go ze siebie zwlekła i do mego łóżka wchodzi. I ja zem się też do ściany dali poszuwnuł i ona się do mnie położyła. I mnie to się zimno i gorąco odrazu zrobiło, ale już mi się jakoś moja ręka pod jej szyje dostała i ona mówi do mnie, że już dawno też ty sposobności nie miała we dwóch spać. I już i mnie też ta miłościwa gorączka wziena i do ni mówię: No to pewnie zaczemy. A ona to mi odpowiada: *Na denn loss*²²...”

To już istne urzeczenie: zmysły, wszędzie zmysły! Zstąpcie, płomienie z nieba, i pochłońcie tę Sodomę²³!

WALKA O REFORMĘ SEKSUALNĄ

Leżą przede mną dwa grube tomy sprawozdania z dwóch ostatnich kongresów Światowej Ligi Reformy Seksualnej, w Londynie i w Wiedniu. Miałbym ochotę o nich pomówić, ale widzę na twarzy niejednego czytelnika zdumienie. Co to znów za reforma seksualna? Co tu jest do reformowania?

Chcesz wiedzieć, co to jest reforma seksualna? Spójrz dokoła siebie. Życie przeprowadza ją co dzień. Sam powiedz, czy podobne jest do tego, jakie było przed kilkunastu laty? Idź na plażę, do kawiarni, spójrz na taniec, na strój kobiecy, posłuchaj rozmów. I spróbuj potem wziąć do ręki powieść sprzed lat dwudziestu, zajść do teatru na przedwojenną sztukę. Jakże absurdalny, jak niepotrzebny wyda się niejednenajdramatyczniejszy konflikt bohaterów! Ewa i Łukasz z *Dziejów grzechu*²⁴ siedzieliby dziś przytuleni do siebie w łóżce w Adrii²⁵, zamiast żeby on miał jechać po rozwód do Rzymu, zostawiając ją w małym miasteczku, bez grosza, w ciąży, na pastwę rozpaczy i zbrodni.

Zatem zwyczajstwo nowych form życia, sielanka? No... niezupełnie. Bo oto ulice wciąż pełne są prostytutek szczutych przez tajną policję, która równocześnie z nich żyje. Wciąż zachodzą jeszcze do domów publicznych bogobojni młodzieńcy, szanujący dziewczycą cześć swej narzeczonej i w rezultacie często dokumentujący ten szacunek wniesioną w małżeństwo chorobą weneryczną. Wciąż zdarza się, że bezdomna dziewczyna dusi dziecko i idzie przed sąd przysięgłych, w którym może zasiadać jej uwodziciel, ale w którym nie ma ani jednej kobiety. Wciąż nikt nie uświadamia młodego chłopca ani nim nie kieruje,

¹⁹transponować (z łac.) — przekładać. [przypis edytorski]

²⁰krynica — źródło. [przypis edytorski]

²¹jeno — tylko. [przypis edytorski]

²²Na denn loss (niem.) — no chodź. [przypis edytorski]

²³Sodoma — biblijne miasto, położone nad Morzem Martwym, które Bóg spalił deszczem ognia i siarki, karząc mieszkańców za rozpustę. [przypis edytorski]

²⁴Dzieje grzechu — powieść Stefana Żaromskiego z 1908 roku, uznawana za skandalizującą. [przypis edytorski]

²⁵Adria — słynny warszawski lokal, otwarty w r. 1931. [przypis edytorski]

ale gdy znajdą u niego bądź podejrzaną chorobę, bądź też... środek ochronny, wyrzucają go ze szkoły. Rozwody są zjawiskiem najpotoczniejszym, ale za cenę — nie mówię już oszustw, krzywoprzysięstwa lub zmiany religii, bo ta cena mogłaby się komu wydać dość przystępna — ale za cenę grubych pieniędzy, które, jak wiadomo, nie wszyscy mają do rozporządzenia. Kobieta niezamężna lub opuszczona przez męża może usychać z tęsknoty za macierzyństwem, konwenans nie pozwoli jej mieć dziecka; ale w tym samym domu, w suterynie²⁶, inna kobieta rodzi piętnaście razy, rok po roku, rodzi i grzebie, grzebie i rodzi, zmieniając dom dla siebie i dla swoich bliskich w piekło. Nieślubne dzieci, wyzute²⁷ z praw, napiętnowane wzgardą, wciąż pomnażają armię zbrodni. Lekarzowi, pod grozą złamanej egzystencji i kary więzienia, nie wolno ratować od samobójstwa nieszczęśliwej, ale w zamian za to przemysł spędzania płodu w najokropniejszych warunkach uprawiają bezkarnie legiony babek...

Można by ciągnąć ten rejestr bardzo długo jeszcze; ale i to może wystarczy, aby wskazać, że nie wszystko dzieje się najlepiej i że zostało jeszcze coś nie coś do „zreformowania”. I nic dziwnego chyba, że znaleźli się ludzie, którzy zadają sobie pytanie, w imię czego ludzkość tak pastwi się sama nad sobą i czy nie dałoby się zaradzić czegoś na te jej niedole. Tak powstała *Światowa Liga Reformy Seksualnej*.

Rozwój tej młodej organizacji jest bardzo znamienity. Gdy zawiązała się w Berlinie w r. 1920, reprezentowało ją kilka jednostek. Osiem lat upłynęło, zanim odbył się w Kopenhadze w r. 1928 drugi kongres przy udziale trzydziestu osób. Następny w Londynie skupił ich już dwieście, w tym szereg znakomitych uczonych i pisarzy; ostatni, w Wiedniu, liczył z górą dwa tysiące uczestników. Reprezentowane były tam wszystkie kraje, od Islandii po Japonię; Włochy Mussoliniego i Rosja sowiecka, Czechosłowacja i Hiszpania, Anglia i Niemcy. *Nie było tam — rzecz charakterystyczna — tylko Polski*.

Rozdźwięki między życiem płciowym a oficjalną etyką i pisanim prawem istniały zawsze. Poza codziennymi katastrofami w życiu, objawiały się one — w literaturze. Pisarze bywali tu pionierami nowych pojęć. U nas, co prawda, mniej niż gdziekolwiek. W okresie tworzenia się nowoczesnych społeczeństw — cały wiek XIX — wielcy pisarze nasi byli tak pochłonięci zagadnieniami bytu narodowego, niepodległości, trwania, że niewiele uwagi mogli poświęcić tej polityce najbardziej „wewnętrznej”. Tak samo i społeczeństwo. Pojęcia, o które gdzie indziej toczą się walki od dziesiątków lat, u nas ledwo zaczynają świtać. Tym można sobie poniekąd tłumaczyć brak udziału Polski w tej światowej Lidze i brak analogicznej organizacji u nas, mimo że skądinąd sytuacja nasza tym bardziej zdawałaby się jej sprzyjać. Czyż nie jesteśmy w fazie tworzenia podstaw naszej przyszłości, układania kodeksów i paragrafów? Mniej skrępowani przeszłością, tym bardziej powinniśmy wyteńczyć słuch na wołania życia.

Mniej skrępowani? Tak by się zdawało. Na gruncie nieprzeoranym przez pisarzy tym obficie pleniły się obłuda i konwenans, którym zabiedzone i nieśmiałe społeczeństwo nauczyło się zbyt wiele poświęcać.

Przyczyn, dla których reforma seksualna teraz właśnie dojrzała do roli czynnej, można by wyliczyć wiele.

Wojna, która, siłą rzeczy, jest najostrzejszą rewizją wszystkich konwenansów obyczajowych, spowodowała głębokie zmiany, których już cofnąć się nie da. Usamodzielnienie kobiet, rozszerzenie sfery ich pracy i zarobkowania. Demokratyzacja społeczeństw, rosnąca śmiałość i poczucie praw do życia w masach. Renesans ciała ludzkiego. Postępy w opanowaniu ciąży. Nauka wreszcie, która coraz więcej wagi przyznaje sprawom seksualnym, przesuując je w nieznane wprzód sfery podświadomości.

Przewrót pojęć odbywa się tak szybko, że prawa nie mogą mu nadążyć. Często prawo odgrywa wręcz rolę smutną i pocieszną razem: bezsilne, aby coś pomóc, ma dość siły, aby szkodzić. Nie uleczy np. prawo ani jednego homoseksualisty, ale pomnaża ich liczbę o kadry „normalnych” spekulantów, wyzyskujących paragrafy do celów szantażu. Nie zapobiega ani jednemu poronieniu, ale sprawia, że odbywają się one w najopłakańszych warunkach. Same prawa znajdują się zresztą pod naciskiem innych czynników. Tak np. gotowy od dawna projekt polskiego ustawodawstwa małżeńskiego spoczywa od paru lat

²⁶suteryna — dziś: suterena, tj. kondygnacja mieszkalna poniżej parteru. [przypis edytorski]

²⁷wyzuty z czegoś (daw.) — pozbawiony czegoś. [przypis edytorski]

zagrzebany, *mimo że przeszedł trzy czytania komisji kodyfikacyjnej*; a co charakterystyczne, nikt się o niego nie troszczy, nikt się o niego nie upomina!

Nowe formy życia zmagają się tedy z dawnymi wiarami, prawami, przesądami, tworząc chaos. W chaosie tym wszystko zostawione jest osobistej zręczności każdego w grze życia. Pomiędzy dawną etyką, która jest martwa, a nową, której jeszcze nie ma, jest próżnia. W tym stanie rzeczy pozostają dwie drogi: albo ciskać gromy na „zepsucie powojenne” i czynić bezsilne gesty dla zawrócenia biegu życia, albo starać się zorganizować ten chaos, rozeznaczyć w nim, ocenić, co w nim jest przemijające, a co trwałe, co jest zboczeniem na manowce, a co początkiem nowego świata pojęć. I to jest jednym z głównych zadań Ligi. Zadanie bardzo moralne, nie w sensie martwej formalistyki, ale w sensie istotnej moralności, wrażliwej na krzywdy i niedole. Oparcie życia nie na zmurszałych kanonach²⁸, ale na pojęciach dzisiejszych, zgodnych z nowoczesnym sumieniem.

Ważną zdobyczą Ligi jest skupienie wszystkich dziedzin życia. Za przykład, jak daremne jest działanie na jednym tylko odcinku, może służyć dotychczasowa walka z prostytutką, którą podejmuje się zazwyczaj w imię „moralności” — tej samej moralności, która prostytutkę wydała i która jej koniecznie potrzebuje... Czy można się dziwić, że walka jest daremna?

Trudno mi tutaj wdawać się w szczegóły, ale wystarczy rzucić okiem na referaty tych kongresów, aby ocenić, jak szeroki jest krąg ich zainteresowań, od świata duszy do zagadnień na wskroś praktycznych. A wszystko zmierza dla jednego celu, którym jest stworzenie najszerszej podstawy do nowych pojęć, dla nowych form życia.

Na czele tego ruchu idą dziś Anglosasi. Imponująca jest śmiałość ich pisarzy w wyciąganiu konsekwencji. Bo, jak powiada G. B. Shaw²⁹, niezmiernie trudno jest wbić Anglikowi w mózgowicę nową myśl, ale skoro się tego dokona, już siedzi mu w głowie mocno. Zupełnie odwrotnie jak u nas: myśli przewiewają przez Polskę łatwo, ale nic z nich przeważnie nie wynika. Bądź co bądź, nie jest dobrze, że brakuje nas tam, gdzie przedstawiciele całego świata zasiadają do wspólnego stołu, aby radzić nad poprawą doli człowieka. Nie wypada wprost, aby zawsze korzystać z tego co inni za nas wywalczą. Dlatego chciałem zwrócić uwagę na istnienie tej Ligi, której prace wszędzie budzą żywe zainteresowanie. I sądzę, że ośrodek tej światowej organizacji powinien powstać u nas najrychlej.

BUNT MŁODZIEŻY

Ukazała się słynna książka Lindsaya³⁰ *Bunt młodzieży*. Ben B. Lindsay, człowiek, którego nazwisko jest w Stanach Zjednoczonych niezmiernie popularne — przedmiot uwielbień jednych, oburzenia drugich — był przez 30 lat sędzią w Denver. Stanowisko swoje pojmował jako misję. Obdarzony wyczuciem psychologicznym, umiał zdobyć zaufanie młodzieży i oddziaływać na nią; gabinet sędziego stał się konfesjonałem, dokąd młodzież spieszyła po radę i pomoc, pewną dyskrecji, zrozumienia i dobrej woli tego przyjaciela młodych. Trzydzieści lat doświadczenia, tysiące słuchanych zwierzeń, gromadzonych faktów, wszystko to dało Lindsayowi materiał, który spożytkował w swej książce. Książka ciekawa i ważka, gdyż pozwala wciąż mówić faktom. Na pozór, obraz, zdawałoby się, przerażający, zwłaszcza w zakresie życia płciowego. Z doświadczeń sędziego Lindsaya wynika, że współżycie płciowe między młodzieżą męską a żeńską w wieku szkolnym, nieraz bardzo wczesne, jest w Ameryce nader częste; nierzadko przybiera formy gromadnej rozpusty, przy czym zdarzają się wypadki ciąży, poronień i chorób. Z jednej strony odgrywa tu rolę brak uświadomienia wynikający ze strusiej polityki domu i szkoły, i ten brak uświadomienia pociąga za sobą niebezpieczne następstwa; z drugiej strony można znów stwierdzić fakty daleko posuniętego doświadczenia życiowego u młodych. (Znamienne jest, iż przełomowym punktem demoralizacji wśród dziewcząt w wieku szkolnym stał

Seks

²⁸kanony — tu: prawa (por.: prawo kanoniczne). [przypis edytorski]

²⁹Shaw, George Bernard (1856–1950) — irlandzki dramaturg i filozof; autor ironiczno-humorystycznych, pozostających w nurcie realizmu sztuk obnażających konwencjonalność epoki: *Profesja Pani Waren* (1898) czy *Pigmalion* (1912). [przypis edytorski]

³⁰Lindsay, Benjamin Barr (1869–1943) — amerykański sędzia i reformator społeczny z Denver w stanie Colorado, przez wiele lat kierujący tam sądem dla nieletnich; propagator pomysłu „małżeństwa na próbę” (*companionate marriage*). [przypis edytorski]

się fakt zamknięcia domów publicznych; z tą chwilą cały napór chłopców zwrócił się ku koleżankom. Oto dowód, jak wszystko w tych sprawach jest trudne i skomplikowane!). Rodzice i wychowawcy — stwierdza Lindsay — nie mają pojęcia o tym, co się dzieje w duszach młodzieży; wierzą w jej „niewinność”, ponieważ w stosunkach z młodymi stosują system przemilczania najważniejszych w tym niebezpiecznym wieku spraw życia. Rezultat jest ten, że wychowanie płciowe, zostawione własnemu przemysłowi młodzieży, wydaje odpowiednie następstwa i pcha młodych w sytuacje, które zgubiłyby bez ratunku wiele istnień, gdyby nie mądra i serdeczna pomoc tego niezwykłego sędziego!

Mimo tych faktów i obserwacji — które przeciwnicy jego odpierają krzykiem, twierdząc, że Lindsay „spotwarza młodzież amerykańską” — sędzia ów daleki jest od pesymizmu. Przeciwnie, w tym „buncie młodzieży”, mimo jego wybryków, widzi on zdrowy i twórczy protest młodych przeciw obłudzie i rutynie, przeciw formułkom i kanonom datującym z innych epok i pojęć. I, jego zdaniem, nie jest to zwykły rozdźwięk między starszym a młodszym pokoleniem; dzisiejszy „bunt młodzieży” ma zasadniczo różny charakter. Młodzież dzisiejsza pozwala starszym gadać, zrzedzić i ludzić się, sama zaś robi, jak uważa, i przeprowadza reformę życia, często bezładnie, czasem dziko, ale zdecydowanie. To są fakty, powtarza wciąż Lindsay, nic nie wstrzyma ich biegu. Dowodzi to tylko, że stare formuły są nie do utrzymania. „Jeżeli but nie wchodzi na nogę, należy przerobić but, nie nogę” — powiada sędzia Lindsay, przypominając, że wszystkie formy społeczne są, ostatecznie — rzeczą umowną i że trzeba je zmienić, skoro następstwa okazują się fatalne. I, jego zdaniem, ta zepsuta młodzież jest, nawet w swoich zbłąkaniach, rzetelniejsza, lepsza i czystsza, niż ich obłudni purytańscy wychowawcy. Często jedna poufna rozmowa z sędzią Lindsayem wystarczyła, aby naprostować zmylone ścieżki.

Książka ta narobiła, rzecz prosta, wiele wrzawy. W drugiej książce — *Małżeństwo koleżeńskie* — idzie Lindsay jeszcze dalej. Proponuje, aby między młodymi ludźmi mogły być zawierane małżeństwa czasowo bezdzietne (Lindsay jest bezwzględny zwolennikiem „regulacji urodzeń”), z uświadomieniem co do najlepszych środków ochronnych, jakimi nauka rozporządza, z łatwością rozwodu i, w razie rozejścia się, brakiem zobowiązań i praw do alimentacji³¹. W razie szczęśliwego pożycia, małżeństwo takie mogłoby się zmieniać w małżeństwo stałe, z dziećmi i wszystkimi prawnymi konsekwencjami. W ten sposób (uważa sędzia Lindsay), młodzi ludzie mogliby się poznać, wypróbować; chłopcy byłiby ocaleni od prostytucji i hulatyk, dziewczęta od przygodnych miłostek. Zdrowie społeczne, uczciwość zyskałyby na tym. Lepiej uregulować to, czego nie ma się siły powstrzymać.

Poglądy Lindsaya, którego nieskazitelny charakter, prawość i dobroć broniły trzydzieści lat przeciw nieustannym atakom, przyprawiły go w końcu o utratę stanowiska. Zjednoczone wysiłki Ku-Klux-Klanu³² i kleru pozbawiły go urzędu sędziego, z wielką krzywdą młodego pokolenia.

Otóż, byłoby interesujące poznać, pod kątem tej książki, pojęcia i stosunki panujące wśród naszej młodzieży; ale poznać tak, jak to mógł osiągnąć sędzia Lindsay! Nie będąc sędzią dla nieletnich, posiadam jednak na tyle zaufania u młodych, aby rozporządzać już dotąd ciekawym materiałem; chętnie bym go powiększył: bardzo byłbym rad otrzymywać — pod ścisłą dyskrecją — od młodzieży wypowiedzenia w tych kwestiach.

Na razie chciałem dać tu pewien drobny przyczynek do psychiki naszej młodzieży w obecnej dobie. Oto dwa dokumenty (*dokumenty* to moja pasja); mimo że z pozoru blahe, głupiutkie nawet, wydają mi się wszakże dość znamienne.

Jeden to list, zaczynający się od słów: „Pisze do pana sztubak³³... W istocie, jest to list młodego gimnazjalisty, proszący mnie o protekcję do... *Qui pro quo*³⁴. Pragnie „uzyskać nieco samodzielności wobec rodziców, którzy zaczęli mu bardzo ciężyc³⁵”, słowem, chciałby zarabiać. Odkrył w sobie talent do pisania piosenek. I oto jego kłopoty:

³¹ *alimentacja* — obowiązek utrzymywania osób, którym winnym się jest opiekę (zwykle dzieci, ale także zniepełnoletnich rodziców czy współmałżonka). [przypis edytorski]

³² *Ku-Klux-Klan* — rasistowska organizacja funkcjonująca w USA, powstała po zakończeniu wojny secesyjnej. [przypis edytorski]

³³ *sztubak* (daw.) — uczeń. [przypis edytorski]

³⁴ *Qui pro quo* — warszawski teatrzyk działający w latach 1919–1931. [przypis edytorski]

³⁵ *ciężyc* — dziś popr.: ciężyc. [przypis edytorski]

Napisałem piosenkę, zgłosiłem się z nią do *Morskiego Oka*. Kazano mi przyjść za dwa dni; przybyłem wtedy, mając już z sobą nową, i dowiedziałem się, że poprzednią odrzucono; po drugą przyszedłem po dwu dniach — „nie nadawała się”; dałem wtedy trzecią — tak samo; gdy zaś przyniosłem następnie od razu dwie, sekretarz powiedział mi kilka znamienych zdań. Mianowicie usłyszałem, że utwory „tego typu”, nie nadają się i jeśli i te są „tego typu”, szkoda fatygi; na końcu, że cała nowa rewia jest obsadzona. Oczywiście to miało oznaczać: jeżeli się nie przyjmuje piosenek w „tym typie”, w którym mimo wszystko zawzięcie pisze p. Właśc i który jest właśnie typem rewii, to się nie przyjmuje w ogóle nic od obcych: rewia, zawsze jest obsadzona bo kompozytorzy *Morskiego Oka* nie pragną mieć konkurencji.

Prosi mnie tedy chłopczyna o protekcję do *Quiproquo*:

Możliwe, że to będzie Panu sprawiało nieco fatygi, lecz bardzo Pana proszę, niech mi pan nie odmawia, oczywiście, o ile Pan uzna moje piosenki za warte czegoś. Niech Pan powie w takim wypadku Jarosy’emu³⁶ albo dyrektorowi *Quiproquo*, że Pan znalazł „talent” i może Pan przy sposobności pokazać jego utwory. Albo niech Pan postara się odpowiednio namówić jakiegoś z kompozytorów *Quiproquo* — bo oni tam mocno siedzą i mają wielki wpływ — no oczywiście jakiegoś mniej zazdrosnego. Sądzę, że na pewno uda się Panu, jeśli Pan będzie dla mnie choć trochę życzliwy...

A oto jedna z piosenek nadesłanych mi przez tego gimnazystę. Tytuł: „*Ile lat masz, dziewczyno?*”.

Zawsze od lat
malowały się kobiety
Jedni do wad,
drudzy kładą w to zalety
Od córki bym
nigdy nie odróżnił matki
A może bym
Wziął na odwrót je przypadkiem!
Mała Fifi
kosmetyków też używa
Że coś w tym tkwi
niespokojnie podejrzewam,
Moja mamam
na dancingi ciągle chodzi
dziwię się sam
jak się kręcą przy niej młodzi...

Refren po każdej strofice:

Ile masz lat dziewczynko?
Czy twe czerwone usteczka
karminowane³⁷ „troszeczkę”
dużo nakłamią mi?
Czy buzia malowana
kremami odświeżana
i pudrem przysypana
powie prawdę czy nie?
Jesteś zgrabna, ty dziewczynko

³⁶Jarosy, Fryderyk (1890–1960) — krytyk teatralny i sławny przed wojną konferansjer węgierskiego pochodzenia. [przypis edytorski]

³⁷karminować — barwić usta karminem. [przypis edytorski]

możesz łudzić nas —
bo kremami, pudrem, szminką
dobrze taisy czas!
Wszystkim do ust idzie ślinka
gdy cię widzą raz
Jesteś zgrabna, ty dziewczyno
możesz łudzić nas!

Inna piosenka; tytuł: *Garsoniera*³⁸.

Nie ta to inna,
Nina czy Lila,
czy innych dziewcząt sto!
Ja wszystkie kocham
miłości płochej³⁹
nie uważam za złą!
Ile ich miałem,
ile kochałem,
czyżbym spamiętać mógł?
Ile tu było,
czas tu spędziło,
wie tylko chyba Bóg.

Refren:

W garsonierze mej dziewczynki
przewijają się,
To brunetki, to blondynki,
co kto tylko chce...
Ja zgrabnych nóg i ślicznych buź
tyle wielbiłem i porzuciłem już.

Nie ma co, bogate przeżycia ma ten siódmoklasista... A może to tylko wyobraźnia?

Są jeszcze piosenki: *Gondola Harem*, i *Nóżki mej dziewczynki*... Już z tytułów widać, że młody człowiek ma zdecydowaną linię. Czemu ich nie przyjęto, nie wiem, bo są zupełnie „w stylu”, tak że mogłyby nawet służyć jako... mimowolny persyflaż⁴⁰ „włastyzmu”. W każdym razie spełniam jego prośbę i polecam go na tej drodze p. Jarosy’emu.

A teraz drugi list. Na pozór zupełnie inna historia.

Jest to uczeń siódmej klasy, który dostał promocję do ósmej (dajmy na to w Łowiczu) ale z powodu trudności materialnych, wynikłych z „biurokratycznej tępoty” pewnych władz, nie może ukończyć gimnazjum. Opisuje mi te okoliczności, oraz swoje przejścia duchowe w wielostronicowym liście, którego niestety, z braku miejsca, przytoczyć nie mogę; opisuje, pod wpływem jakich przeżyć został „wolnomyślicielem”, po czym kończy tak:

... I dlatego nie do kogo innego, lecz do bliskiego sercu memu Pana zwracam się z gorącą prośbą o zapoznanie mnie z władzami wolnomyślicielskimi. Zgłaszam bowiem gotowość oficjalnego przystąpienia do masonerii⁴¹, która, rozporządzając olbrzymimi funduszami przeznaczonymi na propagandę, udzieli mi materialnego wsparcia. Przeto zwracam się do Pana, który w ruchu wolnomularskim odgrywa niewątpliwie dominującą rolę, z prośbą o przedstawienie mojej prośby czynnikom decydującym. Proszę udzielić

³⁸*garsoniera* — dziś: kawalerka, małe mieszkanie dla pojedynczej osoby. [przypis edytorski]

³⁹*płochy* (daw.) — niestały w uczuciach. [przypis edytorski]

⁴⁰*persyflaż* — ironiczny utwór literacki, w którym autor naśladuje styl innego autora. [przypis edytorski]

⁴¹*masoneria* — wolnomularstwo; międzynarodowy ruch, którego celem jest doskonalenie duchowe jednostki oraz dążenie do jedności ludzi różnych religii, narodowości i poglądów. [przypis edytorski]

mi pomocy materialnej w postaci wypłacanej mi co miesiąc pensji, która pozwoliłaby mi ukończyć naukę, swobodnie żyć, móc utrzymać starą matkę, w zamian za co, wychowany w idei wolnomularskiej, poświęcę się jej propagowaniu. Zaznaczam, że jeżeli wyższe władze zgodzą się na moją propozycję, pociągnę za sobą jeszcze trzech rówieśników, którzy znajdują się również w krytycznym położeniu, a którzy za moim pośrednictwem zwracają się z podobną prośbą. Mam nadzieję, że Pan, panie Boyu, znając najlepiej moje przejścia, poprze naszą prośbę.

Ponieważ jestem ubogi, ponieważ nie stać mnie na podróż do Warszawy, proszę wraz z przychylną odpowiedzią nadesłać mi pewną sumę pieniędzy na podróż do wyznaczonego przez W. Mistrza miejsca. Jeżeli przedstawiona władzom przez Pana propozycja zostanie przyjęta, otrzymam odpowiedź chyba bezpośrednio od Zarządu. Ponieważ bardzo zależy mi na czasie, proszę Sz. Pana bardzo, niech Pan będzie łaskaw poruszyć sprawę moją na najbliższej sesji loży masonskiej, tak abym mógł dostać odpowiedź jeszcze przed 1 października, a w Warszawie być wraz z kolegami już 1 października.

A wdzięczność nasza nie ma granic. Przyrzekamy, że w niedalekiej przyszłości cały Łowicz zostanie masonski.

Nazwisko, adres, po czym zaczynają się przypiski:

Nazwiska wspomnianych wyżej, przeze mnie uświadomionych i jako tako z ideą zapoznanych są... (tu nazwiska, z dopiskiem; „wszyscy otrzymali promocję do VII klasy”).

Przepraszam, że tak bazgrzę. Ale cóż zrobić, że wzruszenia ręka moja drży.

P. S. Niech o tym wiedzą tylko czynniki decydujące.

Kochany chłopczyna! Oczytał się w pewnych pisemkach o potędze masonskiej: oto pozytywny rezultat tego straszenia nas masonami. „W niedalekiej przyszłości cały Łowicz zostanie masonski”. Bardzo wierzę: na takich warunkach, kto by nie został masonem! Boję się, że zawód co do potęgi „ložy” będzie jednym z ciężkich przeżyć tego chłopca. Bądź co bądź, nie znając innej drogi do „sfer decydujących”, tutaj oto sygnalizuję im gotowość czterech młodzieńców. Również na żądanie (ale tylko „sfer decydujących”) służę ich adresami.

Oto dwa dokumenty. Uderzyła mnie w nich jedna wspólna cecha, z której dobrze można wróżyć o młodym pokoleniu, mianowicie obrotność, sprężystość, inicjatywa. Mnie, wzrosłemu w epoce, gdy w jakiejś siódmej czy ósmej klasie, nasza umiejętność życia, orientacja w świecie, zdolność dawania sobie rady, równały się dosłownie zeru, imponują po prostu oba te chłopaki. Jest w nich połączenie naiwności z dojrzałością doprawdy urocze. Z serca chciałbym im dopomóc: niechby jeden wypił najrychlej bruderszaft⁴² za kulisami *Qui pro Quo* ze Stefcią Górską⁴³ (może ona dorobiłaby mu muzykę), a drugi niechby nosił z paradą kielnię⁴⁴ za Andrzejem Strugiem na uroczystościach loży. I niech każdy w życiu znajdzie to, czego pragnie!

Oto mały, małeńki przyczynek do „buntu młodzieży”. Bo niech sobie nikt nie obraża, że bunt młodzieży to zjawisko specyficznie amerykańskie. Zbuntowała się młodzież i u nas. Czy mamy się na nią oburzać? Ja nie umiem. Bo ona się zbuntowała i za nas, starszych; za nasze straszliwe lata, za naszą zdławioną młodość, za nasze rozpaczliwe — niegdyś! — tłuczenie głowami o pręty naszych klatek, za wszystkie „szalone Julki⁴⁵” obojga płci. Zbuntowała się i chce żyć. Może czasem i pobłądzi, ale chce żyć i będzie żyła. Niechże jej Bóg da wszystko najlepsze.

I piszcie do mnie, chłopcy i dziewczynki.

⁴²*bruderszaft* — ceremonialny toast towarzyszący przejściu na „ty”. [przypis edytorski]

⁴³*Górska, Stefania* — właśc. Stefania Zadrozińska (1907–1986), aktorka, piosenkarka i tancerka, przed wojną znana z występów w teatryku *Qui pro Quo*, po wojnie zaś w teatrze *Syrena*. [przypis edytorski]

⁴⁴*kielnia* — narzędzie do rozprowadzania zaprawy murarskiej, stanowiące też jeden z symboli masonerii. [przypis edytorski]

⁴⁵*szalona Julka* — bohaterka dramatu Augusta Kisielewskiego *W sieci*, kobieta zafascynowana sztuką i cyganerią. [przypis edytorski]

„KRUCJATA PRZECIW NĘDZY”

Czytelnicy darują, że wracam do tematu, który swego czasu potrąciłem⁴⁶ ubocznie w felietonach poświęconych „*piektu kobiet*”. Ale są tematy, do których trzeba wracać póty, póki się nie osiągnie praktycznego rezultatu, a przynajmniej gruntownej przemiany pojęć. Chodzi o tzw. *regulację urodzeń*.

Omawiając niedawno Lindsaya⁴⁷ *Bunt młodzieży*, wspomniałem drugą jego książkę pt. *Małżeństwo koleżeńskie*, gdzie Lindsay, na podstawie swego wieloletniego doświadczenia, rzuca ideę dwojakiego typu małżeństwa: jednego bezdzietnego z łatwością rozwodu i bez materialnych zobowiązań, i drugiego — które byłoby tamtego uwięzieniem: dzietnego, z wszystkimi konsekwencjami prawnymi. Nie zamierzam tu rozważać tej koncepcji, która w Ameryce jest przedmiotem namiętnych dyskusji. Faktem jest, że samo życie, nie troszcząc się o sprzeciwy, coraz częściej wprowadza tę *koleżeńską* formę małżeństwa, czy to pod eufemiczną⁴⁸ nazwą *narzeczonych* (czasem nazywa się to: „chodzą razem”), czy też w postaci małżeństw rzeczywistych, ale programowo bezdzietnych, dopóki warunki materialne nie pozwolą im na powiększenie rodziny. Otóż, w książce Lindsaya jedno mnie uderzyło: mianowicie głębokie przeświadczenie, z jakim mówi on o *regulacji urodzeń* jako przyszłej podstawie wszelkich stosunków. Jest to dlań niezbity pewnik, że zasada ta, dziś jeszcze poniekąd *wojująca*, zwycięży w najbliższej przyszłości całkowicie, odmieni z gruntu pojęcie małżeństwa, jego formy, a może i jego podstawy, będzie wręcz przewrotem w dziejach ludzkości. I w istocie, uderzające jest, jak, w ostatnim czasie zwłaszcza, kwestia ta narzuca się ze wszystkich stron.

Podczas gdy na obu półkulach, od wielu lat, toczono o *regulację urodzeń* zacięte boje, u nas było o niej zupełnie głucho. Nie znaczy to, aby nie istniała w praktyce. Jak wszędzie tak i u nas załatwiono ją po cichu w sferach zamożnych, nawet tych, które w teorii nie chcą o niej słyszeć; stosowana jest coraz szerzej w sferze „inteligencji”; ale nie istnieje tam, gdzie byłaby najważniejsza, gdzie jest doniosłą kwestią społeczną, zagadnieniem rasy, kultury, postępu, ludzkiego bytu. Ale sprawa ta jest tak oczywista, przemawiają za nią argumenty tak niezbite, logiczne, ludzkie, życie napiera na rozwiązanie jej tak stanowczo, że wątpię, aby nawet u nas długo dało się zamykać na nią oczy.

Jeszcze przed niewielu laty w książce swojej przytacza Lindsay następujący fakt:

„Duże poruszenie wywołała w Denver sprawa rodziny Smith.

Pan Smith był człowiekiem sumiennym i zdolnym myśleć rozsądnie. Jego spowiednik oznajmił mu, że stosowanie środków ochronnych jest grzechem i że wstrzeźliwość jest jedyną drogą do ograniczenia ilości dzieci. Dzieci, które przychodziły na świat co roku, groziły ruiną materialną, a celibat⁴⁹ nie był do przeprowadzenia w praktyce. Pan Smith zwrócił się do sądu, prosząc o informacje o środkach ochronnych. Sąd nie miał prawa udzielenia mu jakichkolwiek informacji i odesłał go do kliniki. Tam również odmówiono mu ze strachu przed odpowiedzialnością prawną. Smith wreszcie znalazł wyjście; popełnił samobójstwo.

Przyjaciele jego zebrali fundusz dla dopomożenia rodzinie, która została bez środków do życia. Pomiędzy prawem a kościołem rodzina Smithów została starta na miazgę”.

Pomiędzy prawem a Kościołem... Otóż, nie dalej jak przed kilku miesiącami, doniosły dzienniki o doniosłych, rewolucyjnych poniekąd uchwałach światowego zjazdu 307 biskupów anglikańskich w Londynie, gdzie po raz pierwszy to wysokie ciało orzekło, iż „tam, gdzie zajście w ciążę będzie z jakiegokolwiek powodu szkodliwe, tam nie należy potępiać użycia naukowych środków, stosowanych rozumnie i według wymagań higieny”.

⁴⁶potrącić — tu: poruszyć. [przypis edytorski]

⁴⁷Lindsay, Benjamin Barr (1869–1943) — amerykański sędzia i reformator społeczny z Denver w stanie Colorado, przez wiele lat kierujący tam sądem dla nieletnich; propagator pomysłu „małżeństwa na próbę” (*companionate marriage*). [przypis edytorski]

⁴⁸eufemizm — środek stylistyczny, polegający na wymianie danego wyrazu na inne, łagodniejsze sformułowanie. [przypis edytorski]

⁴⁹celibat — rezygnacja ze stosunków seksualnych. [przypis edytorski]

(Mimo tej uchwały 307 biskupów, wciąż zapewne będziemy słyszeli argumenty, że to są rzeczy sprzeczne z etyką *chrześcijańską*...).

Oto więc zdobyta forteca jedna z najbardziej nieprzejednanych; zdobywa je ta idea również — jedną po drugiej — w ustawodawstwie świeckim. Uświadamianie co do środków ochronnych przeciw ciąży zostało w tym roku uchwalone i zalecone przez angielską Izbę Lordów⁵⁰, tę ostoję konserwatyzmu społecznego!

We wrześniu roku bieżącego odbył się w Zurichu międzynarodowy kongres regulacji urodzeń, równocześnie zaś na kongresie *Ligi reformy seksualnej* w Wiedniu kwestia regulacji urodzeń, jej zdobyczy i metod, wysunęła się na pierwsze miejsce. Nauka wychodzi na spotkanie tych dążeń. Doskonałą się mechaniczne środki ochrony, przystępne dla wszystkich, dające niemal 100 proc. pewności. Równocześnie wiedza od innej strony zgłębia tę kwestię. Osiągnięto już niezwykle wyniki w sterylizacji czasowej, tak mężczyzn, jak kobiet — za pomocą promieni Roentgena. Posuwają się naprzód doświadczenia nad metodami, które, za pomocą pewnych substancji zastrzykiwanych lub podawanych wewnętrznie, pozwolą osiągnąć czasową sterylizację obu płci. Rozwiązanie problemu jest tutaj kwestią niewiele lat, może miesięcy. Jasne i oczywiste jest, że tuż, tuż, a ludzkość wejdzie w nową fazę swego istnienia, że świadomie i dobrowolnie regulowane macierzyństwo jest jej przyszłością i nie sądzę, aby jakiegokolwiek siły zdołały się temu długo przeciwstawiać.

Jak ukształtuje się ta rzecz w praktyce? Bardzo być może, iż będzie się starało ująć ją w swoje ręce państwo. Słysząc też głosy lekarzy, że zdobycza ta musi być trzymana z dala od rąk niepowołanych; że pozostanie w rękach lekarzy, zastrzeżona do wypadków najkonieczniejszej potrzeby. Wiemy, co ta piosnka znaczy: znaczy ona, że dobrodziejstwo to znowuż miałoby pozostać monopolem uprzywilejowanych, że byłoby sprzedawane za słone pieniądze bogatym, z potrzebą czy bez, pozostałoby zaś niedostępne dla biedaków. Ilekroć padają nazbyt wzniosłe hasła, można być pewnym, że jakiś szwindel⁵¹ jest w drodze...

Najzacieklejszym, jak dotąd, wrogiem *regulacji urodzeń* jest właściwy masie ludzkiej, a wspierany przez pewne czynniki konserwatyzm, zawsze gotowy poświęcić szczęście ludzi dla autorytetu przeszłości. Zabobon — który niegdyś nie był zabobonem — liczego potomstwa, płodności, jest jednym z najbardziej zadawnionych. Otóż z zabobonami jest tak: wszystkie warunki mogą się zmienić, rzecz może stracić swój sens, świat wywraca się na opak, a zabobon wciąż strażuje jak ów szylldwach⁵² carowej Katarzyny, którego jeszcze w sto lat później zaciągano na wartę w szczerym polu, gdy krzak róży, którego miał pilnować, dawno przestał istnieć.

Nie będę tu wyliczał mnóstwa przyczyn, które wytworzyły dogmat nieograniczonej płodności; za daleko by nas to zawiodło. Przede wszystkim, to trzeba pamiętać, nie umiano się przed nią bronić... Ale i pozytywnych racji było wiele. Jedno musi uderzyć, kiedy się czyta o dawnych dziejach: mianowicie ogromna liczba dzieci, które umierały przedwcześnie. Nasuwają mi się przykłady, które znam najlepiej: z historii literatury. Muza Krasieńskiego, Delfina Potocka, miała pięcioro dzieci, które wszystkie zmarły w niemowlęctwie. Dwudziestosiedmioletnia pani Hańska zdążyła pochować czworo dzieci, odchowała zaś tylko jedno. Siedmioro dzieci nie uchroniło Ojca Zadźmionych⁵³ od samotnej starości. Choroby zakaźne — do spółki z dawną medycyną — dziesiątkowały ludzkość. Sama ospa, nim wynaleziono szczepienie, ileż czyniła spustoszeń wśród dzieci! Toteż liczna rodzina była jedyną rękojmią⁵⁴, że coś z niej zostanie. Płodzono dzieci na wyrost.

To wszystko zmieniło się stanowczo. Od w. XVIII przeciętna wieku⁵⁵ ludzkiego podniosła się z 36 lat na 57. Higiena uczyniła tak olbrzymie postępy, że gwarancja szczęśliwego wychodowania zdrowego dziecka jest niemal zupełna, gdy dawniej trzeba było mieć dziecięcioro dzieci, aby się dochować trojga czy czworga. Zorientowały się w tym wszystkim klasy zamożniejsze, bardziej oświecone, i urządziły sobie życie w tym sensie. Spytajcie się

⁵⁰ Izba Lordów — wyższa izba angielskiego parlamentu. [przypis edytorski]

⁵¹ szwindel — oszustwo. [przypis edytorski]

⁵² szylldwach (daw., z niem.) — żołnierz na warcie. [przypis edytorski]

⁵³ Ojciec Zadźmionych — poemat Juliusza Słowackiego. [przypis edytorski]

⁵⁴ rękojmia — gwarancja. [przypis edytorski]

⁵⁵ przeciętna wieku — dziś: średnia wieku. [przypis edytorski]

każdego, kto się oburzy na mój artykuł, ile ma dzieci! Nie istnieje natomiast regulacja w klasach najbiedniejszych, nie tyle wskutek posłuchu wobec zasad, ile wskutek ciemnoty, niedbalstwa i niezaradności. Tam płodzi się wciąż dzieci masowo, a dziesiątkuje je nędza, zrodzona właśnie z tego nadmiaru płodności. Ale ta sama nędza wpływa oplakanie na wartość tych, które się uchowają. A rezultat? — Straszny. Zamiast uśmiechniętej i szczęśliwej mamusi, widzi się wynędzniałą, przedwcześnie postarzałą kobietę, jeszcze karmiącą, a już w ciąży, widzi się dzieci bez opieki, zaniedbane, zbiedzone, zwyrodniałe; widzi się ojca rodziny, uciekającego od tego piekła domowego do szynku⁵⁶. Posiadanie dwojga czy trojga chorowitych dzieci oplaca się nędzą, rozpaczą, kilkoma trupkami i nie mniejszą ilością partackich poronień, zwykle mających za skutek chorobę, czasem więzienie. W imię czego to wszystko? W imię moralności chrześcijańskiej, wołają jedni. — W imię ciemnoty, obłudy i wyzysku — szepczą drudzy.

Krucjata przeciw nędzy nazwano regulację urodzeń w Anglii. Gdy do tej krucjaty mobilizuje się niemal cały świat, w Polsce dotąd nie zgłosił nikt swego udziału. W tej najdonioślejszej kwestii, która się rozstrzyga, mieszczącej w sobie wszystkie inne, od eugeniki⁵⁷, oświaty, kultury, aż do pacyfizmu, panuje u nas najbardziej małoduszne i obłudne milczenie. A wszak są wszelkie warunki do tego, aby zacząć działać. Socjologia polska dawno opowiedziała się za regulacją. Jesteśmy w tym szczęśliwszym od wielu narodów położeniu, że prawo nasze, nie będąc w tym obciążone zadawnionymi uprzedzeniami, nie stawia nikomu przeszkód w tej mierze. Ludzie pracujący społecznie niemniej przeświadczeni są o dobrodziejstwach regulacji. Czemuż tedy, na tylu przekonanych o słuszności sprawy, wobec braku istotnych zapór, nie znajdzie się nikt, kto by przeszedł od teorii do praktyki? Czemu nie starają się o to ci, dla których ograniczenie daremnego rodzenia jest najistotniejszą kwestią bytu? Czemu nie zawiąże się organizacja, która by przystąpiła do światowej Ligi regulacji urodzeń? Jest to akcja, która powinna być prowadzona wspólnie, aby nie można było wygrywać jednego narodu przeciw drugiemu. Czemu nie ma u nas poradni dla kobiet, a jeżeli są, czemu działają w tej mierze tak cicho i nieśmiało? Powróć jeszcze do zawiązków tej idei, które istnieją u nas.

Krucjata przeciw nędzy. I jak szybko może być ta krucjata! Poradnia dla kobiet, jest to instytucja społeczna wyjątkowa tym⁵⁸, że nie wymaga większych kosztów, a oddać może nieobliczalne i doraźne⁵⁹ niemal dobrodziejstwa. Spadnie ilość urodzeń? Oczywiście: o to chodzi, aby spadła; ale w tym samym stosunku spadnie śmiertelność dzieci, a podniesie się ich wartość zdrowotna; znikną poronienia, dzieciobójstwa, katastrofy rodzin i jednostek. Czy chodzi o bogatą statystykę urodzeń, którą publikuje się głośno, podczas gdy małe trupki grzebie się po cichu? W ciągu niewielu lat mogą się zmienić stosunki; nie, jak strachajły twierdzą, w sensie wyludnienia, ale w sensie poprawy warunków materialnych, moralnych i kulturalnych. A kiedyś, w przyszłości, gdy regulacja urodzeń stanie się prawnie obowiązującym państwowym urządzeniem, zaledwie będą ludzie chcieli wierzyć, że istniał czas, gdy to błogosławieństwo boże, jakim jest dziecko, mogło być nieraz nieszczęściem, przekleństwem, a często i zbrodnią.

NIECO PEDAGOGII

Nie ma chyba takiego mądrali, który by twierdził, że wszystko jest na świecie doskonałe i że nic na nim zmieniać nie potrzeba. Wręcz przeciwnie, patrząc wstecz, widzimy, że wszystko się wciąż zmieniało i to raczej na lepsze. Tak samo i nasze życie zawiera wiele rzeczy, które się wnukom naszym wydadzą potworne; mimo to, każdego, kto by chciał je ruszyć z miejsca, zakrzykuje się przeraźliwym wrzaskiem. Obserwować to można dziś u nas lepiej niż gdziekolwiek, dzięki okoliczności, na którą nieraz zwracałem uwagę. Znajdujemy się w momencie tworzenia sobie praw, tworzenia naszego kodeksu; otóż wystarczy nieraz w jakiejś kwestii stanąć na gruncie tego nowego kodeksu, który będzie obowiązywał może za kilka lat, a już rozlegają się krzyki, że się pochwała „czyni zbrodnicze”. Tak jakby o ich zbrodniczości nie ten właśnie kodeks miał rozstrzygać!

Nie ma większego wroga szczęścia ludzkiego na ziemi niż owa jakaś zdumiewająca

Szczęście, Wróg

⁵⁶szynk — lokal, raczej podrzędny, w którym sprzedawano alkohol. [przypis edytorski]

⁵⁷eugenika — pogląd, zakładający możliwość doskonalenia cech dziedzicznych człowieka. [przypis edytorski]

⁵⁸wyjątkowa tym — dziś: wyjątkowa w tym. [przypis edytorski]

⁵⁹doraźny — tu: natychmiastowy. [przypis edytorski]

bezmąsność przywiązująca się fanatycznie do rzeczy dawnych, choćby najmniej odpowiadających obecnej rzeczywistości. Dlatego też nie ma ważniejszego zadania dla pisarzy, niż rozbijając te skostniałe kompleksy pojęć, rewidować je nieustannie i wciąż podważać tzw. moralność. Mówię „tak zwaną”, bo z istotną moralnością nie ma ona nic wspólnego. Moralność, to jest gojenie krzywd, ucisku i nieszczęść; to jest ład społeczny, a nie bezład, jaki powstaje między formułkami a życiem. Nie ma nic niemoralniejszego niż wtłaczanie życia w formy, w których ono pomieścić się nie może i poza które wszystkimi szczelinami pryska.

Nigdzie nie występuje to tak jaskrawo, jak w dziedzinie życia płciowego. Sprawa ta, wszystko co się z nią wiąże, wysuwa się dziś na czoło zagadnień domagających się zmian. Bo w istocie, od czasu jak obowiązują stare kanony⁶⁰, ileż tymczasem przemian zaszło w życiu! Powszechna demokratyzacja, wyzwolenie kobiet, usamodzielnienie ich w pracy i zarobkowaniu, zdobycze nauki i techniki — wszystko to stwarza nową rzeczywistość, za którą człapią leniwo i bezradnie prawo i „moralność”, pozostając z nią w coraz to słabszym kontakcie.

Godne uwagi jest, że najżywsza przemiana pojęć w zakresie tworzenia nowej etyki seksualnej spełnia się dziś w krajach anglosaskich. Czy to reakcja przeciw panującej tam właśnie tak długo obłudzie? Być może; faktem jest, że najśmielsze tezy rewizjonistyczne idą dziś z Anglii, tak jak w Ameryce zachodzą najradykałniejsze zmiany ustawowe.

Mam w ręku małą książeczkę angielską z popularnej kolekcji filozoficzno-społecznej pod tytułem *Today and tomorrow* („Dziś i jutro”). Każdy tomik zajmuje się jedną kwestią i odpowiada na pytanie, jak się ona może w przyszłości ukształtować. Ten, o którym chcę mówić, ma za godło *Przyszłe małżeństwo*. Autorem jest poważny lekarz i działacz społeczny, Norman Haire, jeden z założycieli Światowej Ligi Reformy seksualnej. Pragnę przytoczyć niektóre rzeczy z tej książeczki, głównie dla pokazania, jak śmiało w tym zrównoważonym społeczeństwie można się oddawać grze myśli dopuszczającej wszystkich najdalszych możliwości.

Dr. Haire stwierdza na wstępie *względność* wszelkiej etyki seksualnej, którą każde państwo już w starożytności kształtowało najrozmaiciej, w duchu swoich potrzeb. Zalecano lub ograniczano płodność; tworzone takie lub inne pojęcia moralne, zależnie od takich lub innych warunków polityki społecznej. Wiele zasad przeszło do nas ze Starego Testamentu, gdzie również miały utylitarne⁶¹ znaczenie, dobre w swoim czasie i miejscu. W innym czasie i miejscu, te same rzeczy mogą być absurdem, ale w ciągu wieków zdążyły już porość⁶² mchem, skostnieć w rodzaj *tabu*, nikt ich nie kontroluje, nie bada ich początków.

Aby rzecz oświetlić jaskrawo, autor przytacza następujące dwa echa z dzienników:

48-letni wdowiec żył od paru lat z własną córką, 28-letnią wdową, za jej zgodą. Żyli szczęśliwie, dzieci się wystrzegali. Na doniesienie sąsiadów wytoczono im proces; dzienniki ryknęły gromem oburzeń, sędzia wygłosił płomienną mowę, skazano ich na najwyższą karę.

Pobrało się dwoje głuchoniemych. W pismach pojawiły się ich fotografie, rozczulenia, powinszowania, życzenia liczne potomstwa. Któryś uczuciowy reporter nakreślił sielankowy obrazek tej pary głuchoniemych, siedzących kiedyś po latach, przy kominku, w otoczeniu dzieci, wnuków...

Dr. Haire zestawia te dwa fakty. Nie znaczy to, aby występował w obronie kazirodztwa; ale rozważa genezę ustaw przeciw niemu: obawa o zwyrodnienie rasy. Sama tego możliwość sprowadziła tu na występnych ciężkie kary; *istoty czynu* grożącego społeczeństwu właściwie nie było, bo nie było potomstwa.

Niezawodne natomiast zwyrodnienie rasy wyda połączenie dwojga głuchoniemych, których dzieci będą również głuchonieme i będą ciężarem dla społeczeństwa. Zamiast rozczulać się nad nimi, powinno by się sterylizować ich, tak jak już się to czyni w wielu stanach Ameryki. Czyli że pierwotne pojęcia *eugeniki*⁶³ oderwały się od swoich celów i zmieniły się w *tabu*: obraża to *tabu* pożycie ojca z córką, choćby bezdzietne, nie obraża go

⁶⁰kanony — tu: prawa (por.: prawo kanoniczne). [przypis edytorski]

⁶¹uitylitarne — użytkowy. [przypis edytorski]

⁶²porość — dziś: porosnąć. [przypis edytorski]

⁶³eugenika — pogląd, zakładający możliwość doskonalenia cech dziedzicznych człowieka. [przypis edytorski]

połączenie się (byle legalne) głuchoniemych, którzy mogą „wśród powszechnego aplauzu bezkarnie niszczyć zdrowie społeczne”.

Inny obrazek. Troje dzieci jednych rodziców kolejno traci wzrok, co wtrąca rodzinę w rozpaczliwe położenie. Dzienniki apelują do publiczności, aby tym rodzicom pomóc finansowo. Po to oczywiście, aby mogli dalej płodzić ślepców. Czy zamiast tego nie powinno się ich sterylizować, co dziś da się wykonać łatwo za pomocą promieni Roentgena?

Szereg twardych ustaw przeciw różnym zbrodzeniom, które domagają się raczej pomocy lekarza niż miecza praw, wynikał z dogmatu maksymalnej płodności. A skąd ten nakaz? Znowu przeniesiony z innych warunków. „Bądźcie płodni” powiedział Bóg. Ale komu powiedział? Raz Adamowi i Ewie, którzy byli sami na świecie, a drugi raz rodzinie Noego po wyludnieniu ziemi przez potop. Ten cytat i dość niejasna historia Onana⁶⁴ w Biblii wystarczają, aby się przeciwstawiać opiniom ekonomistów, socjologów, higienistów w sprawie regulacji urodzeń. Najważniejsze tedy zagadnienie społeczne regulujemy „polityką populacyjną” z epoki Noego.

Prostytucja. Skoro, jak dotąd, jest nieunikniona, pyta Haire, czemu robić z niej co może być najohydniejszego? Czemu upadlać kobietę społecznie nieodzoną, czemu wyrzucać ją za nawias? Znowuż rutyna myślenia. Biorąc społecznie, czyż prostytutka nie jest wartościowsza, niż kobieta, która wyda potomstwo nędzne fizycznie i umysłowo?

Co się tyczy prostytucji, Haire przypuszcza, że ze wzrostem zarobkowania kobiet wzmoże się prostytucja męska.

Haire jest zwolennikiem wczesnego uświadamiania dzieci. Trzeba prowokować ich ciekawość i ich pytania w tej mierze; ewentualnie rozwijać ją, wprowadzając umyślnie do domu parę psów lub kotów.

Wychowanie dzieci przejdzie zapewne w znacznej mierze na państwo, co zmieni niewątpliwie ducha małżeństwa, uprawniając wielożeństwo i wielomęstwo. Większość ludzi nie jest zdolna do życia w idealnie wyłącznym małżeństwie. Przed ślubem mogłaby być składana deklaracja w duchu monogamii czy poligamii; zmiana poglądów w tej mierze byłaby powodem do rozwiązania małżeństwa.

Wielomęstwo nadałoby się dla kobiet — często najwartościowszych — które chcą mieć dzieci, a nie chcą mieć stałego męża.

Nie wierzymy, jak to nam wmawiają — powiada dr. Haire — że reforma ustaw spowodowałaby rozpuszczenie. Wręcz przeciwnie: ekscesy bywają raczej reakcją przeciw zakazom i ograniczeniom.

(To jest słuszne: tak samo przypuszczam, że projektowane zniesienie ustaw przeciw pederastii⁶⁵ spowoduje zmniejszenie się ich cyfry: odpadną wszystkie snoby).

Państwo tedy — snuje dalej dr. Haire — przejmie wychowanie dzieci, co będzie raczej z pożytkiem, gdyż rodzice wychowują je przeważnie źle. Tym samym, państwo będzie miało prawo głosu co do dzieci, które się mają urodzić. Już dziś 23 stany w Ameryce przyjęły przymusową sterylizację z przyczyn natury eugenicznej. Jednostka niezdrowa i nienadająca się do wydania potomstwa będzie musiała się temu poddać, w przeciwnym razie dziecko będzie zniszczone jako embrion, lub też po jego urodzeniu będzie orzeczone czy ma żyć, czy też nie. Byłby to powrót do starożytności; dzieci kalekie lub niewydarzone będą zabijane po urodzeniu, oczywiście w sposób najbardziej humanitarny.

(Nie ludźmy się, aby zabijanie dzieci nie istniało; praktykuje się je na wielką skalę u „fabrykantek aniołków” i w rodzinach nędzarzy, tylko w sposób barbarzyński i na dziko).

Z początku będą sprzeciwy przeciw temu, z przyczyny możliwości omyłek lub nadużyć. Nadużycia — odpowiada dr. Haire — możliwe są zawsze, przy najpożyteczniejszych rzeczach: chodzi o to, aby ich było jak najmniej. Noworodki byłyby badane przez ławę doświadczonych lekarzy. Szansa omyłek będzie nie większa niż dla dzisiejszych sędziów, którzy decydują o karze śmierci, albo lekarzy, którzy decydują o ciężkiej operacji.

Może będzie istniało sztuczne zapłodnienie dla kobiety, która chce dziecka, a nie chce mężczyzny. Może będą, jak u pszczoł, specjalne kobiety matki...

Tu już wkraczamy w dziedzinę fantazji. Ale jest w książce doktora Haire wiele rzeczy, które dają do myślenia. Tak też ją przyjęto w Anglii. „Dr. Haire (czytamy w opiniach

Kobieta "upadła"

⁶⁴Onan — postać z biblijnej Księgi Rodzaju, patrz felieton *Autorytety*. [przypis edytorski]

⁶⁵pederastia — homoseksualizm. [przypis edytorski]

o tej książce) ma do powiedzenia rzeczy poważne i wartościowe; jest na szczęście równie jasnowidzący jak śmiały”... „Książka elektryzująca”... „Jego poglądy oburzą tylko tych, którzy twardo stoją na gruncie konwencjonalnym”...

A teraz wyobraźmy sobie, co by się działo, gdyby ktoś u nas choć małą cząstkę takich hipotez wygłosił? Co mnie spotkało już za samo ich przytoczenie! Ale czynię to umyślnie: w celach pedagogicznych.

AUTORYTETY

W felietonie *Krucjata przeciw nędzy* zastanawiałem się, czemu nie ma dotąd u nas poradni dla kobiet w sprawie zapobiegania ciąży, wobec tego że żadna ustawa nam tego rodzaju akcji nie zabrania, przeświadczenie zaś o jej potrzebie jest coraz powszechniejsze. Otóż, dowiedziałem się, że poradnia taka istnieje — ale tak nieśmiało i po cichu, że nikt prawie o tym zakresie jej działania nie wie i prawie nikt z niej nie korzysta. Jest to mianowicie poradnia tow. eugenicznego⁶⁶. Obejmuje ona wszystkie działy tyżące eugeniki, między innymi rady przedślubne i małżeńskie; udziela również porad w sprawie zapobiegania ciąży w razie, gdy zachodzi potrzeba. Prowadzący ją lekarze twierdzą, że bardzo mało osób korzysta z tych specjalnie porad. Zdziwiło mnie to, ponieważ, bodaj z mnóstwa listów, jakie w tej sprawie otrzymywałem, wiem, do jakiego stopnia, zwłaszcza w sferach uboższej ludności, sprawa ta jest piękąca. Staralem się rozjaśnić sobie tę sprzeczność w rozmowie z lekarzami-eugenikami. Otóż, zdaje mi się, że poradnia eugeniczna zanadto zwięża w tej mierze swoją działalność, ograniczając pojęcie eugeniki do wskazań czysto lekarskich, podczas gdy warunki ekonomiczne i w ogóle życiowe niemniej są „eugeniczne”, jak inne. Zarazem, jak to zaznaczałem już w *Piekle kobiet* lekarze zamiast otworzyć oczy na niedolę ludzką, która ich otacza, zanadto się bawią w amatorską „politykę populacyjną”, są bardziej prawomyślni od samych prawodawców, bardziej ekonomiczni od ekonomistów. Prawią o „stanowisku mocarstwowym” i w ogóle robią wielką politykę, odnosząc się niechętnie do środków zapobiegawczych i do uświadamiania klientów w tej mierze. Jest to polityka, ale... strusia. Bo najczęściej — prawie zawsze — wybór jest nie między zapobieżeniem ciąży a urodzeniem młodego obywatela, ale między zapobieżeniem ciąży a poronieniem, zwykle skutecznym w fatalnych warunkach. Nikt nie zmusi do donoszenia dziecka niezamężnej nauczycielki — chociażby eugenicznie bez zarzutu — której grozi to utratą posady. Młoda biedota wychodząca za mąż za drugą biedę, może mieć doskonałe dzieci, ale później, gdy się oboje z mężem trochę dorobią; licha to eugenika odmawiać jej uświadczenia co do środków zapobiegawczych i skazywać ją na utratę zdrowia przy pozbywaniu się niepożądanego przybysza. Zbyt ciasno pojęte stanowisko w tej mierze osiąga tylko tyle, że pozbawia kraj pewnej liczby matek, które chorują lub giną na zakażenie krwi wskutek poronień, albo wydają na świat dzieci skazane na zagładę.

Bądź, co bądź, uważam za właściwe sygnalizować tym, którzy nie wiedzą o niej, że poradnia istnieje. Niezależnie od tego byłoby pożądane, aby osoby uznające ideę regulacji urodzeń połączyły się w związek, weszły w kontakt z organizacją światową i stworzyły specjalną poradnię, wysławszy wprzód którą z lekarek (z kobietą zawsze łatwiej się dogadać) np. do Holandii, celem zaznajomienia się z tamtejszą organizacją funkcjonującą od wielu lat i zatwierdzoną przez rząd jako *instytucja użyteczności publicznej*.

Ale moralność?

Ponieważ raz po raz zdarza się czytać, iż jakiegokolwiek zapobieganie nieograniczonej płodności i plenienu się nędzy jest sprzeczne z *moralnością chrześcijańską*, zapragnąłem sięgnąć do źródła, do owego ustępu ze Starego Testamentu, na którym się ten absolutny zakaz opiera. Czytamy w księdze *Genesis* (XXXVIII, 6–10) tyle:

„A Judas dał żonę pierworodnemu swemu Her, imieniem Thamar. A Her był pierworodny Judy złośliwy przed oblicznością Pańską i od niego zabity jest. Rzekł tedy Judas do Onana syna swego: Wnidź do żony brata swego, a łącz się z nią, abys wzbudził nasienie bratu swemu. On, widząc, że się nie

⁶⁶tow. eugenicznego — od tego czasu powstała specjalna poradnia *Świadomego macierzyństwa*, poświęcona tej sprawie. [przypis autorski]

jemu synowie urodzić mieli, gdy wchodził do żony brata swego, wypuszczał nasienie na ziemię, aby się dzieci imieniem brata nie rodziły. I z tej przyczyny zabił go Pan, że rzecz brzydliwą czynił”.

Każdy przyzna, że ten ustęp nastrocza sporo wątpliwości. Można by np. mniemać, że „wchodzić do żony brata swego i wzbudzać nasienie bratu swemu” też niezupełnie licuje z etyką chrześcijańską. Toteż od dawna toczyły się spory teologów w tej mierze. Dr. Friar z Klerkenwell twierdzi, że Onan był ukarany nie z powodu użycia zabiegu przeciw zapłodnieniu, tylko dlatego, że nie chciał wychować dzieci dla swego brata. Dr. Headlam mówi, że w użyciu środków zapobiegawczych nie widzi nic niechrześcijańskiego. Ksiądz F. Dinnis z Mile-end sądzi... ale mniejsza, nie piszę tu rozprawy teologicznej. Bądź co bądź, żądać aby dzisiejsze społeczeństwa rozstrzygały jedno z najważniejszych swoich zagadnień na zasadzie starożytnej i dość wyjątkowej przygody Onana, wydaje mi się przesadą.

Przeciw autorytetowi Onana zwolennicy *regulacji urodzeń* wynaleźli sobie inny neda autorytet: Mussoliniego, dla którego przymus nieograniczonej płodności jest środkiem podtrzymania wojowniczego imperializmu Włoch. Ale wyszperano, że ten sam Mussolini, w odpowiedzi na ankietę wychodzącego w Turynie włoskiego pisma *Wychowanie płciowe* oświadczył w r. 1913, że

„uznaje regulację urodzeń jako akt rozumu i odpowiedzialności u wszystkich ludzi, którzy roszczą sobie pretensje do miana myślących istot. Uważa ograniczenie urodzeń za święty osobisty i społeczny obowiązek i nie przyznaje sądom żadnych praw w tej kwestii, o ile nie chcemy wrócić do średniowiecza”.

Tak mówił dzisiejszy dyktator Włoch w roku 1913.

Przeszłość! Jak łatwo zapomina się o niej, jak łatwo rwą się nitki między pokoleniami. Teraz zwłaszcza żyjemy tak szybko, że echa przeszłości stosunkowo niedawnej brzmią tak, jakby pochodziły z jakich zamierzchłych. Tak na przykład, znalazłem książeczkę wydaną we Lwowie w roku 1903, poświęconą regulacji urodzeń, której-to idei autor jest gorącym wyznawcą. Autor S. Ligisz, tytuł: *Maltuzjanizm w polityce ekonomii i higieny społecznej (Rzecz o zastosowaniu sztucznej niepłodności kobiety)*. Rok 1903: toż to prawie wczoraj, a przecież niektóre stroniczki tej książki czyta się jak humorystyczną lekturę, tak dla pociesznego języka, jakim jest pisana, jak dla rozmaitych przykładów i tez. Zresztą posłuchajcie sami. Wyliczywszy najrozmaitsze w owym czasie zalecane przez naukę środki ochronne, oto co pisze w paragrafie: *Inne ostrożności*.

„Wśród wysokiej arystokracji w Niemczech jest rozpowszechniony zwyczaj ograniczać nadmierną liczbę dzieci, która sprowadza zgubne rozkwałkowanie majątku rodzinnego, bardzo pojedynczym sposobem, a to, że przed aktem płciowego obcowania zupełnie się nie podnieca nerwów u żony żadnymi pieszczotami, całusami lub objęciami, tylko wprost przystępuje się nie spodzianie, znienna do aktu spółkowania.

„Skutek przy tym głównie ma zależeć, aby zaraz od początku małżeństwa tak postępowano, aby młoda nie znała innego rodzaju wykonywania małżeńskiego obcowania jak tylko ten jeden”.

W razie, gdyby ten środek zawiódł, ma autor w zanadru jeszcze inny, mianowicie:

„Rzymski lekarz Soranus radzi chorobliwym kobietom, aby w tym momencie, kiedy już rozwiązuje się najwyższe uczucie mężczyzny, oddech w sobie wstrzymywały. A, że ten środek jeszcze dzisiaj praktykuje się, to podaje węgierski lekarz Lindner, opowiadając, iż zna pewną utalentowaną posesorkę⁶⁷, która tak samo robi, nie podnosząc żadnej skargi na stan swego zdrowia”.

Ale jest jeszcze inny sposób (również wyjmuję go z owej broszurki): kastracja, po której — jak stwierdził dr. Ferdy — „oczy stają się ładniejsze, jaśniejsze i znacznie

⁶⁷posesorka — zapewne: posiadaczka ziemiska. [przypis edytorski]

większe. W głosie i na poroście włosów nie zauważyłem (nie ja, ale dr. Ferdy) żadnych zmian. Żądza płciowa utrzymała się w zupełności...

Zoperowane panny wyszły za mąż, „przy czym ich mężowie nawet to sobie w głowie nie mają, że ich żony nie są takie, jak inne. Przez małżeństwo tych trzech dziewcząt doszedłem (mówi dr. Ferdy) do tego przekonania, że kastracja nie stanowi dla kobiety żadnej przeszkody do małżeństwa, tak że kastrowane panny prędzej się poszukuje dla małżeństwa”.

Pozostawmy tego entuzjastę kastracji jego marzeniom o „wielkich i jasnych oczach” bogdanki⁶⁸; na odwrót, znajdujemy w książce p. Ligisza dość oryginalne sposoby przeciw niepłodności: „Często (powiada) wynika ona z nierównego kroku temperamentów, co można świadomie skorygować: małżonek, który przy obcowaniu jest więcej gorący, gdy chce zostać ojcem, to musi przy spółkowaniu myśleć o jakimś interesie ze swego zawodu i w ten sposób odwrócić swoją uwagę od spółkowania”.

Rok 1903! Jakież to wszystko wydaje się przedhistoryczne! A przecież to była epoka, w której działał doktor Messinga, sprawiając przewrót swoim wynalazkiem; doktor Messinga, jak pisze o nim jedna z pionierek ruchu regulacyjnego w Niemczech, „niezapomniany wspaniały idealista, którego głębokie współczucie społeczne oraz rycerska cześć dla kobiety skłoniły do wynalezienia *pessarium oclusivum*⁶⁹”. Ale i samo *pessarium* czyż nie stanie się niedługo muzealnym zabytkiem wobec zdobyczy dzisiejszej czy jutrzejszej nauki? To jest pewne, że sprawa ta weszła na porządek dzienny jako jedno z najdonioślejszych zadań społecznych i że już z niego nie zejdzie, aż do zupełnego rozwiązania. I nie chciałbym, aby kilka niewinnych żartów, jakie pozwoliłem sobie wpleść w ten felieton, przesłoniło powagę samej kwestii. Przeciwnie — podobnie jak okropności dra Haire, cytowane w poprzednim felietonie, który tak zgorszył i zasmucił jedną z moich najsympatyczniejszych czytelniczek — mają one jedynie na celu skłonić publiczność do myślenia i mówienia głośno o tych sprawach, zbyt długo przemilczanych ku nieszczęściu całych pokoleń.

LITERATURA „MNIEJSZOŚCI SEKSUALNYCH”

Wszystkie wielkie doświadczenia ludzkości odciskają się w języku. Militaryzm dał mi bezlik metafor: szançe, hufce, placówki, zwarte szeregi, itd. Potem nastąpiła gwara parlamentaryzmu; obecnie przyszła moda na Ligę Narodów. Z niej to najwyraźniej wiodą początek — przez analogię do mniejszości narodowych — terminy *mniejszości seksualne*, *ochrona mniejszości seksualnych*, pierwszy raz (zdaje mi się) użyte na ostatnim kongresie seksuologicznym. Określenie to dość ściśle wyraża istotę rzeczy: „mniejszość”. I nigdy, zaiste, żadna mniejszość nie była tak uciskana.

Od czasu mego felietonu pt. *Przedwiośnie*, reprezentanci tej mniejszości w Polsce uważają mnie za swego sympatyka. Dostaję listy, w których zwierają mi swoje niedole. Często — pod ścisłym *incognito*⁷⁰ — rozmowy telefoniczne. W następstwie jednej z takich telefonicznych spowiedzi, otrzymałem paczkę specjalnych pism, wychodzących w języku niemieckim. Istotnie, na terenie Niemiec najlepiej można studiować te sprawy. Niemcy są jednym z niewielu krajów, gdzie utrzymały się jeszcze paragrafy przeciw homoseksualizmowi i gdzie się je z niemiecką dokładnością stosuje. Z drugiej strony, dotknięta tymi paragrafami część ludności przeciwstawia im wytrwałą akcję, opartą na szerokiej organizacji „mniejszościowej”.

— A jak jest u nas z kwestią organizacyjną? — spytałem mego telefonicznego informatora.

— Och, u nas zupełny chaos! — odparł ze zniechęceniem w głosie.

Przestudiowałem te dokumenty sumiennie, z zaciekawieniem, z uczuciem zapuszczenia się w cały nieznaną — czy wolno rzec: dziewiczy? — gąszcz ludzkich pragnień, marzeń i bólów.

Jaki jest stan duszy tych, którzy mają nieszczęście należeć do *mniejszości seksualnych*? Bardzo łatwo na to odpowiedzieć. Odwróćmy sytuację. Pewien docent teologii, dr Joseph

⁶⁸*bogdanka* (daw.) — kochanka. [przypis edytorski]

⁶⁹*pessarium oclusivum* — diafragma, kapturek dopochwowy (środek antykoncepcyjny). [przypis edytorski]

⁷⁰*pod ścisłym incognito* — ukrywając swoją tożsamość. [przypis edytorski]

Mayer, najnieprzejednany z nieprzejednanych, pisze: „Nigdy nie można dopuścić, aby homoseksualizm był bezkarny, i nigdy nie może przyjść do zgody między homoseksualistami i heteroseksualistami: jedni lub drudzy muszą albo ulec, albo zwyciężyć”...

Straszliwa wizja tego docenta teologii! Otóż, wyobraźmy sobie, że zwycięża nie liczba, ale organizacja, i że ulega obecna większość; że homoseksualiści, jak już prawie wszędzie opanowali ministerstwa spraw zagranicznych, opanowują ministerstwa wojny i inne, zamachem stanu narzucają dawnym ciemieżcom swoją władzę, płacąc im pięknym za nadobne. Wyobraźmy sobie, jak by to wyglądało. Paragraf: „Stosunki z płcią odmienną — 5 lat ciężkiego więzienia. Prowokowanie do stosunków z płcią odmienną — od 1 do 3 lat więzienia. Pomoc w stosunkach z płcią odmienną — 3 lata, itd., itd.” I moglibyśmy być kontenci⁷¹, że nie sięgają wstecz do dziejów, do owych jakże długo obowiązujących praw, stanowiących karę spalenia ogniem za stosunki homoseksualne, że nie odplacają nam wszystkiego oko za oko, ząb za ząb.

Nie żartuję. Jeżeli chcemy zrozumieć stan duszy prawdziwego (bo są i fałszywi) homoseksualisty, porównajmy go ze stanem duszy normalnego obywatela, któremu miłość do kobiety groziłaby ciężkimi karami i który musiałby się kryć z najniewinniejszymi uczuciami niepewny, czy nie czyhają nań szantaż i denuncjacja⁷².

Otóż dla homoseksualisty, skłonność jego jest tak samo wrodzona, tak samo wszczepiona przez naturę (religijni „homoeroci” nie wahają się powiedzieć: przez Boga), nieprzeparta. Istotnie, musi być nieprzeparta, skoro kilkanaście wieków prześladowań, ogień i żelazo, hańba i szysterstwo, przykład i wychowanie nie zdołały jej wypłenić. W ostatnim czasie nauka dostarcza coraz więcej argumentów na poparcie wrodzonego założenia homoseksualnego, wynikającego z pewnej swoistej sekrecji⁷³ gruczołowej.

Czy u wszystkich? Nie, zapewne. Istnieją homoeroci naturalni, i inni — można powiedzieć — sztuczni. Skąd ci się biorą? Po większej części stwarza ich kodeks. Utrudniając normalny bieg stosunków anormalnych, kodeks stwarza specjalny przemysł, uprawiany przez typy spod najciemniejszej gwiazdy. Ci, nie będąc homoseksualistami z natury, stają się nimi dla zysku, dla uprawiania szantażu. I to wydanie homoseksualistów na łup wymusieli, pod których obuchem żyją lata całe, rujnowani, terroryzowani, często doprowadzani do samobójstwa, oto — skarżą się homoeroci — jedyny pozytywny rezultat kodeksu. A potwierdza ten pogląd coraz większy zastęp najpoważniejszych uczonych.

Wyobraźmy sobie położenie tych ludzi, między którymi znajduje się wiele najwartościowszych jednostek. Wszakże ten tajemniczy kaprys przyrody może wziąć sobie za przedmiot swej złośliwości wysokiego urzędnika, sędziego, prokuratora, kapłana. Co za życie! Niewinni w duszy, a gnienieni brzemieniem hańby społecznej, wciąż pod grozą jakiejś katastrofy, wciąż z niezaspokojonym głodem serca, ukrywający wstydliwie swoje życie, oto los!... I znamienne jest, że związek homoerotów niemieckich — a jest ich podobno dwa miliony — nosi nazwę „Związek Praw Człowieka”. Mają swoją organizację, wydają swoje pisma, prowadzą rokowania z ministrem sprawiedliwości, uprawiają swoją politykę, oddając pokąsną liczbę swoich głosów tym stronnictwom, które odnoszą się życzliwie do ich sprawy. Złowrogi par. 175 musi upaść! — oto ich hasło bojowe. „Macie paragrafy o deprawacji nieletnich, o zgorzeniu publicznym, o nierządzie — powiadają: — to wystarczy; ale nie mieszajcie się do spraw ludzi dorosłych przy zamkniętych drzwiach”.

Ale nie o to mi tutaj chodzi. Są to rzeczy dość znane i nienależące do mnie. Chodzi mi o stronę literacką, psychologiczną. Przystudiowałem pisma, które mi przesłano. Mizerne to pod względem literackim, ale niezmiernie charakterystyczne. Czasem, gdy chodzi o poznanie duszy jakiegoś społeczeństwa, lepsze usługi oddaje literatura drugorzędna i trzeciorzędna niż literatura „świeczników”. Nie szukajmy duszy homoseksualnej u tego czy owego laureata Nobla, choćby skądinąd uprawnionego do tego, aby ją reprezentować; szukajmy jej w tych skromnych kajecikach⁷⁴, przypominających najbardziej jakieś pisemka młodzieży gimnazjalnej.

Sztuka

⁷¹kontent (daw.) — zadowolony. [przypis edytorski]

⁷²denuncjacja — doniesienie władzom o popełnieniu przez kogoś wykroczenia. [przypis edytorski]

⁷³sekrecja — wydzielina. [przypis edytorski]

⁷⁴kajecik — zdrobnienie od „kajet” (z fr.: zeszyt). [przypis edytorski]

W istocie, kiedy się przegląda te naiwne „czytanki” (mówię o piśmie *Das Freundschaftsblatt*, bo jest ich kilka) trudno sobie uprzytomnić, że mamy do czynienia z „rozpustnikami”. Rozpusta! Z naszego brzegu oczywiście każdy homoseksualizm jest rozpustą; z ich brzegu — nie. Mogą oczywiście i tam istnieć wszystkie odcienie; i don Juani, i sentymentalni marzyciele; niemniej jednak znawcy twierdzą, że częściej może w homoseksualizmie spotyka się miłość sublimowaną platonicznie (nigdy imię Platona nie znalazło się bardziej na miejscu!) niż w normalnym życiu kobiet i mężczyzn. Większa tu jest ilość odcieni między miłością a przyjaźnią, większa rola powinowactwa duchowego, większa możliwość dzielenia zajęć, upodobań, lektury, zainteresowań. Wspólna tajemnica, wspólne prześladowania, wspólna hańba, szczupłość wreszcie tego specjalnego społeczeństwa, konieczność ciągłego oczyszczania się z „falszywych braci”, wszystko to sprzyja może rozwinięciu się pewnych cnót, lojalności, przyjaźni, braterstwa. Ale pozwólmymy mówić im samym. W każdym numerze, oprócz jakiegoś artykułu, przeważnie skierowanego przeciw paragrafowi lub liczącego sympatyczne głosy uczonych — a jest ich coraz więcej — istnieje część literacka. Czytałem ją z uśmiechem i kiwałem głową: więc tak wygląda przy bliższym poznaniu owa osławiona rozpusta! Są tam nowelki o przyjaźni, są wierszyki godne zbiorów dla dzieci, są nowelki na Boże Narodzenie i na dzień zaduszny... Posłuchajcie sami, streszczę kilka utworów.

Obrazek: *W kąpieli*. Wśród igraszek w pływalni dwaj młodzi ludzie obserwują się z daleka, ale żaden z nich nie śmie się zbliżyć. (Ta niepewność, to jedna z najbardziej nieznośnych rzeczy: w normalnych stosunkach, mężczyzna, widząc kobietę, wie, z kim ma do czynienia; tutaj nigdy nie wie, czy ten drugi należy do klanu, czy nie). Naraz⁷⁵, z pustoty⁷⁶, kąpiący się wrzucili jednego z nich zniecacka do wody: zanurzył się i — nie wypłynął. Drugi skacze, daje trzy razy nurka, wydobywa go, przywraca do zmysłów. I znów oczy ich spotykają się: „Tyś mi uratował życie?” — szepce ów ocalony. Prowadzi go do siebie do domu, przedstawia go rodzicom, którzy z rozczuleniem dziękują wybawcy — no i nie trzeba dodawać, że szczęście nie dało na siebie czekać.

Inna nowelka, bardziej dramatyczna. Dwaj przyjaciele. Młodszy przychodzi odwiedzić, jak zwykle czynił, starszego. Ale zamiast uśmiechu na ustach, zamiast gorącego pocałunku, zastaje chmurną twarz. Starszy dowiedział się o zdradzie; dowiedział się, że tamten ma od roku stosunek z dziewczyną (najhaniebniejsza zdrada, jakiej homoerota może się dopuścić!) i że chce się z nią żenić. Miażdży niewiernego płomienną tyradą⁷⁷: zdradził miłość, przyjaźń, braterstwo, sponiewierał wspomnienie ich świętych nocy! Wypędza go, po czym zostaje sam; mimo woli ściska w dłoni stalową lufę rewolweru. Ale otrząsa się. „Dla takiego szubrawca? Nigdy!” — tak rzekł i siadł do biurka do pracy. Tytuł noweli: *Porachunek*.

Chcicie, dla odmiany, poezji? Macie ją, w przekładzie prozą:

„Wyszedłem narwać róż, aby wonnym bukietem przystroić portret przyjaciela. I zdało mi się, że każda róża na krzaku mówi: „I mnie także zerwij, dla kochanka, dla przyjaciela, i mnie zerwij, i mnie!”... Koniec.

Coś z kroniki. Tytuł: *Wybryki*.

„Normalni mają szpetny zwyczaj, że w kabinach kąpielowych i klozetach piszą i rysują. Niestety, bywają i homoeroci, którzy naśladują normalnych w tym brzydkim zwyczaju. Nie zastanawiają się, ile szkody przez to wyrządzają, jak fałszywe światło rzucają przez to na homoerotów, ściągając na nich wrogie usposobienie publiczności.

Wszyscy przyzwoioci homoeroci wypierają się wspólności z tymi, którzy profanują w ten sposób miłość między-męską. Jest podejrzenie, że robią to męskie prostytutki lub szantażyści, zastawiający sidła na ofiary. Każdy porządny homoseksualista, skoro zobaczy takie rysunki i napisy, niech je starannie zamaże. Zatem żwawo do dzieła!” — tak kończy się odezwa.

To znów refleksja:

„Zazdrość często niszczy szczęście. Po ciężkich próbach, jeden wcześniej, inny później, każdy dochodzi do przeświadczenia, że lepiej jest pozwolić przyjacielowi na przelotną

⁷⁵naraz (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

⁷⁶pustota (daw.) — skłonność do lekkomyślnych żartów. [przypis edytorski]

⁷⁷tyrada — gwałtowna a. podniosła wypowiedź, krytykująca kogoś lub coś. [przypis edytorski]

niewierność, niż go całkiem stracić. Wieczna miłość do grobu — to rzadka rzecz między ludźmi” — kończy melancholijnie ów rywal La Rochefoucaulda⁷⁸.

Jeszcze nowelka. Siedzi młodzieniec w swoim pokoju w wilię Bożego Narodzenia i duma. Jest sam, przyjaciel go zdradził. Idzie błędzić smętnie do lasu za miastem. Naraz wychodzi naprzeciw niego przyjaciel, który powiada: „Wiedziałem, że tu przyjdiesz. Kocham cię. Tamto to był słomiany ogień”. Okolił szyję przyjaciela ramionami i całował go. Chłopiec z wezbranym sercem wraca do domu: „Co za cudowne święta Bóg mi zesłał — szepce. — Dzięki Ci, Boże na wysokościach, za to, żeś raczył wszystko tak dobrotliwie pokierować twoją wolą!”

Każda z takich nowelek ma nie więcej niż pięćdziesiąt wierszy; temat ciągle ten sam. Trzeba przyznać, że „heteroseksualiści” mniej są ekskluzywni w swojej literaturze. Oto do czego prowadzi prześladowanie...

Jest i na dzień zaduszny: refleksje na grobie młodego chłopca, który zabił się niedawno. I kto wie, czy refleksje te nie odsłaniają tajemnicy wielu zagadkowych samobójstw, zdarzających się w młodym wieku. Chłopiec odkrywa w sobie ze zgrozą, że jest inny niż wszyscy, anormalny; żyje w ciągłej obawie, że go odkryją, że ściągnie na siebie wzgardę kolegów, traci chęć do życia, zabija się. „Kiedyż zniknie wreszcie fałszywa moralność i zło-wrogi paragraf, który pędzi ludzi w dobrowolną śmierć!” — tym westchnieniem kończy się utwór.

Nie jedyny to autentyczny dokument takiego samobójstwa. Oto czytamy wspomnienie poświęcone młodemu i ślicznemu chłopcu, w którym zakochała się córka bogatego sąsiada. Rodzina zmusiła go do zaręczyn; grał jakiś czas komedię, pasował się⁷⁹ z sobą, wreszcie utopił się w jeziorze Bodeńskim.

To znów próbka namiętnego stylu:

Bogaty przemysłowiec, niewinnie oskarżony o zhańbienie małoletnich, wychodzi z więzienia zrujnowany. Ale nie to sprawia mu najwięcej bólu. Hans, jego przyjaciel, jego ukochany, nie dał znaku życia, nie zjawił się nawet na rozprawę. Wspomina sposób, w jaki się poznali, spotkanie na sportowej wycieczce w samotnej chatce alpejskiej, zasypanej śniegiem, gdzie, odcięci na parę dni od świata, przeżyli cudowne chwile...

„Naraz, gdy tonie w gorzkich refleksjach, spogląda, oczom nie wierzy: Hans!

— Hans, to naprawdę ty? Mogęż w to wierzyć, to nie sen? Przyszędłeś? Czekaleś na mnie?

Pochylił się nad wąskimi rękami Hansa i przycisnął do nich wargi. Potem położył Hansowi ręce na ramionach, przyciągnął mocno jego smukłą postać, jakby ją chciał bronić od całego świata wrogów. Patrzył mu płonącym wzrokiem w oczy i z najgłębszego serca spłynęło mu westchnienie na wargi”...

Jeszcze tylko jedna i już koniec. Ale tę pozwolę sobie przytoczyć w całości. Tytuł: *Samotny kościółek*.

„Stał w lesie stary, samotny kościółek, z dzwonkiem, którego jasny głos biegł niegdyś przez ciche niwy. Zarosły drogi, zdziczał las, tak że nikt nie umiał znaleźć drogi do kościółka, zapomniano o nim.

Słońce złożyło ostatnimi promieniami letni dzień, który miał się ku schyłkowi. W gęszczy ptaszek śpiewał swoją pieśń wieczorną. Zatopiony w sobie, z wyrazem bólu na obliczu, szedł pochylony człowiek przez złotą ciszę. W rękach niósł starannie zawiniętą poduszkę, w której spał mały chłopiec. Tak szedł cichy wędrowiec lasem i stanął przed samotnym zapomnianym kościółkiem. Przesiadł na wydeptanych stopniach i patrzył pytająco w siną dal wieczornego nieba. Tysiące gwiazd mrugało ku niemu. W tym kościółku pozostał cichy obcy człowiek ze swoim chłopczykiem — żył dla siebie, z dala od gwarne go świata, który go oszukał i zawiódł.

Tak przeszły dni w cichej samotności. Biegły tygodnie, miesiące, lata. Z małego chłopca wyrósł śmigły⁸⁰ młodzieniec, który nic nie wiedział o sprawach świata, który nie wiedział nic o miłości i o życiu, ani nie zaznał serdecznego bólu. Aż, pewnego dnia,

⁷⁸La Rochefoucauld, François de (1613–1680) — francuski książę, pisarz i filozof, znany ze swoich pesymistycznych aforyzmów. [przypis edytorski]

⁷⁹pasować się (daw.) — walczyć, zmagać się (por. zapasy). [przypis edytorski]

⁸⁰śmigły — (zazwyczaj o drzewie) wysoki, smukły. [przypis edytorski]

wezwał go ojciec do łoża, które z sobą zawsze dzielili, i prosił go, aby zadzwonił. Chłopiec spełnił ostatnią wolę ojca. Ale stary, zmęczony ojciec usnął z głębokim bolesnym skurczem ust! dusza odeszła, a zimne jego ciało leżało znużone. Pierwszy raz samotny chłopiec wylał z osmuconego serca łzy.

Pieśń zmilkłego głosu pobiegła przez ciszę leśną do kogoś, kto, opuszczony i bezdomny, siedział na zwałonym olbrzymim pniu i myślał o smętnej przeszłości. Ale na dźwięk dzwonu nastawił ucha. Poszedł za dźwiękiem i niebawem wszedł do zapomnianego kościółka. Zastał zwłoki, a przy nich smutnego chłopca. Pomógł mu przygotować grób dla umarłego. Pocieszył chłopca i starał się o swego nowego pupila, któremu los zabrał jedyne co miał: ojca. Ale jednego ranka stanęli obaj naprzeciw siebie i ścisnęli sobie ręce na pożegnanie. — Zostań ze mną, rzekł samotny chłopiec do tego, który trafił tu za dźwiękiem dzwonu; i został. Wziął znalezione w objęcia, przysiągł mu zawsze dzielić z nim nową siedzibę — pocałunek był pieczęcią ślubu.

Ale dzwon zamilkł, skoro przywiódł dwóch ludzi do czystej miłości. Bo w tym dniu, w którym dwóch ludzi stanęło przed zmurzałym ołtarzem i z dała od tego zgiełku i z wodnej krzątaniny świata przysięgli sobie wiarę, spadł dzwon z łożyska, stara lina przerwała się jak nić życia — nagle i niespodzianie. Ale chłopiec leśny znalazł treść istnienia — miłość.

Biegły dni — tygodnie — miesiące — lata; w kościele, który, wpół rozwalony, zapomniany, stał w lesie, mieszkali dwaj ludzie w czystej miłości, jedynym szczęściu, jakie im dała natura na drogę życia”.

Powiedzcie, czy wam to nie przypomina raczej *Anhellego*, niż którąkolwiek z ksiązek, którymi my, ludzie normalni, drażnimy swoją wyobraźnię? Bo z pewnością — jeśli spojrzeć na rzecz z tamtej strony — dałoby się odnaleźć sporo analogii między cierpieniami tych, którzy wyzuci są z narodowego bytu, a owych ludzi, którzy, od młodości dławieni w swoich najbardziej przyrodzonych pragnieniach i ukochaniach, hańbieni piętnem niewoli, gnący się pod jarzmem przemocy, wiodą z pewnością nieraz — kiedy się znajdują w serdecznym gronie — ciche, nocne, bolesne rozmowy. Mają i oni swoją martyrologię, aby tylko wymienić Oscara Wilde... I oni mają swoje *księgi pielgrzymstwa*; i oni spoglądali z nadzieją ku „wojnie ludów”, której jedyną rehabilitacją może być to, że zdarła maski z wielu kłamstw i fałszów i że skruszyła wiele kajdanów. I wierzą, mimo proroctw dr. Josepha Mayera, że przyjdzie wreszcie do zgody między większością a mniejszością, że kiedyś nie będzie ciemniźcyli ani ciemniżonych, i że przyszła ludzkość zaledwie będzie chciała wierzyć, aby mogło istnieć w XX w. to, co istnieje dotąd — przemoc człowieka nad człowiekiem.

CZEMU?...

Znowu miałem atak „gonitwy myśli”. Przyszło mi to w kąpielu, a najdziwniejsze skąd się zaczęło. Bezpośrednio przed wlezieniem do wanny, przeglądałem starą encyklopedię, ową pra-encyklopedię Diderota⁸¹ i d’Alemberta⁸². Jest tam na froncie rycina przedstawiająca *nauki zajęte odkrywaniem Prawdy*: Prawda w leciutkiej gazie, przez którą widać jej pępek, a dokoła niej tłum dziwek, personifikujących poszczególne nauki. I zamyśliłem się, na czym polega i skąd się wzięło uprzywilejowanie elementu kobiecego we wszelkiej alegorii? Fizyka, metafizyka, chemia, same kobiety; w rezultacie, owa „grupa nauk” — uroczą zresztą z tym smaczkim XVIII wieku — wygląda jak scena z zamtuza⁸³ albo ilustracja do pornograficznego romansu. Ale w ogóle skąd się wzięła i na czym polega *pleć* rzeczowników? Czemu jedne są żeńskie, drugie męskie? Czemu wszystkie prawie abstrakcje — *cnota, wiara, nauka*, etc. — są kobietami? Czemu jest *ten rozum*, a *ta* wiedza? Na zasadzie jakiej tajemnicy zmienia się często *pleć* z jednego języka do drugiego? Czemu księżyc jest samcem w Polsce i w Niemczech, a samicą we Francji? Czemu jest *ta* rzeka, a *ten* strumień? — niby dlatego że do niej wpada? Czemu jest *ta* fala a *ten* bałwan, choć to

Kobieta, Nauka

Język

⁸¹ Diderot, Denis (1713–1784) — francuski pisarz, krytyk i filozof, współredaktor *Wielkiej Encyklopedii Francuskiej*, autor powiastki filozoficznej *Kubuś Fatalista i jego pan*. [przypis edytorski]

⁸² d’Alembert, Jean Le Rond (1717–1783) — francuski filozof, matematyk i fizyk, współredaktor *Wielkiej Encyklopedii Francuskiej*. [przypis edytorski]

⁸³ zamtuz (daw.) — dom publiczny. [przypis edytorski]

jedna i ta sama woda? Czemu jest *ten* koniak, *ta* wódka, a *to* whisky? Czemu... czemu... czemu...

I naraz to „czemu” przeciągnęło mi się, wydłużyło, zmięкло, popłynęło melodią. Zaczęło mi w duszy śpiewać:

Czemu dzisiaj tak pobladły listki róży — ach, po-wiedz, skarbie mój! —
Czemu fioletek, jak po gradowej burzy — utracił la-zu-ro-wy stró-ó-ój? —
Czemu i we mnie dzisiaj smutek gości — o, mój aniele, powiedz mi, błagam
cię...

Co to jest? Skąd mi to przyszło? Ach, prawda: to jest pieśń pod tytułem *Czemu* (*Perchè*), którą śpiewano za czasów mojej młodości.

I naraz, po latach, uświadomiłem sobie, że przecież te wiersze to jest dość niezadarna parafraza (może *via* Włochy?) wiersza Heinego⁸⁴: *Warum sind denn die Rosen so blass— o sprich, mein Lieb, warum?* — *Warum sind denn im grünen Gras— die blauen Veilchen so stumm...*

Przepraszam za tę niemczyznę, której większość czytelników nie rozumie, ale mógłbym tak Heinego mówić godzinami, mimo że go nie miałem w ręku od wielu dziesiątków lat. Wynika to z osobliwego nałogu, jaki miałem w młodości; mianowicie, ilekroć byłem sam, a nie miałem co robić z czasem, mówiłem sobie półgłosem wiersze, najczęściej Heinego lub Słowackiego. Na przykład kiedy kobieta spóźniała się na randkę. A w owym czasie kobiet było mało i tak były tym rozzuchwalone, że nieraz spóźniały się o trzy godziny, a czasem w ogóle nie przychodziły.

Ale naraz ten wiersz Heinego wywołuje na srebrnym ekranie mej duszy inny obraz. Widzę siebie, w mundurze austriackiej piechoty (13-ty pułk, najbrzydszy mundur na świecie, granatowy kubrak, kołnierz, epolety⁸⁵ i mankiety różowe, spodnie koloru nieba), jak stoję na warcie z karabinem, albo obchodzę mój posterunek dookoła i mamrocę wiersze, aby zabić nudę. Znowu Heine... *es duften die Blumen im Abendscheine — die Nachtigall...* (Czemu *die*, niby że słowik?)... *die Nachtigall schlägt; — ich such ein Herz so schön wie das meine...*

Naraz zimno mi się zrobiło w wannie. Wzdrygnąłem się. Stała mi w pamięci scena tak dziwna, tak okropna, że nie wiem jak ją tu opisać: coś przewyższającego najzuchwalsze *Wyznania* Russa⁸⁶. Ale muszę: niech mi posłuży wobec potomności jako uniewinnienie, jako obraz owych jakichś niepojętych drgnień duszy, których obsesji podlegam niemal bezwolnie.

Widzę tedy siebie, wciąż w mundurze „jednorocznika” 13-go pułku (miałem lat 18, świeżo po maturze, ale byłem bardzo dziecinny), z karabinem, na warcie na *munitionsdepie* (magazyn amunicji) w Płaszowie. Była to bardzo surowa warta, co do której obowiązków specjalnie nas przełożony uświadamiał. Stoję sobie przed moją budką w samo południe; to znów, dla odmiany, przepisowo obchodzę magazyn, mamrocąc wedle zwyczaju wiersze... Naraz zatrzęsło mną, tak samo jak dziś jeszcze na to wspomnienie. Spadło na mnie coś, co psychiatria nazywa „myślą przymusową”. Mianowicie myśl, że muszę wejść do mojej budki szyldwach⁸⁷ i zrobić kaka. Nie żebym właśnie potrzebował; jedynie tak, dlatego że to zbrodnia. Włosy mi stanęły na głowie: gdyby mnie zesła inspekcja, albo gdyby się potem wydało (a przecież *corpus delicti*⁸⁸) strach co mnie czeka! Służba na warcie podlegała prawom niemal wojennym, nic by mnie nie ocaliło: parę lat więzienia, potem degradacja i trzy lata służby jako prosty żołnierz. Zęby mi dzwoniły, równocześnie zaś czułem, że nic nie potrafię przeciwstawić tej obsesji. Prawie jęcząc i płacząc z wściekłości, oparłem karabin o budkę (wypuścić z rąk karabin na warcie! coś potwornego!) i wszedłem do środka... Po chwili wyszedłem, wciąż dzwoniąc zębami, ale równocześnie coś we mnie śpiewało jakiś tryumf wolności ducha, czułem niby skrzydła u ramion. Podjąłem karabin

Wspomnienia, Zbrodnia,
Zbrodniarz

⁸⁴Heine, Heinrich (1797–1856) — znakomity poeta niemiecki, rewolucyjny demokrat. [przypis edytorski]

⁸⁵epolety — naramienniki munduru wojskowego. [przypis edytorski]

⁸⁶Rousseau, Jean Jacques (1712–1778) — francuskojęzyczny pisarz i myśliciel pochodzący ze Szwajcarii, twórca epoki schyłkowego oświecenia, sentymentalizmu, prekursor romantyzmu. [przypis edytorski]

⁸⁷szylwach (z niem.) — wojskowy strażnik. [przypis edytorski]

⁸⁸corpus delicti — łac. przedmiot przestępstwa; dowód rzeczowy. [przypis edytorski]

i zacząłem znowu obchodzić moją prochownię, mamrocząc dalej przerwane:... *ich such ein Herz so schön wie das meine, so schön bewegt...*

Nie wiem, jakim cudem zbrodnia ta nie wyszła nigdy na jaw; ja się do niej nie przyznałem nikomu. Sam zapomniałem o tym, jak się zapomina zły sen. Było to jedno z najdziwniejszych wrażeń w moim życiu: do dziś dnia, kiedy o nim myślę, jest ono dla mnie niewytłumaczone. Czemu ja to zrobiłem? Czemu, *perche...*

I znów zaczęło we mnie śpiewać: „Czemu dzisiaj tak pobladły listki róży — ach, powiedz, skarbie mój...

Ale obraz był znów inny. Obraz, jaki zawsze wywołują we mnie pewne melodie. Widzę salę Sokoła, w której w owym czasie odbywały się w Krakowie wielkie koncerty, słyszę syczące płomyki gazu, widzę napisy biegnące fryzmem dokoła sali: *Razem młodzi przyjaciele... dziekiem w kolebce kto urwał etc.*, widzę podciągnięte do góry na ten wieczór przyrządy gimnastyczne, sznury, drabiny, trapezy, drgające pod tchnieniem głosu jakiegoś Myszugi czy Floriańskiego. Pamiętam nawet Mierzwińskiego, w jego drugiej fazie, gorszej; widzę tego byczka, o najgłupszej twarzy, jaką oglądałem w życiu, jak, wlepiwszy wybaluszone oczy w trapez pod sufitem, ryczy: *Vorrei morir...*

Ach, ten repertuar! Niedawno słuchałem Kiepurę przez radio: ze wzruszeniem sprawdziłem, że ten dawny repertuar tłucze się jeszcze po trosze do dziś, z tymi samymi nieprawdopodobnymi tekstami. Jakżem się ucieszył, kiedy usłyszałem ową *Barkarolę*: „Ta błoń, to miłość, łódź sercem się zwie”...

Niestety, nie wszystko przetrwało. Och, jakżebym chciał odnaleźć owego Tostiego: „A czyś ty już zapomniała, jak o minionym śnie, i już byś nie umiała uśmiechem darzyć mnie”... A *Dzień Zaduszny* Lassena, bez którego żaden koncert nie mógł się obyć! „Pójdź, luba, dziś, złóż wonny kwiat rezedy — jesiennych astrów też bukiet mi daj — i pozwól niech znów Kocham cię jak wtedy — gdy był ten maj, ten cudny maj”... Po czym amant⁸⁹, chcąc nakłonić lubą, aby mu się oddała, ucieka się do tego niesłychanego wręcz argumentu, że „wszak światło dziś na każdej jest mogile, więc do mnie pójdź, niech wrócą szczęścia chwile”...

Nie ma już dziś takich pieśni. I dlatego błagam Kiepurę, jeśli go przypadkiem dojdą te słowa, aby na najbliższym swoim koncercie zaśpiewał coś specjalnie dla mnie: i Tostiego, i „światło na mogile”, i przede wszystkim owo *Czemu* (*Per ché*). I kiedy będzie lał nektar swego cudnego głosu w Filharmonii, niech wie, że gdzieś w ciemnym pokoiku na kanapie leży cień ludzki ze słuchawkami na uszach i z twarzą zalaną łzami wtóruje mu z cicha: „Czemu w mym sercu dzisiaj smutek gości”...

Czemu... czemu... czemu...

Dziwne rzeczy można znaleźć w starej *Encyklopedii* d'Alemberta!...

OFENSYWA PRZECIW ZAZDROŚCI

Uderzało mnie zawsze, że w gazetach pisze się o wielu rzeczach, ale najmniej albo nic o tym, co jest ważne. Pisze się o katastrofach kolejowych całego świata, pisze się o ukąszeniu dziecka przez żmiję w stanie Ohio. Pisze się o bilansie handlowym, na którym nikt z czytelników się nie rozumie⁹⁰, a nie pisze się o bilansie dnia powszedniego, o bilansie ludzkiego szczęścia. Nigdy bardziej to nie uderzało, niż w tej chwili. Trzeba być ślepym, aby nie widzieć, jak bardzo świat się przemienia; ale przemiana ta odbywa się, można rzec, na dziko: nikt (u nas przynajmniej) nie sili się dopomóc do jej uświadomienia. Wkłamuje się nowe życie w dawny frazes, to i wszystko. A ludziska błakają się bezradnie.

Grano niedawno w Warszawie amerykańską sztukę *Ulica*, gdzie pijak i brutal zabija niewierną żonę, z gruntu dobrą kobiecinę, dla której był najgorszym mężem. Znosiła to cierpliwie, wychowała sama dzieci, była najlepszą matką, aż, po dwudziestu latach, serce jej upomniało się o trochę miłości.

Dysputowano w towarzystwie na temat tej sztuki; jakiś pan architekt (po paru wódeczkach co prawda) rzekł: „Oczywista, że nie mógł nic innego zrobić; i ja bym tak zrobił, i każdy też samo”.

⁸⁹ *amant* (z łac.) — kochanek. [przypis edytorski]

⁹⁰ *na którym nikt z czytelników się nie rozumie* — nikt z czytelników się nie zna. [przypis edytorski]

Uderzyła mnie ta opinia, bo podobny wypadek zabójstwa wziął sędzia Lindsay⁹¹ za punkt wyjścia swoich rozważań na temat zazdrości w książce *Małżeństwo koleżeńskie*.

A teraz pytanie: czy by nasz pan architekt zabił, czy nie? Raczej by nie zabił; ale wówczas błąkałby się bezradnie w położeniu, którego nie przemyślał i z którego nie widzi żadnego ludzkiego wyjścia. I zdziwiłby się ten mieszczuch, zakrzepły w tradycjach wojewody z *Mazepy*⁹², dowiadując się, że sprawa, o której mowa, jest obecnie w świecie przedmiotem bardzo poważnego ruchu rewizjonistycznego. Nie zabójstwo z zazdrości, ale i zazdrość sama.

Naciera ta kwestia na nas ze wszystkich stron. Czytałem niedawno nowy *Savoir vivre* francuski Pawła Reboux. Różni się tym od innych, że pisany jest przez dobrego literata i rozsądnego człowieka. Gdy zwykle takie podręczniki, przepisywane jeden z drugiego, są zbiorem czczych⁹³ formulek, tutaj autor swobodnie rozgląda się po świecie i poddaje kontroli formy naszego życia; bada, co jeszcze się trzyma, a co już spróchniało i dobre na śmietnik. I dlatego godłem widniejącym na okładce książki jest *miotła*: wymiatać, wymiatać! Otóż uderzyło mnie w tej książce, wkraczającej chwilami w dziedziny filozofii życia, z jaką pasją, w paragrafie o zazdrości, autor atakuje „tę przywarę, najbardziej jałową, ślepa, okrutną, głupią, zbrodniczą ze wszystkich”.

Skoro rzecz weszła już do *savoir vivre*, to znak, że jest poważna i warta zastanowienia. Rozpatrzmy więc pokrótce elementy zazdrości, oraz stosunek myśli nowoczesnej do tej sprawy.

Należałoby odróżnić zazdrość męską i zazdrość kobiecą. Mówmy na razie o męskiej. W niej znowuż wypadnie rozróżnić instynkt naturalny, spotykany i u zwierząt, od elementu wychowania społecznego: to ów *punkt honoru*, wszczepiony w ludzi, popychający do gwałtownych aktów zazdrości, nawet wobec kobiety uczuciowo obojętnej.

Źródło tego *wychowania społecznego* wymagałoby znowuż analizy. Gra tu dużą rolę poczucie własności, sięgające epok, gdy kobieta była *rzeczą* mężczyzny. W patriarchalnym ustroju dawnych społeczeństw przeważał wzgląd na czystość rodu, autentyczność potomstwa. Ta znowuż, w świecie opartym na posiadaniu, była zarazem kwestią majątkową: dziecko cudze, wprowadzone niejako podstępem do rodziny, uszczupla schedę⁹⁴ rodzeństwa, przywłaszcza sobie dziedzictwo, które mu się nie należy.

Oto autentyczny fakt, który mi opowiadano, świadczący, że, w analogicznych stosunkach, pojęcia te można by spotkać i dziś w całej ich czystości. Przed kilkunastu laty umarł jeden z naszych magnatów, mniejsza o nazwisko. W momencie działu majątkowego, wdowa po nim zgromadziła dorosłe dzieci i rzekła: „Moje dzieci, ponieważ zwykłam chodzić zawsze prostą drogą, więc wam powiem, że wasza najmłodsza siostra nie jest córką waszego ojca i tym samym nie ma prawa do schedy; wyposaży ją jej prawdziwy ojciec, którym jest hrabia X.” Dla tej ostatniej polskiej matrony⁹⁵ była to przede wszystkim kwestia uczciwości majątkowej, silniejszej niż poczucie wstydu. Jest w tym coś rzymskiego, a w każdym razie bardzo pańskiego.

Przypuszczam dalej (mimo że nie spotkałem się z tym motywem), że niemalą rolę w zazdrości w dawnych czasach musiała grać i kwestia higieny. W epoce, gdy nieoponowany przez medycynę syfilis⁹⁶ groźny był jak dżuma, jedyną gwarancją było zaślubić patentowaną dziewicę i trzymać ją pod kluczem. Mąż niewiernej żony nie był pewny dnia ani godziny, a *salwarsan*⁹⁷ nie było.

Wreszcie, im dalej w przeszłość, tym życie ludzi było bardziej gromadne, przeźrocyste: osobiste postęпки, a nawet odczucia człowieka były pod ciśnieniem przeciętności.

Wszystko to bardzo się w ostatnich czasach pozmiało.

⁹¹Lindsay, Benjamin Barr (1869–1943) — amerykański sędzia i reformator społeczny z Denver w stanie Colorado, przez wiele lat kierujący tam sądem dla nieletnich; propagator pomysłu „małżeństwa na próbę” (*companionate marriage*). [przypis edytorski]

⁹²Mazepa — dramat Juliusza Słowackiego, mający za temat zazdrość wojewody o młodą żonę romansującą z królem i z jego sługą. [przypis edytorski]

⁹³czczy — nic nieznaczący, jałowy. [przypis edytorski]

⁹⁴scheda — spadek. [przypis edytorski]

⁹⁵matrona — starsza, przeważnie zamężna kobieta, ciesząca się poważaniem. [przypis edytorski]

⁹⁶syfilis — choroba przenoszona drogą płciową, inaczej kiła. [przypis edytorski]

⁹⁷salwarsan — związek organiczny z domieszką arsenu, pierwszy syntetyczny środek bakteriobójczy i pierwsze skuteczne lekarstwo na syfilis. [przypis edytorski]

Świat rodów i majątków ustąpił miejsca światowi pracy. Kobieta przestaje być rzeczą męczyzny, aby się stać jego uprawnioną towarzyszką, z każdym dniem zyskującą na samodzielnosci i swobodzie. „Błąd” kobiety coraz rzadziej grozi niepożądanym macierzyństwem. Uczucie miłości wysubtelniło się, skomplikowało psychicznie, gardzi dawnymi środkami przymusu; zresztą, w nowoczesnych warunkach, dozór, kontrola cudzego życia jest technicznym niepodobieństwem⁹⁸.

Wszystkie te przemiany — które oczywiście zaznaczam bardzo pobieżnie i których punktację można by przedłużać do woli — sprawiły, że praktyka współżycia niezmiernie się zmieniła. — Ale teoretycznie brak jakichkolwiek uprawnień dla tego przeobrażenia. Życie okazuje się tu znacznie śmielsze od myśli ludzkiej, która milczy lub zadawała się frazesem. Dopiero w ostatnim czasie wypowiedzieli się w sprawie dzisiejszego małżeństwa dwaj ludzie, których nazwiska powtarza się najczęściej, gdy chodzi o nowe formy życia: angielski filozof Bertrand Russell⁹⁹ (*Małżeństwo i moralność*) oraz wspomniany już Lindsay. Obaj dopełniają się: sędzia, mający za sobą trzydzieści lat doświadczenia, człowiek który wysłuchał tysięcy zwierzeń i spowiedzi i rozplątał setki konfliktów zdawałoby się beznadziejnych, reprezentuje empiryzm życia; Russell, jeden z największych filozofów współczesnych, wspiera go autorytetem myśliciela.

Obaj ci moralisci wygłaszają poglądy nader śmiało. Obaj wprawdzie uważają małżeństwo za najlepszą formę współżycia dwojga ludzi (sami są szczęśliwie żonaci) i to małżeństwo trwałe (zwłaszcza o ile są dzieci), monogamiczne, wyłączne. Ale (powiadają) to jest ideał, do którego nie wszyscy dorośli i który nie wszystkim się nadaje. Nie ma powodu, aby nieziszczenie tego ideału było równoznaczne z katastrofą życia. Że tak jest często dotąd, wina w tym fałszywego wychowania, rutyny zastępującej osobiste poczucie ludzkie. W wypadku, od którego Lindsay zaczyna swoje rozważania, zdradzony mąż zastrzelił żonę i siebie; czy zrobiłby tak — pyta Lindsay — gdyby weń nie wmówiono, że to jest jedyne wyjście? Japoński generał popełnia harakiri¹⁰⁰, skoro przegra bitwę; amerykański generał nie: kwestia wychowania.

Lindsay i Russell wypowiadają się przeciwko tyranii zazdrości, tyranii odziedziczonej w znacznej mierze po innych stadiach cywilizacji. Lindsay dopuszcza śmiało możliwość stadła¹⁰¹, które się kocha wzajem, ale w którym każda strona odczuwa potrzebę nowych przeżyć. Cytuje przykład takiego małżeństwa, żyjącego w najlepszej harmonii. Zamiast rozdierać szaty, podnosi z uznaniem inicjatywę tych, którzy problem własnego życia starają się poznać i rozwiązać indywidualnie, którzy torują niejako nowe drogi. „Gdyby więcej ludzi zerwało z tradycjami i żyło wedle własnego tajemnego przekonania, wówczas byłoby więcej szczęśliwych małżeństw i mniej rozwodów; gdyby małżeństwa kierowały się indywidualnymi skłonnościami a nie rutyną, przyniosłoby to nieobliczalne korzyści”, powiada ten sędzia. Przeżycie miłosne jest dla niego czymś innym niż „rozpusta”; może ono być najszlachetniejszą podniętą duchową; źle byłoby, gdyby małżeństwo miało być grobem wszystkich możliwości, albo gdyby każda miała mu grozić rozbięciem.

Zazdrość — zdaniem Lindsaya — polega częścią¹⁰² na romantycznym pojęciu miłości, częścią na zadawnionym przeświadczeniu, że kobieta jest własnością, do której nabywa się praw. Nasze niepisane konwencje gloryfikują zazdrość, robią z niej fetysza. Podejrzliwość, brutalny egoizm wynosi się do rzędu kardynalnych cnót domowych. Pośrednio czy bezpośrednio, zazdrość jest przyczyną 90% nieszczęścia w małżeństwie. Naturalnym jest pragnienie zajmowania jedyne miejsca w sercu ukochanej istoty, ale szpetnym egoizmem jest bronić tego miejsca siłą. Miłości nie da się wymusić. Miłość dba o drugą istotę, zazdrość o siebie. Nie ma ona nic wspólnego z miłością, mimo że się za nią przebiera. W dzisiejszym skomplikowanym naszym życiu jest to „trzykrotnie destylowana trucizna”. Ludzie nie doszli do zrozumienia, że złość, nienawiść, zazdrość itp., o wiele są zgubniejsze dla szczęścia, niż trochę swobody płciowej. Niedorzeczne jest upieranie się przy formach życia, które nie odpowiadają rzeczywistości; „przesądem i bluźnierstwem

Kobieta

Małżeństwo

Małżeństwo

Zazdrość, Miłość

⁹⁸niepodobieństwo (daw.) — coś nieprawdopodobnego a. niemożliwego. [przypis edytorski]

⁹⁹Russell, Bertrand (1872–1970) — brytyjski filozof, matematyk i logik, a także działacz społeczny i eseista, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury (1950). [przypis edytorski]

¹⁰⁰harakiri — japoński sposób na samobójstwo przez rozprucie brzucha mieczem. [przypis edytorski]

¹⁰¹stadło (daw.) — małżeństwo. [przypis edytorski]

¹⁰²częścią — dziś: częściowo. [przypis edytorski]

jest wierzyć, że Bóg jest konserwatywny, a szatan postępowy” — tak kończy Lindsay swą diatrybę¹⁰³ przeciw zazdrości.

W książce tej, w której autor co chwila ilustruje rzecz zajmującymi przykładami, jeden zwłaszcza jest charakterystyczny. Dwoje młodych ludzi, z których każde pracuje na siebie, pokochało się i byli szczęśliwi. On był komiwojażerem, raz po raz odbywał dłuższe podróże. Kiedy byli razem, pożycie było idealne; gdy on wyjeżdżał, żadne nie spodziewało się i nie żądało absolutnej wierności. Było im z sobą tak dobrze, że postanowili się pobrać; i oto, po niedługim czasie, zjawili się przed sędzią Lindsayem z błaganiami o rozwód. Cóż się okazało? — z chwilą, gdy się pobrali, czuli się w obowiązku być o siebie zazdrośni, zatrawali sobie życie. Zniszczyła ich rutyna pojęć.

Russell idzie w swojej rewizji może jeszcze dalej. Instynkt zazdrości (powiada) mniej jest absolutny, niż się przypuszcza; raczej wynikał on z obawy przed sfalszowaniem potomstwa w czasach patriarchalnych. Emancypacja kobiet skomplikowała problem małżeństwa, wprowadzając dwie indywidualności w miejsce jednej; stąd konieczność wzajemnej inteligentnej wyrozumiałości. Obecność dzieci powinna łączyć małżeństwo na zawsze, ale nie musi to być zaporą dla innych przeżyć miłosnych. Dotąd przeszkadzała temu zazdrość, podsycana fałszywym wychowaniem; ale zmiana pojęć może opanować te uczucia, wprowadzając w przywiązanie małżeńskie czynnik serdecznego koleżeństwa zamiast drapieżnej zaborczości. O ile poczucie wspólnoty nie jest naruszone, można, zdaniem Russella, patrzeć pobłażliwie na wszystkie dywersje. Fałszem jest zasada, że, jeśli się kogoś kocha, nie można odczuwać pociągu do kogo innego. Mimo iż każdy wie, że jest inaczej, ulega presji tzw. moralności i robi „słonia z pchły”, powiada Russell. Samo w sobie cudzołóstwo nie jest powodem do rozwodu. (Cóż za skok od pojęć, wedle których uważane było za *jedyny* powód do rozwodu!)

Pięknie jest (uczy dalej), gdy mężczyzna i kobieta kochają się tak wyłącznie, że żadne z nich nie doznaje pokus niewierności; ale nie jest ani pięknie, ani dobrze każdą niewierność piętnować jako coś strasznego, a w każdym razie nie powinno się iść tak daleko, aby uniemożliwiać każdą przyjaźń z osobą płci odmienniej. Szczeremu życiu nie da się budować na postrachu, zakazach i wkraczaniu w wolność drugiej istoty. Gdzie wierność da się utrzymać bez tego wszystkiego, tam jest ona dobra; inaczej cena jej staje się za wysoka i nieco wzajemnej wyrozumiałości dla przygodnych zbroczeń z drogi byłoby lepsze. Słowem, trzeba zupełnie zmienić wychowanie ludzi w tej mierze.

Oto znamienne próby teoretycznego skodyfikowania zjawisk, na które patrzymy. Pierwszy raz tak wyraźnie powiedziano, że to, co się dzieje, to nie tylko „powojenne rozluźnienie obyczajów” — jak klepie pusty frazes — ale po prostu nowe formy życia; można powiedzieć *nowa moralność*, która, odwracając się od formułek, zwraca się ku temu, co jest celem moralności, ku dobru ludzi. Małżeństwo — zdaniem tych jego nowych kodyfikatorów — przebyło różne etapy; długi czas opierało się na przemocy, potem na kłamstwie; oto próba oparcia go na wolności i na prawdzie. Nie każdy, przypuszczam, podzieli tę optymistyczną wiarę w rychłe opanowanie zadawnionego instynktu. Ale faktem jest, że dotychczasowa ascetyczna etyka, która przeciwstawiała się *wszystkim* instyngtom ludzkim, ten jeden — zazdrość — wyraźnie faworyzowała; w obliczu zaś konfliktu zostawiała człowieka bezradnym, albo pchała go w kierunku okrucieństw i nienawiści.

Nowe poglądy nie dążą bynajmniej do podkopania rodziny, ale wręcz przeciwnie, do wzmocnienia jej przez złagodzenie nieuniknionych zderzeń, które wprzód powodowały jej rozbicie. W każdym razie ta — jak ją nazwałem — *ofensywa przeciw zazdrości* zasługuje na uwagę.

„Póki bić będą serca ludzkie, póty będą istniały ludzkie bóle, męki, pragnienia; ale z radością oglądamy świt dnia, w którym wszystkie te delikatne sprawy będzie regulował kodeks ludzki, a nie *honorowy*”. Tymi słowami kończyłem przed laty mój szkic p. t. *Zazdrość i jej paradoksy*. Cieszy mnie, że jeden sędzia i jeden matematyk są dziś tego samego zdania.

¹⁰³*diatryba* — utwór wyrażający protest lub krytykę. [przypis edytorski]

NARZECZENI

W walce o nowe formy życia, jaka toczy się dziś w świecie, dwa czynniki u nas uderzają swą biernością: — kobiety i młodzież. Gdy chodzi o palące kwestie kobiecej egzystencji, gdy wykuwają się nowe prawa, nowe pojęcia — kobiety milczą. One, których w dobie tworzenia dawnych norm nikt nie pytał o zdanie i które miałyby teraz sposobność rzucić swoją wolę, myśl, swój głos na szalę — milczą, albo wypowiadają się dość błado. Tak samo ze strony młodzieży nie pada żadne interesujące słowo; raczej powtarzają z automatyczną wiarą frazesy, w które dorośli... stracili po trosze wiarę.

Niedawno temu, na przykład, jedno z pism — och, bardzo umiarkowane! — rozpisało ankietę celem zorientowania się w życiu i duszach młodzieży. Między in. ankietą ta pytała o stosunek młodzieży do małżeństwa. Otóż, podając jej wyniki, na wstępie redaktor zmuszony był stwierdzić, że większość młodzieży zupełnie nie zrozumiała pytania. Sądzi, że chodzi w ogóle o pogląd studentów na samą instytucję małżeństwa. Odpowiedzieli więc, że uważają małżeństwo za „gwarancję rozwoju i zwartości narodu”, za „podstawową komórkę społeczeństwa”, za „nierozzerwalny sakrament” itp. Zastrzegli się *przeciw wszelkiej zmianie* ustawodawstwa małżeńskiego...

(Godzi się zaznaczyć, że obecnie posiadamy trzy ustawodawstwa małżeńskie, czyli trzy stare kodeksy odziedziczone po rządach zaborczych; polska ustawa dopiero jest w przygotowaniu: to chyba dostatecznie oświecla naiwność tej enuncjacji¹⁰⁴).

Któryś, w odpowiedzi na pytanie ankiety, oznajmił, że „jeżeli syn czy córka wynosi szlachetne idee z ogniska domowego, to na pewno w życiu późniejszym umie ich przestrzegać z godnością i uczciwością”...

Taką wiązaną piękną aforyzmów zebrał redaktor, który chciał się dowiedzieć, jakie stosunki i jakie poglądy panują wśród naszej młodzieży co do wczesnego małżeństwa i spraw z nim związanych. A przecież zdawałoby się, że kwestia jest dość żywotna, choćby dlatego co się dziś w świecie o niej mówi i pisze. Ale zdaje się, że nasza młodzież dość mało ma zainteresowań; wszystko pochłania „polityka”, i z niej może ten nałóg poprzestawiania na frazesie w miejsce myśli i faktu.

Ci nieliczni, którzy zrozumieli pytanie, dają w sprawie studenckich małżeństw takie np. odpowiedzi: „Często takie małżeństwo wpływa na pogorszenie się stosunku do rodziny, wobec której można zauważyć w większości młodzieży nieodpowiednie postępowanie. Młodzi studenci, przeważnie nowo wstępujący, wyrwawszy się spod opieki rodziny, zaniedbują swoje obowiązki i starają się poznać tajniki życia wielkomiejskiego, a to prowadzi do kolizji z rodziną i nauką”.

Nie zajmuję się tutaj kwestią studenckich małżeństw; chodzi mi tylko o stwierdzenie braku jakiejś świeżej myśli, braku odwagi, szczerości. Frazes... i to bez daty i miejsca. Bo kto domyśliłby się z tych odpowiedzi, czy to odpowiada młodzież w r. 1931, czy też np. stare ciotki w r. 1881, które mogłyby powiedzieć dosłownie to samo? Któż by się domyślił, że chodzi o jedną z najbardziej życiowych spraw dla młodego człowieka? Bo przecież to nie jest kwestia abstrakcyjna, ale, przeciwnie, piekący (co dzień) problemat życia młodych: jak nakarmić młody głód miłości, gdzie skierować zalewającą mózg i serce falę sił życiowych! Jeżeli nie małżeństwo, w takim razie pozostają cztery alternatywy: czystość, onanija¹⁰⁵, prostytutka i swobodne związki. Jeżeli swobodne związki, znowuż mamy trzy możliwości: towarzyski tych związków albo zapobiegają ciąży, albo przerywają ją, albo rodzą. Otóż ta sama młodzież rzucała cuchnące bomby na sztuce *Cyankali*¹⁰⁶; bylibyśmy tedy ciekawi wiedzieć, w jaki sposób rozwiązują te sprawy, czy doprawdy tak wszyscy rwą się do obowiązków nieślubnego ojcostwa i w jakiej mierze czynią im zadość? Same bomby nie wystarczą. Rzecz charakterystyczna: dotąd nie mówiło się o tym wszystkim: obecnie, redakcja jakiegoś pisma chciała rozwiązać młodzieży język, i oto młodzież odpowiada komunałami¹⁰⁷, które twórca ankiety i redaktor, stary wyga, przytacza z uśmiechem żenowania.

Małżeństwo

¹⁰⁴enuncjacja — oficjalna deklaracja. [przypis edytorski]

¹⁰⁵onanija — onanizm, masturbacja. [przypis edytorski]

¹⁰⁶Cyankali — dramat Friedricha Wolfa z roku 1929, poruszający temat aborcji. [przypis edytorski]

¹⁰⁷komunał — banal, frazes. [przypis edytorski]

Ale może ja za wiele żądam od młodzieży. Atmosfera! Nieraz mnie to uderzało, że gwałtownym przemianom, które niesie dzisiejsze życie, nie towarzyszy — u nas — potrzeba uświadamiania ich sobie, rozważenia ich wartości moralnej, ich szkód i korzyści. Jeżeli kto broni dawnych pojęć, dawnych form życia, musi sobie uprzytomnić, czego broni i przeciw czemu. Trudno się porozumieć, bo zmienia się wszystko, nawet słownik; w dawne słowa weszły nieraz nowe pojęcia.

Jako przykład takiej substytucji¹⁰⁸ wezmę np. jedno słówko: „narzeczeni”.

Narzeczeństwo odgrywało niegdyś dużą rolę w życiu młodzieży, zwłaszcza niezamożnej. Młody człowiek — student — odnajmował np. pokój w domu, gdzie była córka, panna „przy rodzicach”. Szara godzina, osamotnienie, brak elementu kobiecego w życiu, jedno drugie czulsze słówko, przelotny pocałunek, i ani się obejrzał, jak był związany, panna uważała go za *narzeczonego*. Albo, na jakimś baliku, młodzian, rozmarzony paroma kieliszkami, tańcząc z panną, która mu się podobała (czasem nawet nie zanadto), powiedział parę słów nieopatrnych — paf! ptaszek w klatce, narzeczoney. Często panna świadomie — nieraz inspirowana przez matkę — prowokowała chłopca. Była to zwykle panna starsza od niego, która w ówczesnych warunkach niewielką miała szansę wyjść za mąż. Młoda i ładna dziewczyna miała nadzieję znaleźć gotowego kandydata „na posadzie”; starsza, nie bardzo mogąc liczyć na męża „w gotówce”, dyskontowała go niejako jak weksel¹⁰⁹. A taki młody chłopiec podpisywał weksle na przyszłość lekko. On nie miał nic, długie studia przed sobą, ona też nic. Pobrać się oczywiście nie mogli. Dziś ludzie biorą to inaczej: uważają, że skoro on jakoś żyje i ona żyje, w takim razie wyżyją i we dwoje, może nawet taniej. Ale wówczas była to kwestia niezmiernie skomplikowana, wchodziły w to różne obrzędy... Ludzie w Polsce byli przeważnie z „dobrych rodzin”, a podupadli finansowo. W przeciwieństwie do innych krajów, u nas ruch klas był nie wstępujący, ale zstępujący; stąd różne tradycje, obowiązki itd. Konieczności „urządzenia”, mieszkania (musiał być salon, a w salonie nietykany fortepian, przyszłe narzędzie tortury dla ewentualnych córek); musiała być wyprawa, której każdy szczegół kontrolowało krytyczne oko pani Dulskiej z sąsiedztwa (tyle a tyle obrusów, tyle łyżeczek, a nożyki do owoców czy są?) No i przy tym nieuchronna perspektywa dziecka, ba, żeby to jednego, ale dziecka co rok, co dwa, nianiek, mamek... Małżeństwo ówczesne nie miało nic z milej cyganerii dzisiejszych stadeł, było aparatem serio, ach, jak serio... prawie tak, jak wieko od trumny.

Tak więc narzeczeństwo miało przed sobą widoki trwania. Młody musiał kończyć studia; potem lata praktyki, długie, dłuższe znacznie niż dziś. Ani mowy o zakładaniu rodziny. Ludzie byli wtedy wściekle przezorni. Toteż narzeczeństwa ślimaczące się wiele wiele lat nie były rzadkością. Każdy prawie uboższy student miał narzeczoną.

Narzeczeństwa takie obowiązywała czystość. On nie mógł *skalać* tej, która miała być jego żoną; przestałaby go być *godna*. Takie były wówczas pojęcia. Ona bałaby mu się oddać — w formie zaliczki — bo, na zasadzie wiekowych aforyzmów o mężczyznach, obawiała się — często słusznie — że się z nią wówczas nie ożeni. Bo takie małżeństwo nie było dobrowolnym związkiem dwojga ludzi, którzy wierzą, że się dobrali szczęśliwie i że im będzie z sobą dobrze, ale pułapką zastawianą przez „społeczeństwo” na głód serca mężczyzny.

Narzeczeni żyli tedy w cnocie. Gdyby już nie inne względy, bali się ciąży, której w owym czasie ustrzec się było bardzo trudno, a która była niewiarogodną katastrofą, rzeczą wręcz nie do pomyślenia. Zresztą w 50 — 90% wypadków on był chory wenerycznie.

Rzecz prosta, że spędzali z sobą dużo czasu. Wszystek czas wolny. Wypełniały go rozmowy o przyszłości, co prawda coraz mniej entuzjastyczne, sprzeczki, dąsy, pojednania i mniej lub więcej zaawansowane pieszczoty. Czystość przy ciągłym towarzystwie kobiety... Kiedy nastrój był bardziej gorący, on szedł potem do domu publicznego. Często zarażał się, o ile nie był już zarażony. Miał czas się leczyć, bo narzeczeństwo trwało długo, ale nie miał na to pieniędzy ani cierpliwości. Toteż zwykle jako prezent ślubny przynosił w małżeństwo źle wyleconą chorobę weneryczną.

Zrazu narzeczeństwo to miało dla chłopca urok. Mieć „swoją kobietę”, kogoś dla

Kobieta, Mężczyzna, Miłość

¹⁰⁸substytucja — zastępowanie, wymiana czegoś. [przypis edytorski]

¹⁰⁹weksel — dokument zobowiązujący do spłaty długu w określonym terminie. [przypis edytorski]

siebie, mieć się komu zwierzać, przed kim się chwalić, komuś imponować, opowiadać, snuć plany, kogoś całować... Im był biedniejszy, im mniej miał z życia, tym bardziej tego potrzebował. Potem się to zużywało, stawało się ciężarem. Miesiące biegly, powiedzieli sobie, co mieli do powiedzenia... Narzeczeństwo wlekło się latami, beznadziejne, coraz bardziej przestałe, zmęczone. To co ich złączyło, to zwykle nie był istotny dobór, ale brak szansy u niej, głód wyobraźni u niego; toteż, po kilku latach, często nie zostawało z tej idylli¹¹⁰ nic; dla niej deska ratunku, dla niego kamień u szyi. Mąciła się równowaga wzajemnego *conta*: z biegiem lat, im bliżej on był kresu, jego szanse życiowe rosły, jej malały. Może spodobała mu się jaka inna, która też byłaby nie od tego, gdyby... On był chmurny, gorzki, ona przywiędła, zmęczona tym ciągłym napięciem woli, aby się nie zapomnieć, aby nie ulec, zazdrosna, drżąca, gdy on się zbliżył do innej. W końcu pozostawało jej tylko jedno: grać na *honorze* chłopca.

Często, po latach, bliski celu — zrywał. Ot, poszukał sprzeczki, pozor, odchodził i nie wracał. Parę osób powiedziało, że jest świnia, ale z czasem zacierało się to. Po latach owego narzeczeństwa, żenił się, ale — z inną. Tamta zostawała zrujnowana. Panny „obcałowanej”, „obmacanej” — jak wówczas pięknie się mówiło — nikt by nie wziął: zresztą wiek, kwas... Zostawały jej na resztę życia wstyd, samotność, wymówki matki, drwiny rodzeństwa, często zaburzenia umysłowe.

Ale, jeżeli chłopiec był honorny — zaciskał zęby i trwał do końca: żenił się. Traktował to w istocie jako dług honorowy. Nie tyle wobec kobiety, nad tym można by ostatecznie przejść do porządku dziennego; ale była jedna okoliczność, mocno angażująca honor mężczyzny: tych tysięcy i jedna kolacja, które zjadł gratis. Bo cała ta idylla odbywała się w domu: gdzie miała się odbywać? Dziś młodzi idą razem do kina, do dancingu, do kawiarni; wówczas tego wszystkiego nie było, mogli się tłamsić tylko w domu, gdy matka drzemała w drugim pokoju. Coraz częściej zatrzymywano go na kolację, wchodziło to w zwyczaj i urastał potworny *dług honorowy*, dług nie do spłacenia, bo jak, zrywając z kobietą, oddać za te kolacje?

Znałem takie narzeczeństwa trwające i dziesięć lat. Ślub był bardziej podobny do pogrzebu niż do wesela. Bo też to był pogrzeb. Nowe życie zaczynało się od bankructwa.

Tak oto młodzi poświęcali najpiękniejsze lata, zdrowie, szczęście... W imię czego, dlaczego, co komu z tego przyszło? W imię dobrej rodziny? Ale te przestałe małżeństwa były zwykle bardzo liche, kryły w sobie głębokie złoże nienawiści.

Dziś sprawy te zmieniły się znacznie. Ludzie, oduczeni epoką wojny od obliczeń na długą metę, od zbytnej przeczności, zwolnieni z wielu konwenansów, stali się o wiele śmielsi w zawieraniu małżeństw. Związki, oparte najczęściej na pracy obu stron, obchodzą się bez „wyprawy”, bez potopu poszewek, powłóczek, pleśniejących w szafie obrusów. Młodzi gnieżdżą się, gdy potrzeba, w jednym pokoju lub dwóch, umieją się ustrzec dziecka do czasu, gdy sobie będą na nie mogli pozwolić. Małżeństwo stało się aparatem nieskończenie lżejszym. Nie ma już takich par czekających latami. A jeżeli są, to po prostu — co tu ukrywać — żyją z sobą. To, co się dziś nazywa „narzeczeństwem” jest właściwie nie czym innym, tylko owym „małżeństwem koleżeńskiemu czy innym amerykańskim „małżeństwem próbnym”. Tacy narzeczeni też chronią się dziecka; jeżeli zaś się rozejdą, panna nie jest ani zhańbiona, ani nie ma złamanego życia, znajdzie innego narzeczonego, czyli „chodzi” z kim innym, aż wreszcie natrafi na swojego człowieka i wyjdzie za mąż i żyje szczęśliwie i ma piękne dzieci.

Otóż, czy ci, którzy zwalczają środki ochrony od ciąży, którzy gromią „powojenne rozluźnienie obyczajów”, mogą z czystym sumieniem powiedzieć, że owe dawne obyczaje, których wzorek tu naszkicowałem, były lepsze? Owe wielce moralne trójkąty, w których prostytutka była nieodzowną *tą trzecią*? A najzabawniejsze jest to, że ci obrońcy dawnej etyki pciowej wciąż równocześnie rzucają hasło zwalczania prostytutki! Albo jedno albo drugie: ta cała stara „moralność” (z której, nawiasem mówiąc, nie powinien zostać kamień na kamieniu) opierała się wręcz na prostytutce, to był jej filar. O tym wszystkim mogłaby nam wiele ciekawego i pouczającego powiedzieć nasza młodzież; cóż, kiedy ona woli powtarzać frazesy, zużyte do szczytu przez ich własne pra-pra-ciotki...

¹¹⁰*idylla* — sielanka. [przypis edytorski]

„MÓJ ROMANS Z FRANCJĄ”

Prosi mnie redaktor pewnego pisma o felieton, poddaje mi nawet temat i tytuł: *Mój romans z Francją*... Niech i tak będzie; nadaje mi się ten tytuł. Istotnie jest coś z roman-su, jest jakiś sekret erotyczny w tym powinowactwie duchowym, które, odkąd sięgnę pamięcią, ciągnęło mnie ku Francji. To był jakiś instynkt, prześladowający mnie wbrew rozsądkowi, wreszcie przemieniający z gruntu moje życie. Jak każdy romans, zaczyna się to od marzenia. Trzynasto- lub czternastoletni chłopak, chorobliwie nieśmiały, trafia w domu na modną francuską książkę: dzieje występnej miłości, analiza kobiecego serca, zapach dobrych perfum, szelest opadających na ziemię batystów¹¹¹ i jedwabi, cóż za narkotyk dla uczniaka kującego na pamięć *Grażynę* w swoim pokoiku w małym i cichym Krakowie.

To było moje pierwsze poznanie z Francją. Tak, to był prawdziwy romans, którego heroinami¹¹² były kobiety Feuilleta¹¹³, Bourgeta¹¹⁴, Maupassanta¹¹⁵... Jakiegoż uczucia doznałem, kiedy, zabłądziwszy w Paryżu do parku Monceau, ujrzałem niespodzianie pomnik Maupassanta, gdzie, pod popiersiem pisarza, spoczywa na marmurowej kanapie młoda kobieta, biała, z książką w ręce, zadumana, ubrana w ową suknię z wielkimi bufami, jaką nosiły kobiety z czasu mej młodości. „Tyżes to, kamienna kobieto, która wypilaś tyle moich łez”... szepnąłem w duchu.

Kiedy to było? Och, dawno: wówczas, kiedy, jako świeżo upieczony doktor, znalazłem się nad Sekwaną dla zapoznania się z klinikami stolicy świata. Nie chodziłem co prawda do tych klinik ani trochę. Coś wypędzało mnie na ulicę, kazało mi się waleśać dni całe po bruku i asfalcie Paryża. Szczególne życie, którego wszystkie koszty znów opędzała wyobraźnia. Nie znałem nikogo, nie wiem czy przez pierwszy okres pobytu miałem okazję powiedzieć dwieście słów po francusku, poza elementarnymi potrzebami, jak garson¹¹⁶ i praczka.

Skoro zdeptałem cały Paryż wiele razy wzdłuż i wszerz, najczęściej coś mnie ciągnęło na wybrzeże Sekwany, gdzie parapet, na przestrzeni paru kilometrów, zasłany jest książkami: antykwarnie¹¹⁷ na świeżym powietrzu. Kiedy, w wiele lat później, zaszedłem znów na to wybrzeże, ujrzałem straszliwe ulepszenie w tym handlu; książki, niby ciasteczka, w cieniutkich przezroczystych celuloidowych puzderkach¹¹⁸, aby się nie niszczyły od wpływów atmosferycznych, a może i dla tego, aby ich nie można było wyczytywać gratis.

Ale wówczas obyczaj był patriarchalny: wolno było książkę brać do rąk, oglądać, kartkować, czytać po trosze niby to wahając się z kupnem. To też wędrówka taka przez wybrzeże trwała kilka godzin. Ale właściwie nie tyle się czytało w czasie tej wędrówki, ile obmacywało książki, oddychało ich zapachem. Dziwne zajęcie. Ale czy można zaręczyć, że to też nie jest sposób poznawania ich treści? Dziś, gdy inżynier Ossowiecki¹¹⁹ czyta zapieczętowane listy nogą, gdy poważni uczeni obiecują nam w niedługiej przyszłości, że będziemy mogli widzieć skórą, gdy zdobycze metapsychiki bezgranicznie niemal rozszerzyły nasz horyzont, czy mógłby ktoś twierdzić, że te włóczęgi po wybrzeżu nie były dla mnie kursem literatury francuskiej? Bo to fakt, że był to jedyne, jaki przeszedłem.

Nie umiałem nigdy pracować w bibliotece. Biblioteka zasmuca mnie, robi wrażenie cmentarzyska książek, przytłacza niestosunkiem między tym, co człowiek zdąży poznać, a ogromem tego, czego nie pozna nigdy. „To już w ogóle wszystko jedno”, myśli się ze zniechęceniem. Ogarnia jakaś nerwowość. Wybiec czym prędzej na ulicę, otrząsnąć się z tej stęchlizny, odetchnąć powietrzem... Ale zresztą jakże mógłbym wówczas pracować w bibliotece nad literaturą, skoro przyjechałem uczyć się medycyny? Nonsens.

¹¹¹batyst — rodzaj cienkiej, przezroczystej tkaniny lnianej lub bawełnianej. [przypis edytorski]

¹¹²heroina — bohaterka. [przypis edytorski]

¹¹³Feuillet, Octave (1821–1890) — pisarz i dramaturg francuski. [przypis edytorski]

¹¹⁴Bourget, Paul (1852–1935) — pisarz francuski, autor powieści psychologicznych, członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

¹¹⁵Maupassant, Guy de (1850–1893) — francuski pisarz-naturalista; autor wielu opowiadań wyrażających ostrą krytykę obyczajowości mieszczańskiej. [przypis edytorski]

¹¹⁶garson (daw.) — kelner lub boy hotelowy. [przypis edytorski]

¹¹⁷antykwarnia — dziś: antykwariat. [przypis edytorski]

¹¹⁸puzderko (daw.) — skrzynka, pudełko. [przypis edytorski]

¹¹⁹Ossowiecki, Stefan (1877–1944) — znany jasnowidz przedwojenny. [przypis edytorski]

Czytać, to rzecz inna; czytać wolno każdemu, cudownie czyta się leżąc w łóżku, o ile można, cały dzień. Trzeba wygrzać inteligencję, zizolować ją od świata zewnętrznego. Było zimno, mokro... Kupowałem za parę groszy starą książkę na wybrzeżu, szedłem do domu, i buch pod koldrę. Ten etap mego romansu z Francją skończył się tedy, jak większość romansów — w łóżku.

Pierwsza książka, którą uniosłem ze straganu, znęcony jej intrygującym tytułem, to był *Kubus fatalista i jego pan Diderota*¹²⁰. Przeczytałem jednym tchem, nie posiadałem się z rozkoszy. (Przez wdzięczność przetłumaczyłem ją potem, jedną z pierwszych). Przepadek zrządził, że o parę kroków od mego hoteliku stał pomnik Diderota, koło którego przechodziłem co dzień: przemiły pomnik, siedzi sobie Diderot na fotelu, z żywym gestem człowieka, który rozmawia. Stawałem odtąd długo pod tym pomnikiem, dopowiedział mi resztę powiastek swego Kubusia. I niech kto przeczy użyteczności pomników!

I tak ciągnęło się to życie wyobraźnią. „Tydzień książki”... w łóżku, a raczej wiele tygodni.

— Dziwne spędzenie czasu w Paryżu, powie ktoś. Aby czytać Balzaka, na to nie potrzeba wyjeżdżać z Krakowa.

— Z gruntu fałszywe rozumowanie, jak każde, które nie uwzględnia pierwiastka mistycznego. Wręcz przeciwnie. Przeżywać za młodu dzieje pięknego Lucjana de Rubempre¹²¹, na piątym piętrze paryskiego hoteliku, z porami mózgu rozpulchnionymi fluidem tego miasta, z dochodzącym z oddali głuchym drżeniem Paryża, które czuje się przez ścianę, to są emocje, których nie da się zapomnieć ani powtórzyć. Czytając *Stracone złudzenia* musiałem przestawać co chwilę, aby złapać oddech.

Ze spuchniętą głową, odurzony tym nadużyciem łóżka (o nieopatrzna młodości!) człowiek ubierał się wreszcie i wychodził na ulicę. Wówczas ciągnęło mnie tam, gdzie najgwarniej, gdzie nad wieczorem fala ludzka płynie korytem bulwarów. Bulwary sprzed lat trzydziestu, z epoki „żywego konia”, o ileż więcej mówiące niż dziś, gdy nieprzerwany sznur zamkniętych pudeł przesuwają się trąbiąc w ucho i terkocząc motorami, a ruch reguluje się mechanicznie na komendę białej pałki. Ale wówczas ile żywej poezji płynęło bulwarem! Każda młoda kobieta z bukietem fiołków wracała najoczywiściej ze schadzki. Co paręset kroków ze sklepu z gramofonami buchała melodia, gromada ludzi skupiona koło blaszanej tuby uczyła się jej na gorąco i za chwilę wychodziła, nucąc, na ulicę. Dziś, w epoce warszawskich „przebojów”, nie wyda się to niczym nadzwyczajnym; w owym czasie dla chłopca przybyłego z sennego Krakowa, ta piosenka tryskająca zewsząd, dająca niejako rytm myślom, działała jak narkotyk, niby „woda ognista” na dzikiego. Owo życie wyobraźnią, samo przez się upajające, czymże się stawało jeszcze skąpane w tej aurze miłosnej, którą oddycha chanson¹²² paryska! Te słodkie i jakby zmęczone melodie, waleśające się po moim mózgu i siadające na kolana jego zwojom, dawały nową fizjonomię i nowy sens drukowanym światom. (Czytałem właśnie wówczas listy Diderota do Zofii Voland...)

Ilomaż powierzchniami zresztą migoce ta piosenka! Sentymentalna na ulicy, najbardziej sentymentalna w norach, gdzie zbierają się szumowiny społeczne, jakże znów staje się nieoczekiwanie inna, gdy zaiskrzy się ogniem dowcipu. To było dla mnie objawienie. Nowa kopolacja myśli, ociupinkę przewrotna. Sylogizmy śpiewane. Demonstracja *per absurdum*¹²³. Pułapki zastawiane zdrowemu rozumowi: idzie sobie, idzie, w takt melodii, pewnie, śmiało, kontent z siebie, aż tu bęc, leży, a refren skrzeczy nad nim szydęrczo. Melodyjki ironiczne, zuchwałe, rewolucyjne. Pamiętam jakąś melodię *Chat-noir*¹²⁴, której pierwsze takty elektryzowały mnie wręcz: robiły na mnie wrażenie *Marsylianki*¹²⁵ drwiącego intelektu...

Takie były wzruszenia owego kilkumiesięcznego pobytu w Paryżu, w czasie którego chodziłem jak pijany. Kiedy znalazłem się z powrotem w Krakowie, pijaństwo pamięć-

¹²⁰*Diderot, Denis* (1713–1784) — francuski pisarz, krytyk i filozof, współredaktor *Wielkiej Encyklopedii Francuskiej*, autor powiastki filozoficznej *Kubus Fatalista i jego pan*. [przypis edytorski]

¹²¹*Lucjan de Rubempre* — bohater *Straconych złudzeń* Balzaka. [przypis edytorski]

¹²²*chanson* — francuska odmiana popularnej piosenki. [przypis edytorski]

¹²³*per absurdum* (łac.) — przez absurd. [przypis edytorski]

¹²⁴*Chat-noir* (fr.: czarny kot) — paryski kabaret funkcjonujący w latach 1881–1897, skupiający ówczesną bohemy artystyczną. Ważne zjawisko kulturalne, wpłynęło na atmosferę Paryża i całej Europy. [przypis edytorski]

¹²⁵*Marsylianka* — francuski hymn narodowy, powstały w 1792. [przypis edytorski]

ci wciąż trwało. Mimo niewinności przeżyć, było to urzeczenie wręcz zmysłowe. I ten charakter zaciążył na drugiej fazie mego „romansu z Francją”, fazie w której przeszedłem z roli biernej do czynnej. Wszystko się pokielbało w moim życiu. Medycyna poszła w diabły. Literatura, którą nasiąkłem na wybrzeżu Sekwany, zaczęła się we mnie telepać nad Wisłą. — To, czego doznawałem, to była tęsknota, można powiedzieć, fizyczna. Nie mogłem żyć bez atmosfery Paryża: trzeba ją było sobie sfabrykować. Chciałem słyszeć piosenki, więc pisałem je. Chciałem oglądać na scenie Celimenę, Izabelę, Joasię, Rozynę — więc tłumaczyłem sztuki, których są heroinami, i wystawiałem je w teatrze. Chciałem dzielić się (cóż za perwersja!) z publicznością książkami, z którymi tyle przeżyłem w łóżku — więc ciskałem je w publiczność dziesiątkami tomów Biblioteki Boya. Wszystko to miało charakter sublimacji erotycznej, aż do *Ducha Praw* włącznie. Nawet moje uczone *Studia z literatury francuskiej* noszą tytuł *Mózg i pleć*... Ma redaktor rację; to był romans, i bardzo niebezpieczny.

Encyklopedia W STYLU POMPADOUR¹²⁶

Kupiłem świeżo *Encyklopedię*, tę prawdziwą, z XVIII w., na wyprzedży po jednym z naszych bibliofilów. Wydanie co prawda nie pierwsze, z r. 1781, datowane przezornie z Lozanny i Berna. Zapłaciłem 100 złotych za trzydzieści kilka tomów dobrze oprawnych w skórę i płótno: niedrogo. Kiedy rozpisywano na nią subskrypcję około r. 1750, cena wynosiła 1000 franków: suma, na owe czasy zwłaszcza, ogromna. To dało Wolterowi¹²⁷ powód do kostycznej¹²⁸ uwagi, że, gdyby Ewangelia kosztowała 1200 sestercji¹²⁹, chrześcijaństwo nigdy nie byłoby się rozpowszechniło. Mimo to, powodzenie dzieła było niesłychane: ilość subskrybujących wynosiła ponad 4000 osób.

Porównanie Woltera miało swój głęboki sens. *Encyklopedia* była w istocie ewangelią; ewangelią nowej myśli. Streszczała nie tylko dwadzieścia lat wytężonej pracy całego zastępu ludzi, ale zarazem dwadzieścia lat walki o to, aby się mogła ukazywać. Walka ta o *Encyklopedię* obfituje w epizody czasem zabawne, a zawsze tak charakterystyczne dla epoki, że chciałbym przypomnieć z nich te, które mi się nasuwają, kiedy przewracam jej karty.

Przyznaję się, że pierwszy raz mam ją w rękę. Oglądam z ciekawością tomy plansz, owych słynnych plansz, które były niejako rękojmią „grzeczności” Diderota¹³⁰. Te plansze, to był jego wydział: ogrom trudu, związane ze zilustrowaniem — po raz pierwszy — wszystkich działów pracy ludzkiej, sztuk, a zwłaszcza rzemiosł. Nad tym czuwał osobiście, biorąc sobie do pomocy biegłych rękodzielników. Kiedy, w początkach druku *Encyklopedii*, Diderot dostał się do więzienia w Vincennes, okazało się to taką katastrofą dla wydawnictwa, że na przyszłość filozof postanowił unikać podobnych incydentów. Tym tłumaczy się, że on, tak niepowściągliwy w języku, był stosunkowo tak oględny w piórze, a raczej, że te utwory, w których pozwolił sobie na niejaki swobody, nie ukazały się w druku za jego życia, obiegały jedynie w odpisach. Tak np. *Kubuś fatalista*, tak *Bratanek mistrza Rameau*. Ten pochował się we Francji tak gruntownie, że pierwsze wydanie francuskie było przekładem z niemieckiego przekładu; dopiero potem odnaleziono tekst prawdziwy.

A za co Diderot dostał się do więzienia? Też warto przypomnieć, jako rys epoki. Wedle relacji córki filozofa, pani de Vandeul, poszło o to: p. de Reamur zoperował kataraktę ślepego od urodzenia; interesującą rzeczą było schwycić wrażenie świata widzialnego, jakie odbierze ów ślepy; dlatego pierwszy opatrunek miano zdjąć w obecności zaproszonych artystów i ludzi pióra. Ale z odezwań ślepego okazało się, że ta ceremonia naukowa nie była pierwszą, że doświadczenia dokonał lekarz wprzód, w obecności pani Dupre de Saint-Maur. Diderot, trochę zirytowany, powiedział wychodząc, że „widać p. Reamur

¹²⁶ Poisson, Jeanne Antoinette, Marquise de Pompadour (1721–1764) — wpływa kochanka króla Francji Ludwika XV, protektorka artystów i autorów *Wielkiej Encyklopedii Francuskiej*. [przypis edytorski]

¹²⁷ Wolter — właśc. François-Marie Arouet (1694–1778), francuski filozof, publicysta i wolnomyśliciel. [przypis edytorski]

¹²⁸ kostyczny — złośliwy a. uszczypliwy. [przypis edytorski]

¹²⁹ sestercja — drobna moneta, srebrna lub miedziana, ze starożytnego Rzymu. [przypis edytorski]

¹³⁰ Diderot, Denis (1713–1784) — francuski pisarz, krytyk i filozof, współredaktor *Wielkiej Encyklopedii Francuskiej*, autor powiastki filozoficznej *Kubuś Fatalista i jego pan*. [przypis edytorski]

wolał mieć świadkiem parę ładnych oczu bez znaczenia niż oczy zdolne rzecz ocenić”. Pani Dupre była przyjaciółką ministra, poskarżyła się; p. d’Argenson kazał uwięzić filozofa, na którego co prawda miały już władze oko, bodaj jako na autora skandalicznych *Niedyskretnych klejnotów*, mimo że ich autorstwa zawzięcie się wypierał.

Jakąkolwiek wziąć wersję, czy uwięziono filozofa nie dość liczącego się z potęgą przyjaciółki ministra, czy też autora bezecnie płoczej¹³¹ książki, czyż to nie pachnie wiekiem XVIII? Jak lekkie pozory ma ów wiek, a jak olbrzymiej dokonał pracy, jak zdumiewającej przebudowy świata! Przegrywką do tej pracy wieku są owe *Listy perskie* Monteskiusza¹³², gdzie, na tle drastycznych anegdot haremowych, przysły autor *Ducha praw* szkicuje niejako cały plan reform, wskazuje wszystkie słabe punkty wiązań społecznych. Wolter pisze swój *Zarys historii obyczajów* dla pani du Chatelet, która tymczasem robi doświadczenia nad teorią Newtona. Gdziekolwiek tu spojrzeć, wszędzie kobieta, kobieta...

... Oglądam tedy te plansze i widzę uroczą i przezabawną rzecz. Nie mogę się wstrzymać, aby jej tu nie pokazać: to — w dziale anatomii — ten szkielecik ze skrzyżowanymi nóżkami, oparty ładnym gestem o płytę, pogrążony jak gdyby we wdzięcznej zadumie. Nawet suchą osteologię¹³³ trzeba było przyrządzić ze smakiem dla dam. Czyż może być coś bardziej znamienego dla epoki, bardziej w *stylu Pompadour*? Ten szkielet, tak pełen gracji, czyż to nie mogłaby być sama pani de Pompadour, która odeszła właśnie, kiedy dzieło *Encyklopedii* zbliżało się ku końcowi; dzieło, które pewnie nie mogłoby się urzeczywistnić, gdyby nie pomoc jej dyskretnie wszechwładnej ręki? Udział pięknej markizy w sprawie *Encyklopedii* — to też czysty wiek XVIII.

Młodą tę osobkę, zrodzoną w sferze wyższego paryskiego mieszczaństwa, wydaną za mąż za p. d’Etiolles, piękną, wykształconą, muzykalną, rychło głos ludu ogłosił „kaskiem królewskim”, jak gdyby przeznaczając ją do królewskiego nie stołu wprawdzie, ale łoża. Miała lat dwadzieścia cztery, kiedy to prorocstwo się ziściło; pani d’Etiolles zostaje margrabiną de Pompadour, oficjalną kochanką Ludwika XV. Ale to stanowisko, równie zaszczytne, jak pełne upokorzeń, nie wystarcza tej ambitnej i inteligentnej kobiecie. Wyciąga rękę ku wszystkiemu, co może rozszerzyć i utrwalić jej królestwo. Polityka, literatura, sztuka (sama pani de Pompadour była utalentowaną akwaforzystką¹³⁴), architektura, porcelana — wszędzie umaczała swoje paluszki.

W polityce nie była szczęśliwa. Wojna siedmioletnia to był owoc przymierza trzech kobiet — Elżbiety rosyjskiej, Marii Teresy i pani de Pompadour — przeciw Fryderykowi pruskiemu. Ale Fryc był pederastą i nie bał się kobiet. Literatura okazała się wdzięczniejsza od polityki. Z natury w niej rozmiłowana, kochanka króla widzi w niej zarazem i narzędzie (jakbyśmy dziś powiedzieli) *reklamy*, i swoją rehabilitację, swoją rację bytu. Z króla, skąpego i obojętnego, chce zrobić mecenasa. Ale król nie mógł się przemóc; pisarze, filozofowie zawsze będą dla niego tałałajstwem. Toteż, po śmierci pani de Pompadour, Wolter, w pełnym poczuciu straty, pisze do d’Alemberta: „Ona była *nasza*, popierała nauki, sztuki, ile mogła; skończył się piękny sen”... — „Była — powiada Sainte-Beuve — jedyną, która mogła złagodzić rozdźwięk między najmniej literackim z królów a najbardziej literacką z epok”. Wystawia na dworze *Świętoszka*, w którym gra z talentem rolę Doryny. Wprowadza na dwór Woltera, popiera Marmontela¹³⁵, dokazuje cudów, aby wskrziesić z martwych glorię starego tragika Crébillona¹³⁶; chce się przysłużyć Russowi. Kiedy król pruski przyznaje d’Alembertowi pensję, a Ludwik XV dworuje¹³⁷ sobie z jej szczupłości, ona namawia króla, aby zabronił d’Alembertowi przyjąć dar, a sam dał mu dwa razy tyle. Ale król boi się to uczynić z przyczyny — *Encyklopedii*.

¹³¹ *płochy* (daw.) — niestały w uczuciach. [przypis edytorski]

¹³² *Monteskiusz* — Montesquieu, Charles Louis (1689–1755), francuski filozof i pisarz, teoretyk prawa. [przypis edytorski]

¹³³ *osteologia* — dział anatomii, który zajmuje się kośćcem. [przypis edytorski]

¹³⁴ *akwaforista* — rodzaj techniki graficznej, polegającej na odbijaniu kopii z płytki wytrawionej kwasem. [przypis edytorski]

¹³⁵ *Marmontel*, Jean-François (1723–1799) — fr. pisarz, historyk i filozof, przynależący do Encyklopedystów. [przypis edytorski]

¹³⁶ *Crébillon*, Prosper Jolyot de (1674–1762) — dramaturg francuski, autor przesycionych grozą tragedii, osadzonych zazwyczaj w realiach starożytnego Rzymu. [przypis edytorski]

¹³⁷ *dworować* (daw.) — żartować, kpić. [przypis edytorski]

Dzieło *Encyklopedii* przypada właśnie na lata pani de Pompadour. Jej panowanie zaczyna się w r. 1745, układ zaś twórców *Encyklopedii* z księgarzem stanął w r. 1746. Pierwszy tom ukazał się w r. 1751. Już w następnym roku skonfiskowano dwa dalsze tomy, postanawiając, że odtąd mają być poddawane cenzurze teologów: nawet artykuły nic niemające wspólnego z teologią. Ale to się okazało w praktyce niewykonalne; zresztą Diderot już miał możnych protektorów, a jezuita — główni wrogowie *Encyklopedii* — mieli znów swoich wrogów, w ich rzędzie panią de Pompadour, z której awansów nie umieli swego czasu skorzystać. Postawiona między tymi dwiema potęgami, między zakonem jezuitów a zakonem filozofów, odepchnięta przez pierwszych, faworyta przechyla się ku drugim, co zapewne więcej odpowiadało jej wychowaniu i skłonnościom. Pod jej dachem — dosłownie — znajduje przytułek wolna myśl epoki, bezpieczna w tym azylu od prześladowań. W skrzydle pałacu, które zajmowała pani de Pompadour, zamieszkał, jako nadworny lekarz, słynny dr Quesnay, założyciel sekty *ekonomistów*: tam zbierali się swobodnie Encyklopedyści i Ekonomiści, dysputując, gawędząc, reformując świat: Diderot, d'Alembert, Duclos, Helwecjusz¹³⁸, Buffon¹³⁹, Turgot¹⁴⁰... Pani de Pompadour, nie mogąc ich ściągnąć do siebie, często zachodziła tam i przysiadła u ich stołu.

To też, kiedy na *Encyklopedię* spadają ponowne konfiskaty, ona pracuje niestrudzenie, aby dopomóc swoim filozofom w opresji. Na podstawie jakoby opowiadań służącego, Wolter przekazał nam uroczy obrazek chytrłości, jakimi starano się omotać tępego króla; epizod owej wesołej wojny o dzieło, od którego następstw cały ten świat miał spłynąć krwią.

Kolacyjka w Trianon w małym kółku. Rozmowa toczy się o polowaniu, przechodzi w spór o wyższość i sposób fabrykacji rozmaitych gatunków prochu.

— Osobliwa rzecz, wykrzykuje książę de Nivernois, że tłuczemy tyle kuropatw w parku Waszej Królewskiej Mości, a nawet zdarza się nam czasem zginąć w obronie granic kraju, a nie wiemy właściwie, co to jest, czym nas zabijają.

— To tak ze wszystkim! — westchnęła pani de Pompadour. — Toż ja nie wiem nawet skąd pochodzi róż, którym się maluję, i byłabym w kłopotcie, gdyby mnie spytano, jak się robi jedwabne pończochy, które mam na nogach.

— Szkoda, wtrącił książę de la Valliere, że król skonfiskował nam nasze *Encyklopedie*, za któreśmy zapłacili każdy po sto pistolów¹⁴¹: znaleźlibyśmy tam na poczekaniu wyjaśnienie tego wszystkiego.

Król zaczął się tłumaczyć z konfiskaty. Powiedziano mu, że ta kupa wielkich tomów, które znajdują się na toalecie każdej damy, to rzecz wysoce niebezpieczna dla monarchii; chciał się tedy przekonać osobiście, co to jest za książka, zanim pozwoli ją rozpowszechnić...

Od słowa do słowa, król posłał po egzemplarz *Encyklopedii*. Trzech służących przydziwiło ją z trudem. Znalezione wszystkie wyjaśnienia dotyczące prochu strzelniczego; pani de Pompadour znalazła całą historię różu i wszelkich kosmetyków, począwszy od starożytności, a także sposób fabrykacji pończoch, który to opis przejął ją zdumieniem. Każdy rzucił się na książkę, szukając tego, co go interesowało. Kto miał proces, znajdował niemal rozstrzygnięcie swej sprawy. Król znalazł wszystkie prawa korony.

— Doprawdy, rzekł, nie wiem, czemu mi tyle złego nagadano o tej książce!

— Ba, nie widzi Wasza Królewska Mość, że to dlatego, że jest dobra? Nie znęcają się nad tym, co liche. Kiedy kobiety starają się ośmieszyć nowo przybyłą, można być pewnym, że jest ładniejsza od nich.

Wciąż przeglądano dzieło, a tymczasem hr. Coigny prawil królowi:

— Królu, powinienes być szczęśliwy, że za twego panowania znaleźli się ludzie dość bystrzy, aby zgłębić wszystkie sztuki i rzemiosła i przekazać je potomności. Wszystko tu jest, od szpilki aż do prochu i armaty, od najmniejszych rzeczy do największych. Inne na-

¹³⁸ Helvétius, Claude Adrien (1715–1771) — francuski filozof i literat, jeden z Encyklopedystów. [przypis edytorski]

¹³⁹ Leclerc, Georges-Louis, Comte de Buffon (1707–1788) — przyrodnik i matematyk, członek Akademii Francuskiej, zajmował się m. in. geologią. [przypis edytorski]

¹⁴⁰ Turgot, Anne Robert Jacques (1727–1781) — francuski finansista, twórca teorii postępu. [przypis edytorski]

¹⁴¹ pistol — złota moneta hiszpańska z XVI i XVII w. [przypis edytorski]

rody muszą albo kupować tę *Encyklopedię*, albo ją podrabiać. Zabierz mi, panie, wszystko co chcesz, ale oddaj mi moją *Encyklopedię*.

Cała ta scenka zapewne była przygotowana przez panią de Pompadour. Ale jest w niej rzecz charakterystyczna: mianowicie owo nieznane wprzód zaciekawienie „techniką rzeczy”, rosnące wśród klasy uprzywilejowanej. Dawniej nikt się nie zajmował tym, skąd się coś bierze, byle było. Obecnie, jak gdyby już czuli oddech ludu na karku, ci panicze, te damy zaczynają interesować się światem pracy. Te opisy, te plansze, które Diderot, sam syn nożownika z Langres, umiał wydobywać z rękodzielników, były największą nowością *Encyklopedii*. Był to pierwszy raz podjęty bilans pracy ludzkiej; i jako taki odegrał nie-małą rolę w obudzeniu samopoczucia klas pracujących. Ta *Encyklopedia* budziła w nich przeświadczenie, że są solą ziemi, że to oni tworzą wielkie dzieło cywilizacji; uwierzyli, że oni — lud — są wszystkim, ci zaś, co bez pracy korzystają z dóbr przez nich wytworzonych, są pasożytami. Od tego do rewolucji był już tylko krok. Ale tego nie wiedziała ani pani de Pompadour, ani sami panowie Encyklopedyści. Za to współczesny Restif de la Bretonne¹⁴², sam zresztą syn chłopski, skarży się naiwnie, że rękodzielnicy, odkąd im uświadomiono ich ważność, stali się bardzo niezdolni...

Obok pani de Pompadour, *Encyklopedia* miała jeszcze innego dzielnego poplecznika: pana de Malesherbes¹⁴³. Malesherbes to jedna z najpiękniejszych postaci XVIII w. Ten szef cenzury, człowiek rozumny, nieskazitelny i sprawiedliwy, był w duchu przyjacielem filozofów; pragnął światła, reform i swobody myśli, bo widział w nich odnowę i bezpieczeństwo monarchii. Jeszcze w w. 1788 powie: „Od lat czterdziestu broniłem tej zasady, że wolność prasy zawiera moc samoleczniczą: błąd tryumfuje chwilami na jakiś czas dzięki talentowi obrońców złej sprawy, ale ostatecznie zwycięstwo przypada prawdzie. Uważam za bezsporne, że swoboda dyskusji jest niezawodnym i jedynym sposobem uświadomienia narodowi jego prawdziwych interesów”.

Ale ten najwyższy cenzor miał nad sobą inną znów cenzurę... Pewnego dnia, kiedy znów *Encyklopedii* cofnięto przywilej, p. de Malesherbes uprzedził Diderota, że jutro zmuszony jest wydać nakaz konfiskaty wszystkich jego papierów. Filozof wpadł w rozpacz: „Gdzież ja to wszystko podziękuję? — Niech pan przyśle wszystko do mnie, rzekł Malesherbes, u mnie nie będą szukali”.

Minęło lat trzydzieści. Myśl, którą chciano zdławić, wybuchła jak dynamit. Rewolucja, śmiertelny proces Ludwika XVI. Malesherbes, nie bacząc na niebezpieczeństwo, zgłasza się jako obrońca; obrońca sprawy przesądzonej z góry. I na niego, po królu, czeka rusztowanie. Ten siedemdziesięciodwuletni starzec poszedł na śmierć z całą pogodą; ale nie byłby dzieckiem XVIII w., gdyby nie znalazł okazji do powiedzenia jakiegoś „słówka”. Wychodząc na szafot¹⁴⁴ z więzienia z związanymi rękami, potknął się o kamień; uśmiechnął się i rzekł do sąsiada: „To się nazywa zła wróżba: Rzymianin, na moim miejscu, wróciłby się”.

...Przeoglądałam tę *Encyklopedię* i jej rozmaite artykuły. Niezmiernie ciekawe jest śledzić metody owej propagandy, którą autorowie musieli oczywiście zamknąć w ramach poddania się obowiązującym prawom i dogmatom. Np. w paragrafie *Religia* mamy obszerny wykład „religii naturalnej”, tzw. deizmu¹⁴⁵, pozwalającego zaspokoić swoje tęsknoty religijne poza ramą jakiegoś określonego wyznania; po czym następuje ukłon w stronę religii chrześcijańskiej, której „każdy człowiek obowiązany jest się poddać”. W paragrafie *Jezuici*, oświadczenie, że *Encyklopedja* nie powie tu nic od siebie; w istocie ogranicza się do przytoczenia urzędowych raportów, wyroków i memoriałów... odpowiednio dobranych. W paragrafie *Król* znajduje się pochwała króla — jako przeciwieństwa tyranii: król ma „pełną władzę nad ludami, ale prawa mają pełną władzę nad nim; ma absolutną moc czynienia dobrego, ale ma ręce związane, gdyby chciał czynić złe”. Ta pochwała łatwo mogłaby uchodzić za krytykę faktycznego stanu monarchii, ale zaczerpnięta jest przezornie z *Telemaka*, którego autorem był — arcybiskup...

¹⁴²Restif de la Bretonne, Nicolas Edme (1734–1806) — francuski pisarz pochodzenia chłopskiego, libertyn. [przypis edytorski]

¹⁴³Malesherbes, Guillaume-Chrétien de Lamoignon (1721–1794) — francuski polityk piastujący funkcję królewskiego cenzora. [przypis edytorski]

¹⁴⁴szafot — drewniane podwyższenie, służące do ścinania więźniów. [przypis edytorski]

¹⁴⁵deizm — pogląd, wedle którego Bóg jest stwórcą świata, ale nim nie kieruje. [przypis edytorski]

Ale najciekawsze, jako metoda, są nie artykuły zasadnicze, na które oczywiście uwaga cenzorów musiała być zwrócona, lecz raczej owe drobne, niby to obojętne paragrafy, z których twórcy *Encyklopedii* umieli uczynić narzędzie agitacji¹⁴⁶. Np. niewinne słówko *cependant* i jego synonimy („wszelako, mimo to, jednakże”) Czytajmy przykłady — och, czysto gramatyczne! a jak misternie dobrane:

„Niech wszystkie krytyki srożą się przeciw dziełu, niech je prześladują z całą niesprawiedliwością i złą wiarą, nie przeszkodzą *wszelako* publiczności okazać się sprawiedliwą i kupować dzieła, jeżeli jest dobre”.

Czy to nie o *Encyklopedii* przypadkiem mowa w tym *wszelako*?

A drugi przykład, znów... czysto gramatyczny:

„Niekórtzy pisarze wygłaszali w swoich dziełach zasady z gruntu sprzeczne z moralnością chrześcijańską; inni głosili systemy sprzeczne z jej dogmatami; *mimo to* i jedni, i drudzy byli dobrymi ojcami, dobrymi przyjaciółmi, nawet dobrymi obywatelami, jeżeli im wybaczyć błąd, który popełniali jako pisarze”...

I jeszcze, wciąż w tym artykuliku *cependant* potrafilo ukąsić swego wroga, Frérona¹⁴⁷, czego by się zresztą dziś nikt nie domyślił, gdyby nie to, że Freron skarży się na to w liście do pana Malesherbes.

Pani de Pompadour osierociła *Encyklopedię*, zanim doprowadzono do końca olbrzymie dzieło. Umarła w r. 1764, licząc lat zaledwie 43. Kiedy umierała, od dawna była już dla Ludwika XV kochanką jedynie „honorową”; zastąpił ją szereg przelotnych miłostek; mimo to, zachowała do końca swój autorytet, swoje stanowisko: król przywykł do niej jako do powiernicy, przyjaciółki, przywykł do jej saloniku, do schodów które tam wiodły. Ciężko zresztą walczyła pani de Pompadour o każdy miesiąc tego panowania. Może Ludwik odczuł jej śmierć jako wyzwolenie? Słowo, jakie znalazł na ostateczne pożegnanie, nie było zbyt czule. Była okropna ślota. Król, widząc przez okno, jak wynoszą trumnę, powiedział tylko: „Fatalny ma czas markiza na swoją podróż”.

Biedna pani de Pompadour! Tak, kiedy patrzę na ten wytworny szkielec, wciąż mam wrażenie, że to ona duma o swej dziwnej doli, wsparta o ten kamień. Portrecik, można by rzec, roentgenowski. Spójrzmyż, dla zatarcia wrażenia, na ów wspaniały portret pędzła La Tour¹⁴⁸, który przedstawia ją w pełni jej chwały, w pełni intelektualnego królowania, gdzie, wśród insyngiów jej subtelnej władzy — nut, sztychów i książek — obok *Ducha Praw* i *Henriady* — widnieje na głównym miejscu tom — *Encyklopedii*.

NIESZCZĘŚLIWA MIŁOŚĆ STENDHAŁA

„Usiadłem na stopniach San Pietro i dumałem tam godzinę lub dwie nad tą myślą: dochodzę pięćdziesiątki, byłby czas znać samego siebie. Czym byłem, czym jestem, doprawdy byłbym w kłopotcie, jak odpowiedzieć na to pytanie?”

Uchodzę za człowieka bardzo inteligentnego, bardzo oschłego, zepsutego nawet, a widzę, że stale pochłania mnie jakaś nieszczęśliwa miłość. Kochałem szalenie pannę Kably, pannę Grisheim, panią Diphortz, Metyldę — i nie miałem żadnej z nich, i niejedna z tych miłości trwała po kilka lat. Metylda wypełniła szczerze moje życie od 1818 do 1824. — I nie jestem jeszcze wyleczony, dodałem, poświęciwszy marzeniu o niej dobry kwadrans. Czy ona mnie kochała?...”

Tak pisze Stendhal¹⁴⁹ na wstępie do *Życia Henryka Brularda*, autobiografii niemal tak słynnej, jak *Wyznania* Russa. Jest melancholia w tym pytaniu, na które my, zbrojni w dokumenty, lepiej poinformowani, możemy odpowiedzieć: nie kochała go, na pewno go nie kochała, ta kobieta, której gubiący się we mgłę profil tak pociąga „stendalistów”; kobieta, której zawdzięczamy jeżeli nie samą książkę Stendhała *O miłości*, to z pewnością ton, w jakim jest napisana.

¹⁴⁶ *agitacja* — pozyskiwanie zwolenników. [przypis edytorski]

¹⁴⁷ *Fréron* (1718–1776) — redaktor „*Année littéraire*”, wróg Woltera. [przypis edytorski]

¹⁴⁸ *La Tour, Quentin de* (1704–1788) — francuski malarz portrecista. [przypis edytorski]

¹⁴⁹ *Stendhal* — właśc. Marie-Henri Beyle (1783–1842), francuski pisarz, żołnierz Napoleona, zafascynowany Włochami prekursor realizmu. [przypis edytorski]

Co się tyczy książki, którą, jak podaje powiernik jego, Colomb, Stendhal miał za najważniejsze ze swoich dzieł, może by ją napisał niezależnie od tego czy innego obrotu swego życia. Teoria — i praktyka — miłości zaprzętały go od młodu. Jako dwudziestoletni chłopiec notuje sobie plan dzieła: „Sztuka kochania, w innych słowach sztuka uwodzenia, rozkoszny temat! Do napisania w r. 1826”. Znalaziono w jego papierach *Katechizm uwodziciela*, również pisany w młodocianym wieku, zawierający coś w rodzaju filozofii i strategii miłości, a właściwie metodę zdobywania kobiety. Bo wszystko się łączy: bliskość XVIII w. wyraża się pasją do filozofowania, a era napoleońska pasją strategizowania...

W dobie, gdy Stendhal pisze traktat *O miłości*, był to mężczyzna 36-letni (co wówczas było wcale¹⁵⁰ dużo), krępy¹⁵¹, niski, o dość trywialnej postawie, twarz okrągła, gęste bokobrody, małe i żywe oczki: fizjonomia¹⁵² ta mogła interesować, ale nie miała — zwłaszcza w owej romantycznej epoce — nic z „uwodziciela”. Ważniejsze jeszcze były niedobory moralne. Nieśmiałość, którą starał się pokryć wyszukaniem i ekscentrycznością, czyniła go pretensjonalnym i pozbawionym swobody. Dwa bieguny jego charakteru — cynizm i sentymentalizm — po równi mogły wystraszyć kobietę. Więcej też było w jego życiu zawodów niż sukcesów. Nie będziemy wyliczali wszystkich. Wiktoryna, która nie zauważyła zalotnych póz i zdobywczych kamizelek młodego studenta; aktorka Melania, dla której miłości spędził rok jako subiekt kolonialny w Marsylii; Angela Pietragrua, którą uwielbia zdala jako młody żołnierz w Mediolanie. Potem traci ją z oczu na lat jedenaście, przez które z armią cesarza tłucze się po Europie, aż wreszcie znów ją ogląda, równie powabną, równie imponującą jak w marzeniach, ją, która ucieleśniała w jego tęsknocie cały zmysłowy urok Włoch. Możemy sobie w istocie wyobrazić, jak o jej wygrzany łóżku marzył marznąc pod Moskwą... Widuje ją codziennie, i od pierwszej chwili zaczyna się zwykła tragikomedialna nieśmiałość, w której Angela, cwana mieszcza włoska, musi niemal sama uwieść tego szczególnego uwodziciela, aby go rychło zacząć wyzyskiwać, zdradzać i wodzić za nos. Wszystko to znosi nasz filozof z na wpół dobrowolną ślepotą, aż w końcu zemsta pokojówki, która ukazała mu naocznie niewierność kochanki, przecina tę miłość, wypełniającą bądź co bądź kilka lat życia.

Wówczas, w chwili gdy, zwiedziony i zawiedziony, złorzeczy kobietom i miłości, zjawia się *Ona*, ta, której imię będzie wciąż obecne w książce *O miłości*, której zapachem będą przesycone jej karty. I, jeżeli może to nam uczynić ją bliższą, pośpieszam dodać, że ta rasowa Włoszka nosiła polskie nazwisko: nazywała się Dembowska. Metylda czy Martylda Viscontini zaślubiła napoleońskiego oficera, Jana Baptystę Dembowskiego, który z czasem został baronem i generałem. Ale Metylda miała dwadzieścia lat, kiedy rozstała się z mężem, który zdążył ją unieszczęśliwić. Co do niej, była to osoba tajemnicza, nawet dla swych bliskich. Opowiadano o niej że kochała Ugona Foscola, genialnego cygana-poetę, który opuścił kraj, niepokodzony z panowaniem Austriaków. Może to jego portret odnajdziemy w epizodzie *Pustelni parmeńskiej*? Wszystkie te przejścia odcisnęły się na wątłej istocie, matce dwóch synów: pozostała wciąż jakby przestraszona. Kiedy ją Stendhal poznał, Metylda była kobietą trzydziestodwuletnią, miała czysty owal twarzy, delikatnie wykrojone usta, wielkie ciemne oczy, melancholijnie nieśmiałe, ale chwilami przygniatające dumą; białe czoło pod przepaską ciemnych włosów. Przypominała twarz Leonarda da Vinci. Była gorącą patriotką włoską; zdaje się, że brała czynny udział w spiskach wolnościowych.

W tej kobiecie Stendhal zakochał się śmiertelnie. Zaczęło się to 20 września r. 1818. W atmosferze jej łagodnego smutku miękła jego brutalność, milkł jego cynizm; przy niej on, tak próżny, zapominał o miłości własnej. Uwielbiał ją bez zastrzeżeń, była dla niego ideałem. Pisywał do niej wariackie listy. Ale on nie miał nic, co by ją mogło porwać. Nie miał uroku sławy; jako pisarz był zupełnie nieznan, parę rzeczy ogłoszonych po francusku, pod pseudonimami, nie rozgłosiły jego imienia. Oryginalności jego umysłu zapewne nie umiała ocenić; zresztą sam Stendhal stwierdza, że we Włoszech nie kocha się umysłem... Miłość jego, nieśmiała i niezręczna, pokorna a bez wdzięku młodości, też nie przemawiała do niej. Sama osoba tego Francuza była dość zagadkowa. Czego on chciał w Mediolanie, ten człowiek bez określonego zajęcia i dochodów? W położeniu, w jakim

Miłość niespełniona

¹⁵⁰wcale (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

¹⁵¹krępy — niski i mocno zbudowany. [przypis edytorski]

¹⁵²fizjonomia — twarz. [przypis edytorski]

były wówczas Włochy, ostrożność była zrozumiała. Ironia losu: Stendhal znajdował się na czarnej liście policji austriackiej za swoje liberalne przekonania i stosunki z patriotami, a równocześnie tym patriotom zdawał się cokolwiek podejrzany!

Ile wycierpiał przez tę miłość, to wyczytamy na kartach jego książki, tam gdzie mówi o sobie w *Dzienniku Salvatięgo*. Bo w tej książce wszystko jest osobiste; ciągle jest tam obecna „ona”, i ciągle mówi Stendhal sam o sobie, jako Salvati, Lisio del Rosso, Delfante, baron Bottmer¹⁵³) itd.

Ten autor dzieła o miłości, ten „strategik”, nie może sobie dać rady z tą jedną kobietą. Lata trawi przy niej, nie posuwając się ani na krok naprzód, a raczej posuwając się swymi niezręcznościami wstecz. Co zepsuje psią uległością, to pogarsza wyrozumowanymi wyskokami zdobywczości, z którą mu nie do twarzy. Gubi się wreszcie takim krokiem: Metylda wyjeżdża do Volterra, aby odwiedzić synów. On nie może się powstrzymać, aby nie jechać za nią, aby jej nie widzieć choć z daleka. Dla niepoznaki, kładzie naiwnie ciemne okulary... tak jakby okulary mogły przesłonić jego charakterystyczną figurę, jego szerokie bary, jego krępą postać, jego wypukły brzuszek! W pustym i cichym miasteczku zjawienie się tego dziwnego jegomościa w ciemnych okularach musiało ściągnąć uwagę. Pierwsza osoba, którą spotyka, to Metylda, druga, to jakiś jej znajomy, którego obecność przyprowadza go o niewczesny atak zazdrości. Ona, oburzona że on ją śledzi, *kompromituje* (groźne słowo w ustach kobiety!), zabrania mu widywać jej, pisywać do niej, każe mu opuścić Mediolan, ledwie raz na dwa tygodnie wolno mu ją odwiedzić¹⁵⁴. Co wycierpiał, jakie uczucia przechodził, gdy zbliżała się chwila tych odwiedzin, wyczytamy to wszystko — pod pseudonimami — w jego książce. Tracił oddech, gdy zobaczył kapelusik podobny do jej kapelusza na ulicy; musiał się opierać o mur, przechodził nieludzkie wzruszenia, gdy miał iść do niej z wizytą; drżał, kiedy się znalazł pod jej drzwiami. Opisuje noc, w której do rana stał pod jej domem, śledząc drżenie firanek jej okna.

Jeżeli są krytycy, którzy uważają za rzecz zbyt cną konfrontację tych dzieł z życiem pisarza, ta książka mogłaby służyć za kontrargument. Ileż straciłaby wartości, jakże zmieniłby się jej sens, gdybyśmy, poprzez te analizy i wywody, nie czuli zdławionego szlochu, nie słyszeli głuchego bicia serca? „*Dokładam wszelkich wysiłków, aby być suchy. Chcę nakazać milczenie memu sercu, które tyle miałoby do powiedzenia... Wciąż drzę, aby to, co piszę, nie było jedynie westchnieniem, wówczas gdy mi się zdaje, że zanotowałem jakąś prawdę*”...

Te trzy zdania — to IX rozdział książki, a mogłyby służyć za motto całej książki. Tak żył bez wzajemności, bez nadziei, w pobliżu kobiety, w której widział całe swoje szczęście. I nie byłby się wyrzekł swojej męki, nie chciałby za nic wrócić do chwili, gdy Metylda była dla niego obojętną znajomą. To nieszczęście — wierzył w to — dawało mu więcej niż jakiegokolwiek inne szczęście.

Znamy niektóre jego listy do Metyldy. Och, jakież są cielece! W co się zmienił ten wyga¹⁵⁵, ten cynik, którego, korespondencji z Prosperem Mérimée¹⁵⁶ dotąd nikt nie ma odwagi wydać dla jej brutalności. Oto urywek z listu do Metyldy:

„W pani obecności jestem nieśmiały jak dziecko, słowa zamierają mi na ustach, umiem tylko patrzeć i podziwiać panią... Z chwilą, gdy kocham, staję się nieśmiały... jestem bardzo nieszczęśliwy”...

Traci wszelką ambicję, wszelkie poczucie miłości własnej; wie tylko jedno, że „miejsce, gdzie się czuje najmniej nieszczęśliwy, to przy niej”... Odtrąca — jeżeli mu wierzyć — inne powabne kobiety, i notuje bez żadnej emfazy¹⁵⁷: „Miłość moja dała mi wielce komiczną cnotę: czystość”... „Wszystko — pisze gdzie indziej ten ateusz¹⁵⁸ — nabiera dla mnie

Miłość niespełniona

Miłość niespełniona,
Kochanek romantyczny

¹⁵³ *Salviati, Lisio del Rosso, Delfante, baron Bottmer* — Stendhal miał pasję pseudonimów i kryptonimów, która zresztą dość się tłumaczyła w owej epoce szpiegów, rewizji, przejmowania korespondencji. [przypis autorski]

¹⁵⁴ *raz na dwa tygodnie wolno mu ją odwiedzić* — kiedy obrażona Metylda zabroniła mu nawet pisywać do siebie, wówczas Stendhal, nie mogąc sobie dać rady z nadmiarem swych uczuć, zaczął pisać powieść, nie przeznaczoną do druku, tylko dla niej jedynej. Powieści tej, która jest jego pierwszą powieścią w ogóle, napisał tylko kilka kartek. Siebie odmalował tam pod postacią Polaka, oficera napoleońskiego, nazwiskiem Poloski; jako „czarny charakter” zapowiada się zaborcza przyjaciółka, margrabina Traversi, zakochana w Metyldzie i zazdrosna o nią. [przypis autorski]

¹⁵⁵ *wyga* (pot.) — osoba sprytna i doświadczona. [przypis edytorski]

¹⁵⁶ *Mérimée, Prosper* (1803–1870) — francuski dramaturg, pisarz i archeolog. [przypis edytorski]

¹⁵⁷ *emfaza* — przesadnie emocjonalny sposób wypowiedzenia się. [przypis edytorski]

¹⁵⁸ *ateusz* — ateista. [przypis edytorski]

odcienia mistycznego, religijnego”... Aż w końcu wybucha: „Gdyby mi ktoś wypalił w łeb, podziękowałbym mu przed śmiercią, o ile bym zdążył”...

W końcu uczuł, że dłużej nie znieśie tego życia: myśl o samobójstwie oblega go nieustannie. Powstrzymała go „ciekawość świata”. Ale postanowił wyjechać — na zawsze. Może dołączyły się przykrości ze strony policji (wiadomo dziś z raportów, że go śledzono; łatwo mógł znaleźć się w Spilbergu, policja austriacka nie żartowała), może trapiła go dwuznaczna sytuacja, może kłopoty pieniężne? Miał, jako były oficer, skromną pensyjkę, z której wypłatą robiono mu trudności, dlatego że mieszka zagranicą. „Jest nieobecny” — mówiły władze. „Nie byłem nieobecny w czasie moich dwunastu kampanii” — odpowiadał wściekły. Wreszcie decyduje się pożegnać Metyldę: może to miała być ostatnia próba jej uczuć? Jeżeli tak, próba wypadła żałośnie.

— Przychodzę panią pożegnać — oznajmił pewnego dnia.

— Kiedy pan wróci? — spytała.

— Nigdy, mam nadzieję.

Nie rzekła słowa, nie uczyniła gestu; pożegnała go tak, jak się żegna obojętnego znajomego. I biedny kochanek z rozpaczą w sercu wyjechał do Paryża.

Rychło zaczęła się retrospektywna¹⁵⁹ — aby użyć jego terminu — „krystalizacja” złudzeń: „Opuściłem — pisze później — po trzech latach zażyłości kobietę, którą ubóstwiałem, która mnie kochała i która nigdy nie była moją”...

Z czasem wspomnienie Metyldy stanie się słodkie, łagodne: „Stała się dla mnie niby luby cień, który swoim zjawieniem budził we mnie tkliwość, dobroć, pobłażliwość”... pisze w r. 1824.

Nie miał jej już nigdy ujrzyć: umarła w r. 1825. Czy pomyślała o nim kiedy? Można przypuszczać, że nie: tak mało miejsca zajmował w jej życiu, był jej tak doskonale obcy, że zniknięciem swoim ten natrętny i niezrozumiały Francuz rozwiął się zapewne w jej pamięci... też jak cień. Ze wszystkich par kochanków, jakie zna literatura, ta para Henryka i Metyldy jest może najbardziej przejmująca tym swoim zupełnym *minięciem się*...

Jeszcze z Mediolanu wysłał Stendhal do Paryża rękopis: były to niedbale pozszywane notatki, kreślone w różnych fazach życia, na świstkach papieru, na kartach do gry itd. Bo Stendhal miał pasję notowania; notował na wszystkim, co miał pod ręką: kiedy odniósł słynne „zwycięstwo” nad Angelą, zanotował ten tryumfalny fakt... na szelkach. Notatki te miały złożyć książkę. Jeśli uważał ją za swoje najważniejsze dzieło, oryginalnie w istocie przystępował do jego wydania! Ale Stendhal nie był nigdy fachowym literatem, i to jego wdziałek. Karty te pisane były głównie w latach 1819 i 1820 w Mediolanie, ale wchodzi w nie wiele notat czynionych w różnych okresach życia, w Niemczech, w czasie kampanii rosyjskiej itd. Rzecz *O miłości* miał zrazu wydać prywatnie w 300 egzemplarzach, 150 pełnych, a 150 „editio castrata”¹⁶⁰. Obawiał się, że, mimo zmiany nazwisk, książka mogłaby go skompromitować w Mediolanie, że poznano by z każdego rysu o kogo chodzi.

Stendhal przybył do Paryża w r. 1821: rzecz *O miłości* ukazała się w r. 1822. Korekty poprawiał ze łzami w oczach. „Myślałem, że oszaleję” — pisze. Książka nie miała żadnego powodzenia. W ciągu dziesięciu lat zyskała ledwo kilkunastu nabywców. *C'est sacré, car personne n'y touche*¹⁶¹ — powiadał księgarz. W r. 1833 autor próbował, dobrze dziś znanym sposobikiem księgarskim, ożywić rzecz nową kartą tytułową, tworząc fikcyjne drugie wydanie: też bez skutku. Te dwa wydania są dziś na wagę złota poszukiwane przez bibliofilów. Przepowiednia Stendhala, że za lat sto książka będzie przedrukowywana, spełniła się o wiele wcześniej. Dziełko to jest od dawna jeżeli nie najwięcej czytane, to najczęściej cytowane; wiele rzeczy, jak np. owa teoria *krystalizacji*, która współcześnie wydawała się tak dzika, stało się własnością ogółu.

To pewna, że żarty Stendhala na temat niepoczytności tej książki mieszczą w sobie wiele gorzkości. Przez chwilę naiwnie wyobrażał sobie, że książka *O miłości* otworzy mu... wrota Akademii. Później machnął ręką. „Cóż chcecie — mówił — ludzie we Francji za głupi są, aby mnie zrozumieć”. Faktem jest, że się zajmował tą książką do śmierci ze

¹⁵⁹retrospektywny — dokonywane po fakcie, dotyczący przeszłości. [przypis edytorski]

¹⁶⁰editio castrata (łac.) — wydanie ocenzone przez pozabawienie pewnych fragmentów (dosł.: wykastrowane). [przypis edytorski]

¹⁶¹*C'est sacré, car personne n'y touche* (fr.) — jest przeklęta, ponieważ nikt jej nie dotyka. [przypis edytorski]

szczególną troskliwością. Świadczą o tym trzy kolejne przedmowy, z których trzecia jest w ogóle ostatnią rzeczą jego pióra.

I w istocie, dla poznania tego niezwykłego pisarza jest to utwór pierwszorzędnej wartości. Skupia on wszystkie elementy duchowe, jest najbardziej syntetyczny, ma zarazem bezpośredniość, szczerość, nawet niedbałość, jakże odbijające od urzędowej literatury. Bo też koleje tego pisarza, o którym miałem sposobność już nieraz mówić¹⁶²), innymi szły drogami niż współczesna literatura, do której sam nie wszedł, w której został za życia prawie nieznanym i od której apelował z tak nieomylnym jasnowidzeniem do potomności. Przypomnijmy bodaj w kilku słowach te koleje. Młodość smutna i niekochana po stracie nazbyt kochanej matki; studia głównie matematyczne, mające mu otworzyć wstęp do politechniki, która w owej epoce zdawała się drogą do wszystkiego. Paryż, w którym siedemnastoletni chłopak wałęsa się, marzy i dręczy własną nicością. Naraz, niespodzianie, koń, mundur, armia Napoleona, Mediolan, włoska muzyka, włoska kobieta — owe pierwsze wrażenia, które miały się odcisnąć niezatartym śladem na całym jego życiu. W tym ukochaniu Włoch było coś z powinowactwa z wyboru, coś może z „głosu krwi”, której włoską przymieszkę miał w sobie po matce. I znów, po tym wojennym epizodzie, z powrotem Paryż, i znów w pokoiku studenckim marzenia o sławie literackiej, mozolne płodzenie tragedii wierszem i niemniej mozolne budowanie własnej osobowości, elementów przyszłego *egotysty*, siłającego się na bezczulość. Programowa oryginalność: „Uprowadzić zawsze o sekundę przesyty, jaki mogłaby budzić twoja osoba; nigdy nie być jednaki, nigdy nie być podobny do innych”... Oschłość, wyrachowanie przede wszystkim: „Kiedy ktoś mówi do ciebie, zadaj sobie przede wszystkim te pytania: 1) jaki on ma interes, aby do ciebie mówić w ogóle; 2) jaki ma interes, aby do ciebie mówić w ten sposób. Uwierz mu jedynie wtedy, jeżeli ma interes mówić prawdę”... (strasznie pracowity program! — myślimy sobie w duchu)... „Bądź hipokrytką!” — pisze do siostry na czele różnych rad, jakie jej daje. Precz ze złudzeniami, z oszukiwaniem samego siebie; nie istnieje na świecie nic, tylko interes rozkoszy. Epikureizm¹⁶³, materializm, sensualizm¹⁶⁴ XVIII w. — to jego dogmaty.

Wśród tego marzył o laurach Racine’a¹⁶⁵, Moliera¹⁶⁶, wielkich analityków i poetów namiętności. Ale tak już było pisane, że Henryk Beyle nie zostanie zawodowym literatem. Znów porywa go prąd: wstępuje z powrotem do armii, tym razem do intendencji¹⁶⁷, rzuca się całym sercem w ten fantastyczny żywy romans, którym była armia Napoleona, a który dla niego kończy się Berezyną. Cóż za szkoła życia! Europa widziana z lotu orłów cesarskich, miasta, do których wkracza się jako zdobywca, kobiety wszystkich narodowości łaskawe dla tryumfatorów, kalejdoskop ludzi, obyczajów, zmieniających się ze stopniem szerokości geograficznej. Ileż obserwacji do zanotowania dla tego amatora, tak „ciekawego życia”. Pełno tych obserwacji, kreślonych na gorąco, weszło potem w tę książkę o miłości; to jakaś anegdota uszczknięta w Niemczech czy w Wiedniu, to jakaś myśl zanotowana w Wilnie, Warszawie czy Orszy. Niezwykła jest w istocie zawartość walizki tego wzorowego oficera intendencji podczas strasznej kampanii r. 1812! W czasie pożaru Moskwy ten apostoł nieczulości rzuca się na znaleziony w jakimś opustoszałym pałacu angielski egzemplarz *Pawła i Wirginii*¹⁶⁸.

Zważmy: ten kapitał obserwacji, doświadczeń, myśli, uczuć, gromadzi Beyle o wiele wprzód, nim pióro weźmie do ręki. Filozofię swoją tworzył sobie w ogniu życia i dla życia. I to co się stało pobudką do spisania tych pierwszych rzutów myśli — miłość do Metyldy — przeobraziło równocześnie jego duszę, przebudowało jego myśl. Ten czło-

¹⁶² miałem sposobność już nieraz mówić — *Mózg i pleć*, seria trzecia. [przypis autorski]

¹⁶³ epikureizm — stanowisko filozoficzne, wedle którego źródłem szczęścia jest przyjemność. [przypis edytorski]

¹⁶⁴ sensualizm — stanowisko filozoficzne, zgodnie z którym jedynym źródłem poznania są doznania zmysłowe. [przypis edytorski]

¹⁶⁵ Racine, Jean Baptiste (1639–1699) — fr. poeta i dramaturg, autor m.in. *Andromachy* i *Fedry*. [przypis edytorski]

¹⁶⁶ Molier — właśc. Jean Baptiste Poquelin (1622–1673), francuski komediopisarz, aktor i dyrektor teatru. [przypis edytorski]

¹⁶⁷ intendencja — zaopatrzenie i kwatermistrzowska obsługa armii. [przypis edytorski]

¹⁶⁸ *Paweł i Wirginia* — dzieło Jacques’a-Henriego Bernardina de Saint-Pierre (1788), opisujące życie zgodne z naturą i taką samą miłość między głównymi bohaterami. [przypis edytorski]

wiek, który od dziecka czuł się sam, który miał się wciąż na baczności, który wychował się w obozie, który wciąż nakazywał sobie twardość, brutalność, nieczułość, który głosił rozkosz jako jedyne dobro, naraz¹⁶⁹ stanął zdumiony wobec uczucia, które go ogarnęło. Miłość do Metyldy rozszerza jego pojęcia nie tylko o miłości, ale o świecie wrażeń, o świecie w ogóle. On, wprzód doktryner użycia, poznaje naraz, że może istnieć uczucie karmiące się wyrzeczeniem, zaparciem się siebie, miłość granicząca z obłąkaną adoracją. On, człowiek bez religii, stał się w tym okresie niemal mistykiem. Ta miłość odsłania mu przepaści duszy ludzkiej, dopełnia go jako człowieka, pogłębia jako pisarza. Bez niej napisałby zapewne tę książkę, ale byłby to może płaski podręcznik *donżuanizmu* w rodzaju tego, który szkicował za młodu. Stendhal-pisarz dojrzewa i wyrasta w owych latach cierpienia.

Temat tej książki może się dziś wydać przebrzmiały. Te cierpienia długiej a bezwzględnej miłości, te strategie i analizy, czyż nie są czymś niemal egzotycznym dziś, w wieku pośpiechu, przy tak zmienionym stosunku *podaży* i *popytu*, zdobywających i zdobywanych... Ale to tylko na pozór. Zmienił się zapewne potoczny stosunek płci, ale miłość, ten dziwny kwiat, „ta choroba rzadka we Francji” — jak ją nazywa Stendhal — podlega zapewne tym samym prawom, o których wykrycie siłił się w tym tomie.

A te zdobycze, jeżeli nie wydadzą się powierzchownemu czytelnikowi dość nowe, to dlatego, że od dawna weszły w krew literatury. Współcześnie były rewelacją: były czymś aż niezrozumiałym! Jedynie paru ludzi — między nimi Balzac, który czerpał z tej książki dość obficie w swojej *Fizjologii małżeństwa* — zrozumiało doniosłość tej analizy, która tak odnowiła instrumentarium psychologii, jak dziś odnowiło je dzieło Prousta¹⁷⁰. Rozłożenie pojęcia, uważanego potocznie za proste, na szereg odcieni, przepuszczenie tych odcieni przez szereg temperamentów, poddanych znowuż działaniu klimatu, obyczajów; wsparcie analitycznych dociekań przykładami zbieranymi żywym ludzkim spojrzeniem, bez uprzedzeń i narowów literackich, po całej Europie, wszystko to daje tej książce oryginalność i świeżość, której nie zatraciła do dziś. A przydaje jej jeszcze smaku ta jedyna w swoim rodzaju kombinacja: traktat zimnej analizy spleciony z jakże osobistą i gorącą spowiedzią liryczną. Najbardziej drażące wgląd obserwacje są tutaj wiwisekcją¹⁷¹, w której ten sentymentalny kochanek nie cofa się przed drastycznościami w rodzaju rozdziału *Fiasco*, usuniętego zresztą po namyśle z pierwszego wydania.

A niemniej zajmująca jest ta książka jako dokument do poznania autora, który od stu lat coraz więcej zaciekawia i wiąże, coraz więcej zyskuje czytelników i wyznawców. Rzadki to w literaturze wypadek tak pełnego pośmiertnego tryumfu! Tutaj, w tej samorzutnej, nieliterackiej książce, pisarz oddaje się nam najbardziej bezpośrednio. Daje tu w zagęszczeniu mnóstwo myśli, spostrzeżeń, które później rozwinie. Tu najlepiej maluje się cały jego pogmatwany charakter, którego główna zawilść polega może na jego szczerości. Kłamstwo, konwencja, są zwykle uproszczone, logiczne, jasne; szczerość jest zawsze zagmatwana, wieloplanowa. Tę szczerość Stendhal ma we wszystkim; czuć, że namiętnie szuka prawdy w sobie i naokoło siebie, a szuka nie przez samą ciekawość teoretyczną, ale szuka jej przede wszystkim dla siebie, dla życia, dla szczęścia. „Nienawidzę we wszystkim fałszu jako wroga szczęścia” — mówi. Jest to jedno z tych zdań, nad którymi warto się zastanowić; a takich jest tutaj bardzo wiele. Bo Stendhal wie się z owej rasy filozofów francuskich, którzy — jak Montaigne¹⁷², jak Pascal¹⁷³, jak La Rochefoucauld¹⁷⁴, jak Diderot¹⁷⁵, jak Rousseau¹⁷⁶ — filozofując, wciąż kierują myśli pod kątem pytania: „Jak żyć?” Dlatego sądzę, że jego książka i dziś warta jest przemyślenia.

¹⁶⁹ *naraz* (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

¹⁷⁰ Proust, Marcel (1871–1922) — pisarz francuski, autor cyklu powieści *W poszukiwaniu straconego czasu*. [przypis edytorski]

¹⁷¹ *wiwisekcja* — bardzo dokładna analiza (dosł. sekcja żywego organizmu). [przypis edytorski]

¹⁷² Montaigne, Michel de (1533–1592) — francuski pisarz, prekursor eseju (*Próby*). [przypis edytorski]

¹⁷³ Pascal, Blaise (1623–1662) — francuski filozof i matematyk, po 1654 porzucił nauki ścisłe na rzecz filozofii i teologii. Najważniejszym jego dziełem literackim są *Myśli*. [przypis edytorski]

¹⁷⁴ La Rochefoucauld, François de (1613–1680) — francuski książę, pisarz i filozof, znany ze swoich pesymistycznych aforyzmów. [przypis edytorski]

¹⁷⁵ Diderot, Denis (1713–1784) — francuski pisarz, krytyk i filozof, współredaktor *Wielkiej Encyklopedii Francuskiej*, autor powiastki filozoficznej *Kubuś Fatalista i jego pan*. [przypis edytorski]

¹⁷⁶ Rousseau, Jean Jacques (1712–1778) — francuskojęzyczny pisarz i myśliciel pochodzący ze Szwajcarii, twórca epoki schyłkowego oświecenia, sentymentalizmu, prekursor romantyzmu. [przypis edytorski]

PIĘĆSETLECIE VILLONA

Pięćsetlecie urodzin Villona, największego może, a z pewnością najosobliwszego poety Francji, dziecka Paryża. Cóż za data! Można sobie wyobrazić, jak szumnie będzie tam obchodzona. Ale z pewnością nie tak, jak by się ją obchodzić powinno. Ja bym to sobie wyobrażał tak: szeroka amnestia dla złodziei odsiadujących karę; jadła, napoju i miłości więźniom w ten dzień do syta; udział opryszków, dziwek i alfonsów¹⁷⁷ paryskich w uroczystej akademii. Mowy na przeplatane: jeden akademik, jeden złodziej; jeden profesor, jeden alfons; itd. I to byłoby bardzo pedagogiczne. Nie zawsze zdarza się sposobność tak dosadnego uprzytomnienia ludziom, ile może kosztować poezja.

Och, drogo kosztowała biednego Villona. To namiętne, niespokojne serce jakże było bez obrony wobec pokus świata i jak ciężko odpokutowało swoje porywy! Bo, o ile dziś świat występku a świat porządku społecznego oddzielone są dość ostrą linią, wówczas linia ta była — dla młodych — raczej płynna. Każdy szkolarz paryski ocierał się po trosze o kryminal. Utarczki z rontem¹⁷⁸ miejskim, przy których jakże łatwo było zgładzić człowieka; wszelakiego rodzaju psoty i figle, rzadko niewinne; niewyczerpana pomysłowość w biesiadowaniu bez pieniędzy; — ileż tu okazji! Władze uniwersyteckie, zazdrosne o swą eksterytorialność, w razie zatargu ze sprawiedliwością, póki mogły, chroniły winnych; aż gdy się przebrała miara, kiedy uznano, że lotrzyk popadł *in profundum malorum*, wydawano go sądom, i wówczas, fiut! — szubienica. Ale szanse bezkarności były duże. Iluż drabów wręcz zapisywało się na uniwersytet dla tej szansy; wystarczyło na to wpisać się na lekcję jednego z profesorów. Formowały się istne szajki bandytów, opryszków, oszustów, włamywaczy: żaki paryskie najczęściej dawały roboty policji. I jak to zwykle bywa, ustosunkowany, bogatszy, wycyganil się, gdy biedak płacił siedzeniem, a często i głową.

Ileż pokus dla młodego Frania, wesołego, miłego kompana, składającego wiersze, niewyczerpanego w conceptach. Rozrywany, fetowany, za pan brat (niby to) z bogatszymi od siebie, przyzwyczajał się do lekkiego życia nad stan. Zamiast myśleć o zapewnieniu sobie przyszłości w formie ciepłego probostwa, hulał po gospodach i durzył się¹⁷⁹ w panielkach, które leciały na pieniądze i na fatalaszki. Pozwalały się przypalać do siebie, mile widziały wierszyki i drobne podarki, ale poważniejsze fawory chowały dla innych. Pieniędzy za wszelką cenę! Dla niej, dla tej Kasi de Yausselles, która tak *bujala* nieboraka, dla której go „oćwiczono nago”, przez którą „wszędę zwą go głośno: „miłośnik z hańbą przepędzony”...

Nie daj Boże spotkać taką na swojej drodze! „*Co bądź jej jeno kładłem w uszy, zawsze powolnie mnie słuchala — zgodę czy pośmiech mając w duszy — co więcej, nieraz mnie cirpiata, iżbych się przywarł do niej ciasno, y w ślepki patrzył promieniste, y prawil swoje... Wiem dziś jasno, że to szalbierstwo było czyste... Wszystko umiała przeinaczyć, mamila mnie niby przez czary; zanim człek zdolał się obaczyć, z mąki zrobiła popiół szary; na żużel rzekła, że to ziarno, na czapkę, że to hełm błyszczący, y tak zwodziła mową marną, zwodniczem słowem rzucający”...*

Dla niej, czy dla jakiej innej była ta brzydka kradzież, którą popełnił? Mniejsza. Ale to fakt, że kradzież była gruba, z włamaniem. Zysk 500 dukatów, do podziału; nie ma co: warto. Villon nie był już dyletantem; zdaje się, że należał do szajki słynnych *Coquillards*¹⁸⁰, dla których później tyle ballad w złodziejskiej gwarze miał napisać. Zachęcona powodzeniem, szajka planuje nową kradzież w Angers; wysyłają Villona przodem dla wystudiowania terenu. Ale tymczasem wychodzi na jaw tamta dawna kradzież w kolegium nawarskim; ani się pokazują w Paryżu. Tułacz dostaje się na dwór księcia Karola Orleańskiego, pierwszego wówczas poety Francji, który, osiadłszy w uroczym Blois, zażywa, w atmosferze turniejów poetyckich, pogodnej jesieni swego życia. Jak z tego dworu, od faworów i pensji książęcej, Villon dostał się do więzienia w Orleanie, nie wiadomo; ale powód musiał być, i to poważny. Ocala go amnestia sprowadzona wjazdem młodej

¹⁷⁷ *alfons* — osoba czerpiąca zyski z cudzego nierządu. [przypis edytorski]

¹⁷⁸ *ront* — obchód terenu przez strażę, w celu sprawdzenia porządku i bezpieczeństwa. [przypis edytorski]

¹⁷⁹ *durzyć się* — kochać się w kimś. [przypis edytorski]

¹⁸⁰ *Coquillards* — organizacja złodziei, oszustów i fałszerzy pieniędzy, po polsku zwanych Muszelnikami. [przypis edytorski]

księżniczki. Trzeba przyznać, że ten obwieś¹⁸¹ Villon miał szczęście; bo oto tuż potem, kiedy dostaje się do straszliwie ciężkiej kaźni¹⁸² w Meungs, znów wjazd króla Ludwika XI wraca mu wolność. A nie było tam żartów; to więzienie przypłacił zdrowiem, tę kaźń wilgotną, w której siedział skutny; nigdy też nie mógł wspomnieć biskupa, który go tam osadził, bez zgrzytania zębów. Och, jak rozpaczliwie wzywa stamtąd ratunku przyjaciół, ale, jak przystało na poetę, w liście pisanym w formie ballady, której każda strofa kończy się słowami: „Czyż opuścicie biednego Wilona?” — „Xiążeta moi, zaklinam was święcie, zdobądźcie króla odpusty, pieczęcie; w was cała moja nadzieja, obrona: tak, w słońcu gromadzie, jedna drugiej życzy, i wszystkie pędzą, gdzie która zakwicy: — czyż opuścicie biednego Wilona?”

Wyszedł z więzienia złamany na ciele, chudy jak szczapa, kaszlący, wpół żywy. Nie spodziewa się też długo żyć. Pisze swój testament: *Wielki testament*, swoje arcydzieło, poemat, w którym zamyka całego siebie, wszystkie swoje żale i nienawiści, wspominki i marzenia, całą werwę paryskiego ulicznika i melancholię przedwcześnie zmarniałego tułacza, i tragizm spojrzenia na świat z drugiego brzegu...

Testament to była częsta wówczas forma literacka. Villon próbował jej już po raz drugi; przedtem napisał swoje *Legaty* czyli *Mały testament*. Zwykle były to żartobliwe zapisy, którymi autor obdarzał wrogów i przyjaciół. Ale jakże się rozrasta ta forma u Villona, przez dygresje, które czyni raz po raz. Zapisy są niczym; te dygresje wszystkim. Spowiedź liryczna. Ogląda się wstecz, ku swej zmarnowanej młodości: „Wiem to, iż gdybych był studiował, w płochy młodości lata prędkie, y w obyczaju zacnym chował, dom miałbych y posłanie miętkie! Ale cóż? gnałem precz od szkoły, na lichej pędząc czas zabawie... Gdzież są kompani owe grzeczne, których chadzałem niegdy śladem; tak mowne, śpiewne, tak dorzeczne, w trefnym figielku, w słowie radem?...”

Niestety! jedni zawisli na szubienicy, inni gdzieś tułają się po świecie. Jemu samemu niewiele się należy: „Wiem że już czas mi w lepsze kraje: charkam — materia biała, brzydka — plwocina niby kurze jaje... Cóż stąd? ba, cóż? to, że Brygidka nie chce mnie trzymać już za chłopca, chociaż daleki siwej brody; głos, minę mam starego skopca¹⁸³, choć w rzeczy¹⁸⁴ ze mnie spiczak¹⁸⁵ młody... Bogu i biskupowi dzięki, co tyle wody dał mi żłopać¹⁸⁶, iż w dole ciemnym, z głodnej męki, nogami przyszło ziemię kopać skutemi... Z onym dobrym panem rachunek przy pacierzu co dzień robię; niech Bóg mu... amen, amen, to, co ta myśli biedny zbrodzień”...

Brygidka nie chce go już za chłopca... To w istocie przykre... Bo biedny Villon w tej ciężkiej swojej doli nie gardził ciepłym leżem i posiłkiem u jakiej dobrej duszy, jak o tym świadczy owa *Ballada o grubej Małgoście*, która tyle kłopotu sprawiła cnotliwym *wilologom* że aż szukali niesłychanie subtelnych wykrętów, aby żywą Małgość przemienić w szyld winiarni, a pulsujący realizmem poemacik przedestylować w kunsztowną alegorię.

Zły los zawiał się teraz na Villona. Jak bywa często w takiej karierze, tam gdzie był najmniej winien, tam popadł w najcięższe opresje. Nocna bójka zakończona śmiercią poważnego mieszczanina, prowadzi Villona — mimo że tylko pośrednio był w nią zamieszany — do więzienia, gdzie, doświadczywszy go wpród torturą wodną, odczytano mu wyrok śmierci przez powieszenie. Tym razem rzecz zdawała się bez ratunku. I oto — podziwiajcie siłę ducha poety — już po skazaniu, Villon pisze dla siebie i dla swoich kompanów balladę w formie nagrobka, kreśli wizję ich ciał wiszących na szubienicy: „Deszcze nas biednych do szczytu wyprały, do cna zczerniło, wysuszyło słońce, sępy y kruki oczęta zdziobały, włoski w brwiach, w brodzie wydarły chwiejące; nigdy nam usięść ni spocząć nie wolno; — tu, tam, na wietrze kołyszem się wolno, wciąż nami trąca wedle swego dechu”...

Mimo to wniósł apelację; apelacja (może przy poparciu?) odniosła skutek, karę zmieniono na dziesięcioletnie wygnanie z obrębu Paryża. Villon — zawsze poeta — daje wyraz

¹⁸¹obwieś — hultaj, osobnik podejrzany. [przypis edytorski]

¹⁸²kaźń — tu: więzienie. [przypis edytorski]

¹⁸³skopiec — wykastrowany baran. [przypis edytorski]

¹⁸⁴w rzeczy (daw.) — w rzeczywistości. [przypis edytorski]

¹⁸⁵spiczak — młody jeleń, któremu po raz pierwszy wyrasta poroże. [przypis edytorski]

¹⁸⁶co tyle wody dał mi żłopać — aluzja do popularnej metody torturowania podejrzanych. [przypis edytorski]

swej radości w balladzie, zwróconej do odzwiernego, w drugiej balladzie, skierowanej do trybunału; uprasza o trzydniową zwłokę i opuszcza Paryż w r. 1463, licząc trzydziesty rok życia. Odtąd przepada zupełnie. Umarł czy zgnął gdzie w lochu? Nie wiadomo. Trzeba przypuszczać, że zmarł niedługo potem, gdyż byłby został po nim jakiś ślad, bądź w nowych utworach, bądź w rocznikach kryminalnych.

Villon na tle swojej epoki jest czymś zadziwiającym; popularny w legendzie, wszedł do literatury właściwie aż w XIX w. To, co w nim najcenniejsze, długi czas było przeszkodą: jego bezpośredniość, szczerść wyrazu. Poezja średniowiecza była bardzo konwencjonalna; zamykała w kunsztownych rymach pewne umowne niejako uczucia. Pokonywanie trudności formalnych stanowiło o sławie poety. Villon, mimo że nieobce mu były te zabawki formy, pakuje po prostu bez ceremonii w swoje wiersze siebie. Bez fikcji poetyckiej ani alegorii, bez szaty godowej wchodzi do pałacu sztuki; od pierwszego wiersza mówi do nas on sam, biedak, więzień, zbrodniarz. Ma wybitny zmysł rzeczywistości; nie szuka poezji w urojeniu, znajduje ją tuż koło siebie, bierze ją z błota ziemi. Ma wszystkie tony, od żartobliwej lekkości aż do przejmującego tragizmu; miesza wszystko razem, przekleństwo i modlitwę, rubaszny żart i naiwną skargę. Styl jego, język, są czymś zadziwiającym swą giętkością, zdolnością powiedzenia wszystkiego, na tle uboższego języka współczesnej poezji. Nawet wówczas gdy bierze poświęcone tematy — mijanie czasu, miłość, śmierć — wszystko staje się pod jego piórem jakże osobiste! „Zaiste, nieraz miłowałem, y miłowałbym jeszcze chętnie, lecz serce smutne, z wygłodniałym brzuchem, co skwirczy zbyt natrętnie, odwodzą mnie z miłosnych drózek; ktoś inny, syty, swej ochocie folguje za mnie: Amor-bożek w pełnym wszak rodzi się żywocie¹⁸⁷!” To trochę jest różnie od ówczesnego dworskiego stylu wynurzeń miłosnych...

Ale właśnie ta bezceremonialność w obchodzeniu się z poetyckim konwenansem skłóciła Villona na parę wieków z literaturą. Długo miał za sobą bodaj publiczność. W czasie, gdy Villon tworzył, druk nie był jeszcze rozpowszechniony we Francji. *Testament* musiał krążyć w odpisach, lub przekazywany z ust do ust. Glement Marot w r. 1533 zaznacza, iż za jego czasu wielu starych ludzi recytowało całe ustępy Villona jedynie z ustnej tradycji. Pierwsze znane wydanie ukazuje się w druku w r. 1489; do 1542 było wydań ze trzydzieści. Ale wówczas nie było jeszcze poloru¹⁸⁸ literackiego we Francji. W miarę „kształcenia się smaku”, gust publiczności odwrócił się od Villona. Nie było dlań miejsca przy *Plejadzie*¹⁸⁹ Ronsarda¹⁹⁰, przy pracowitym cyzelerstwie Malherbe'a¹⁹¹. Jakoż, od r. 1542, przez dwa wieki blisko nie ma ani jednego wydania Villona; pamięć jego przepada zupełnie. Odkrywają go aż romantycy (Gautier¹⁹²); później, w związku z baudelaire'owską poezją grzechu, z więziennymi perypetiami Verlaine'a¹⁹³, Villon staje się tym bardziej zrozumiały i bliski. Chmara uczonych wilonologów rzuca się na epokę i życie poety; cudowne wprost jest, ile i jak przemyślnie zdołano z tego życia po wątych śladach odszukać; ile aluzji *Testamentu*, niezrozumiałych już dla następnego po Villonie pokolenia, zdołano objaśnić. Dziś pozycja jego jest murowana. Spod szubienicy wszedł do Panteonu. Obdarty, zawszony, z jedną maleńką książeczką pod pachą. Pierwszy raz święci swoje stulecie. Uczcijmyż jego rocznicę i w Polsce. Ale cieszymy się, że nie nam Opatrzność tego wspaniałego poetę zesłała: mielibyśmy straszliwy kłopot z tym, aby go wybielić...

¹⁸⁷ *żywot* (daw.) — brzuch. [przypis edytorski]

¹⁸⁸ *polor* — wytworność. [przypis edytorski]

¹⁸⁹ *Plejada* — XVI-wieczna grupa poetów francuskich, promująca pisanie w języku narodowym zamiast po łacinie. [przypis edytorski]

¹⁹⁰ *Ronsard, Pierre de (1524–1585)* — sławny poeta francuskiego renesansu, główny autor należący do grupy zwanej *Plejadą*. [przypis edytorski]

¹⁹¹ *Malherbe, François de (1555–1628)* — francuski poeta klasycystyczny. [przypis edytorski]

¹⁹² *Gautier, Théophile (1811–1872)* — francuski pisarz, prekursor parnasizmu, wprowadził do literatury sformułowanie Victora Cousina „sztuka dla sztuki”. [przypis edytorski]

¹⁹³ *Verlaine, Paul (1844–1896)* — francuski poeta; typ poety-włóczęgi, alkoholika; jego liryki miały charakter ulotny i melancholijny, wykorzystywały muzyczność, synestezję. [przypis edytorski]

STULECIE KLASYKA MIMO WOLI

W grudniu r. 1830 obchodziła Francja stulecie śmierci Benjamina Constant¹⁹⁴. Data ważna dla tego właśnie człowieka, bo z całego jego życia, które było szeregiem posunięć mniej lub więcej wątpliwych, najbardziej bezspornym momentem był — pogrzeb. Dał mu to, czego mu brakło przez całe życie: szacunek świata, niemal wielkość. Dla osiągnięcia jej za życia przeszkodą były niedomagania jego charakteru, jego słabość, jego sceptycyzm, jego romanse, jego małżeństwa, jego pojedynki, jego nieporządek. Kiedy, na szczycie tryumfów polityka i publicysty, ubiegał się o fotel Akademii, pominięto go w sposób dość upokarzający, dając pierwszeństwo człowiekowi miernemu, ale „nieskazitelnemu”. Jeszcze na parę miesięcy przed śmiercią tego sześćdziesięcioletniego lidera opozycji, przeciwnik polityczny — król Ludwik Filip — zapłacił za niego dwieście tysięcy franków karcianych długów. Proszę to zwaloryzować!

Ale śmierć zatarła to wszystko, wyniosła go w owym momencie do wyżyn symbolu, hasła, sztandaru. Było to tuż po rewolucji lipcowej. Cała dysząca nadziejami Francja zjednoczyła się u zwłok tego, którego imię znaczyło magiczne wówczas słowa: wolność, parlamentaryzm, swoboda prasy, konstytucja. Młodzież chciała go nieść do Panteonu¹⁹⁵. Stary Lafayette¹⁹⁶, gdy miał wyrzec nad trumną kilka słów, zemdlął ze wzruszenia.

Dziś, po stu latach, co zostało z ideałów politycznych Constanta? Odbyły cały łuk od wschodu do zachodu. Były pokarmem, którym się żywił cały wiek XIX, aż w końcu okazały się... grubo niewystarczające. Wolność taka, jak ją pojmował ten niepożyty miłośnik kobiet i ruletki — to był ów mieszczański *liberalizm* XIX w. na użytek samolubnego społeczeństwa groszorobów; liberalizm, który nie zrozumiał rodzącej się już wówczas kwestii społecznej. Niewolnictwo ekonomiczne mas, pogotowie wojenne całego świata, nieznane wprzód za „despotów”, okazały się tragicznym dziedzictwem tej wolności. Parlamentaryzm nie uniknął niebezpieczeństw, które jego szermierz przeczuł zresztą w chwilach jasnovidzącego sceptycyzmu.

I gdyby Constant był tylko pisarzem politycznym, świetnym parlamentarzystą, człowiekiem, który układał konstytucję Napoleona w czasie studniowej recydywy cesarstwa, gdyby był tylko autorem dzieła *O religii*, które zaczął pisać za młodu w fazie bezwzględnej negacji, a które skończył na schyłku lat, doszedłszy z ich biegiem do oschłej nieco afirmacji, wiedzieliby o nim — jak o tyłu jego wybitnych kolegach — jedynie specjaliści. Ale oto, w pośmiertnej jego karierze — bo kariera pisarza nie kończy się z życiem: przeciwnie, ciągnie się po śmierci, ma swoje niespodzianki, swoje złe i dobre szanse, swoje oportunisty, ba, swoje protekcje! — w pośmiertnej tedy karierze Constanta zaszła niespodzianka, nieprzeczuwana zapewne przez nikogo z tych, którzy odprowadzali jego trumnę na *Père-Lachaise*. Na marginesie swego niespokojnego życia, ze swoich przeżyć tragicznych dla niego, tragikomicznych dla nas, ułożył on małą książeczkę, do której nie przywiązywał żadnej wagi, której przez dziesięć lat nie wydawał nawet drukiem (a jeżeli wydał ją po latach dziesięciu, to raczej przez zbieg okoliczności niż wskutek świadomego zamiaru), którą odczytywał prywatnie w tym czy owym salonie i o której mówiono raczej jako o interesującej plotce niż jako o dziele sztuki. Jej literackiej doniosłości nie ocenił prawie nikt. Na kilkadziesiąt lat utonęła w niepamięci, aż z końcem XIX w., z rozkwitem szkoły psychologicznej, odkryto ją na nowo. I, o dziwo, ta mała stukilkodziesięciostro nicowa książeczka uratowała od zapomnienia nazwisko Constanta; dziś, dla potomności, ten prezes Rady Stanu jest jedynie — autorem *Adolfa*. Bo ta książka to jest autentyczne arcydzieło.

Zapewne z okazji tej rocznicy wydał świeżo p. Dumont-Wilden wybornie napisaną nową biografię Constanta. Mimo że znam na pamięć perypetie tego niezwykłego żywota, przeczytałem ją jednym tchem. Cóż za rozkoszna lektura! Nic dziwnego, że dziś publiczność z taką pasją czyta życiorysy wielkich ludzi, mimo zrządzenia pedantów, że powinno

¹⁹⁴Constant, Benjamin (1767–1830) — polityk i pisarz francuski, pochodzący ze Szwajcarii, autor m. in. powieści *Adolf* i licznych dzieł z zakresu filozofii politycznej. [przypis edytorski]

¹⁹⁵Panteon — budowla w Paryżu, w Dzielnicy Łacińskiej, miejsce pochówku osób szczególnie zasłużonych dla Francji. [przypis edytorski]

¹⁹⁶markiz de LaFayette (1757–1834) — francuski polityk, liberał i dowódca wojskowy, uczestnik wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych. [przypis edytorski]

nas obchodzić tylko „dzieło”, a nie człowiek. Iluż jest pisarzy znakomitych nawet, których „dzieło” nie obchodzi nas już nic, a człowiek bardzo. Nikt dziś np. nie chce czytać Chateaubrianda¹⁹⁷; i ot, niedawno połknąłem, świetnie się bawiąc, nową książkę o nim, nadzianą świeżymi dokumentami, pt. *Splendeurs et misères de M. de Chateaubriand*¹⁹⁸. Co dziś zostało z pani de Staël¹⁹⁹, jeśli nie zadziwiający film jej życia? I, cokolwiek by się mówiło o „pomniejszaniu olbrzymów”, smak większości tych biografii jest właśnie w rysach wysokiej komedii, którą nam dają żywoty wielkich ludzi; w owych igraszkach i kontrastach, jakie stwarza ich kipiąca wciąż wyobraźnia w zetknięciu z rzeczywistością; w grze tych drobniańskich przyczyn, które, przedłużone o dźwignie geniuszu, wydają wielkie następstwa.

Ileż niespodzianek w tym życiu Constanta, ileż trwonionej, rozrzucanej na cztery wiatry, a wciąż niespożytej energii! Ten człowiek pędzący, zdawałoby się, dni na próżniactwie, na konwersacji, na miłostkach, wykołejony, wciąż zmieniający miejsce pobytu, wciąż w kolasce pocztowej, obnoszący swoje znudzenie po całej Europie, nagle, wychyliwszy się zza spódnicy pani de Stael, objawia się jako pierwszorzędnny gracz polityczny, którego Bonaparte, w zaraniu swej wszechpotęgi, rad by widzieć swoim współpracownikiem! Marnuje tę sposobność, i znów na kilkanaście lat podejmuje swoje pracowite próżniactwo, towarzysząc swej groźnej kochance na jej niezbyt srogie wygnanie. Znów jedynym zajęciem jego będzie pisać... dla przyszłych czytelników p. Dumont-Wilden powieść swoim życiem.

W ciągłych tedy podróżach, romansach, obiadach, zabawach, teatrach, przy ciągłym akompaniamencie rulety i kart (na kartach tarokowych zaczął szkicować swoje dzieło *O religii*) gromadzi utalentowany a słaby Benjamin tę kopalnię wiadomości i doświadczeń, które mu później wystarczą na lata czynu. Inteligencji miał aż nadto; wolą jego natomiast, ręką, która nakręci tę sprężynę, stanie się wieloletnia towarzysza jego myśli i łoża — znakomita autorka *Delfiny* i *Korynny*, ścigana antypatią Napoleona, wieńczona w Rzymie na Kapitolu, atletka konwersacji, szermierka wolności dla ludów, a despotka dla swoich bliskich. Trudno o świetniejszą, w większym stylu komedię skomponowaną przez życie, niż wieloletnie amory Constanta z panią de Staël. Nikt nie miał dość talentu, aby je przenieść na scenę, tak jak amory Krasińskiego wciągnął na nią z nieporównaną furją poezji Słowacki.

Czy romans Benjamin z panią de Stael był jego siłą czy słabością? On sądził, że słabością; my dziś sądzimy inaczej. Czym byłby, gdyby jej nie spotkał? Może niczym. Czym byłby, gdyby z nią zerwał wcześniej? Jedną z kobył Napoleona, które ten niestrudzony jeździec zajeżdżał na śmierć: w każdym razie nie byłby autorem *Adolfa* — więc też niczym. Niechże więc zostanie, jak było.

Kiedy ją poznał, ona była już znakomitością. Chowała się na nią od urodzenia jako córka wielkiego Neckera²⁰⁰ i dziedziczka wielomilionowego majątku, co ułatwia sporo rzeczy. A on? On był obiecującym i marnującym się młodzieńcem, starzejącym się cudownym dzieckiem. Ona miała dla swoich kochanków serce matki, a talent impresaria²⁰¹ i reżysera. Jak wprzód dla świetnego Narbonne’a stała się monarchistką, tak obecnie marzy o republice liberalnej z Constantem jako prawodawcą. Pociąga go za sobą do Paryża, stwarza dla niego salon, wysuwa go na widownię. Salon pani de Stael, która może marzyła i o tym, aby być mużką Napoleona, a której wyciągniętą łapkę Napoleon odsunął dość szorstko, staje się siedzibą opozycji. Pierwszy konsul zna się na ludziach, nie chce paktować z babą, ale chętnie by pozyskał Constanta. „Niech pan przyjdzie do mnie do gabinetu — rzekł doń po jakimś ataku tego wówczas członka Trybunału. Pogadamy sobie; są dyskusje, które można załatwić tylko tak, w rodzinie”. Takie zaproszenie ze strony Bonapartego, to jest coś! Ale Constant był w położeniu aktora, którego Szyfman chce

¹⁹⁷ Chateaubriand, François-René (1768–1848) — francuski pisarz, dyplomata i polityk. [przypis edytorski]

¹⁹⁸ *Splendeurs et misères de M. de Chateaubriand* (fr.) — splendor i nieszczęścia pana de Chateaubriand. [przypis edytorski]

¹⁹⁹ *Madame de Staël* — właśc. Anne-Louise Germaine Necker (1766–1817), francuska publicystka i powieściopisarka, propagatorka pojęcia Romantyzmu, przeciwniczka polityczna Napoleona wydalona przez niego z kraju. [przypis edytorski]

²⁰⁰ Necker, Jacques (1732–1804) — urodzony w Szwajcarii finansista i polityk, minister skarbu Ludwika XIV. [przypis edytorski]

²⁰¹ *impresario* — organizator występów, przedstawień itd. [przypis edytorski]

zaangażować, ale bez jego damy; zląkł się pucówki²⁰² w domu, odrzucił dumnie *engagement*²⁰³. Pani de Staël szaleje dalej w swojej „opozycji”: Bonaparte wypędza ją z Paryża, potem z Francji. Ona jedzie do swego Coppet do Szwajcarii, Constant za nią. Piętnaście lat będą czekali na upadek Napoleona. Piętnaście lat: kawał czasu dla Benjamina, który w r. 1800 miał lat 33; dla tego człowieka ambitnego, rwącego się do czynnej polityki, do władzy, do intryg, do trybuny. Zamiast tego będzie wisiał beczynn timer przy impetycznej, bogatej, rozpieszczonej przez świat kobiecie, której wygnanie nie przeszkodzi gadać, pisać, porastać w sławę (i w lata). Ten błyskotliwy i inteligentny człowiek będzie nieoszacowanym partnerem jej słynnej na całą Europę *konwersacji*; dla wypoczynku zaś każe mu grać ze sobą teatry amatorskie, wybierając wśród klasycznego repertuaru role, w których może mu wymyślać, jak np. Hermiona Pyrrusowi. On raz po raz zrywa się, ucieka i znów wraca; dręczy się, że mija jego młodość, wiek męski, że jest niczym, że wciąż będzie niczym. Miłość jego dawno wygasła, miłość jej zapewne też: zmieniła się w nawyk i potrzebę tyranii. I przez kilkanaście lat żrą się, zrywają z sobą i znowu się godzą; ona obsypuje go publicznie zniewagami, na świadków jego niegodziwości wzywa swoich gości, swoje dzieci, wszystkich. On, wściekły, wciąż ulega; i tylko w poufnym dzienniczku zije inwektywami²⁰⁴ na swoją tyrankę.

Wyczekiwany upadek Napoleona — r. 1814 — zastanie ich już pokłóconych: on spieszy do Francji, gdzie otwiera się dlań wielka kariera polityczna; ona ukoi wreszcie serce w ramionach o wiele młodszego i zapatrzonego w nią z uwielbieniem nowego kochanka.

W pełni tych szarpań, jednego dnia, od niechcenia, bo nie miał intencji oddać się literaturze, Constant pisze — było to w r. 1806 — małą powiastkę *Adolf*. Pisana jest w pierwszej osobie, jak w owej epoce tyle mniej lub więcej autobiograficznych powieści, jak *Werter*²⁰⁵, jak *René*. Pisze ją dla siebie; jakbyśmy powiedzieli dzisiaj, dla „rozwiązania kompleksu”. Jest to historia jednego zerwania — jednego i wszystkich zarazem — arcydzieło analizy. Napisawszy tę powiastkę, nie myśli jej ogłosić drukiem (wydał ją aż w dziesięć lat później), ale czyta ją tu i ówdzie po salonach. Gdy czyta, ten człowiek, mający opinię oschłego, zalewa się łzami, szloch dławi mu słowa. Takie były obyczaje owej pięknej epoki preromantycznej. Wzruszenie to udziela się czytelnikom. „Kiedy czytał *Adolfa* u pani Recamier — opowiada naoczny świadek, książe de Broglie — po ukończeniu lektury autor i słuchacze wybuchnęli konwulsyjnym płaczem, który trwał pomy... aż wreszcie zakończył się nerwowym niepohamowanym śmiechem”.

Skąd to wzruszenie? Constant stwierdza, nie bez ironii, że wszyscy czytelnicy zawsze poznawali w tej historii samych siebie: nie było snadź ani jednego, w którym by nie poruszyła jakichś bolesnych wspomnień. A on sam, a Benjamin? Nie ulega wątpliwości, że on włożył w tę opowieść całego siebie, że to jest jego martyrologia.

A ona? A bohaterka? To już rzecz zawilsza. Można by powiedzieć tak: że, kreśląc wewnętrzne dzieje stosunku z panią de Staël, zatarł wszystkie okoliczności zewnętrzne, które mogłyby przypominać jego autentyczną partnerkę. Ze strachu? Może. Wszak władza, jaką miała nad nim sięgała tak daleko, że kiedy, po którymś zerwaniu, wreszcie się ożenił po kryjomu z inną, aby spalić za sobą mosty, pani de Staël spadła jak furia i nakazała, aby małżeństwo było trzymane w tajemnicy, dopóki taka będzie jej wola. I Constant uległ. Zatem może ze strachu. Może zresztą instynkt artysty mówił mu, że autentyczne fakty byłyby zbyt wyjątkowe, a znaczeniem tej historii jest właśnie jej typowość, jej uniwersalność. Ale Constant, jak ów autor z granej niedawno u nas komedii Bourdeta, umiał mówić tylko prawdę: musiał mieć modela. Nie miał żadnej wyobraźni. O ile pani de Staël dostarczyła mu treści, inna kobieta musiała dostarczyć formy. Constant miał z tyloma kobietami do czynienia, że mógł mieć kłopot chyba tylko z wyborem. Już współcześni wskazywali jako prototyp Eleonory niejaką panią Lindsay, która kochała się w Benjaminie i która włożyła zbyt wiele serca w to, co dla niego było przelotną miłostką. Istotnie, gdy czytać biografię pani Lindsay, niedawno odkrytą (Montglond, *Vies preromantiques*), mnóstwo jej rysów zgadza się zupełnie z portretem Eleonory w *Adolfie*.

²⁰²pucówka (daw., pot.) — awantura. [przypis edytorski]

²⁰³engagement — tu: angaż. [przypis edytorski]

²⁰⁴inwektywa — słowna zniewaga. [przypis edytorski]

²⁰⁵Werter — bohater powieści J.W. Goethego *Cierpienia młodego Wertera*, romantyczny kochanek, samobójca. [przypis edytorski]

Pani Lindsay (zdaje się pseudonim), była to pół-Francuzka, a pół Angielka, a raczej Irlandka. Koleje jej były dość awanturnicze. Zrazu pokojowa księżnej Fitz-James (w owym czasie pokojowa księżnej to było stanowisko wcale wcale), opuszcza jej dom, w skutku rywalizacji o względy księcia. Po paru przygodach zostaje kochanką pana de Lamoignon; oddaje mu usługi (jak Eleonora) w czasie terroru, emigruje z nim, mieszka z nim w Belgii i w Anglii niemal po małżeńsku, ma z nim dwóch synów (jak Eleonora), skupia w swoim salonie rozbitków emigracji, którzy oceniają wdzięk i dowcip tej — jak ją nazywa Chateaubriand — „ostatniej Ninon”. Jest zagorzałą katoliczką i rojalistką. Po termidorze²⁰⁶ śpieszy do Francji, uzyskuje skreślenie pana de Lamoignon z listy emigrantów, wraca z nim i otwiera salon, który za dyrektoriatu i konsulatu uprawia po trosze opozycję. Ale wciąż ta kobieta, bardzo ambitna, cierpi (jak Eleonora) wskutek swej dwuznacznej pozycji; stąd jej nerwowość i niepokój, ataki na przemian surowości i lekkomyślności, rezygnacji i buntu.

W owej epoce — za konsulatu — poznali się z Benjaminem. Zrazu wzajemna niechęć, potem zainteresowanie, w końcu ona pokochała go namiętnie całą miłością kobiety, dla której miłość była dotąd raczej środkiem egzystencji. Romans ich przypada około r. 1801, zatem w pełni władztwa pani de Staël, której Benjamin nie jeden raz wymyślał się w ten sposób i wracał. Może pani Lindsay miała swoje zamiary matrymonialne na tego tak niecodpornego na lzy kobiece człowieka? Można przypuścić, że przy swojej nieodpowiedzialnej trochę dobroci, Benjamin musiał przejść niejedną scenę, która mu się przypomniała, gdy kreślił *Adolfa*.

Bądź co bądź, kiedy pisał tę książkę w r. 1806, z panią Lindsay było dawno skończone, pani de Staël była znów bolesną aktualnością. „Autor — pisze, mówiąc o *Adolfie*, naoczny świadek scen w Coppel, Sismondi — chciał widocznie zatrzeć w Eleonorze wszelkie podobieństwo. Zmienił wszystko: narodowość, stanowisko, powierzchowność, charakter. Dane życia ani też osoby nie są w niczym identyczne, z czego wynika, iż pod wieloma względami bohaterka okazuje się w powieści zupełnie inna, niż autor zapowiada: ale po gwałtowności i wymaganiach miłosnych trudno jej nie poznać. To pozorne życie się, to zachłanne panowanie, podczas którego szarpali się wszystkim co gniew i nienawiść mogą poddyktować obelżywego, to historia tych dwojga”.

Ma więc rację potomność, kiedy, uprawniona niedyskrecją *Adolfa*, widzi w parze kochanków dwa znakomite w literaturze imiona. Inaczej sądziła pani Lindsay, w której salonie m. in. Benjamin czytał swoją powiastkę. Poznała się. On oczywiście się zapierał. „Powiadają, że jest wściekła: to wielka próżność ze strony tej kobiety, ja nie myślałem o niej” — pisze w liście do Pani Recamier, w którym zarazem cieszy się, że pani de Staël nie obraziła się o tę powiastkę i że uznała jego chęć uniknięcia wszelkiej przykrej aluzji.

Nie myślał o niej... Zapewne. Pisał pod wpływem burz i szamotań się z inną; z tamtej wzięł jedynie to, co mu jako artyście było potrzebne.

Inni szepczą, że pani Lindsay była w głębi rada²⁰⁷. Bądź co bądź, Eleonora tak pięknie umiera, takie wzruszające rzeczy mówi przed zgonem... Toteż pani Lindsay udzieliła komentarza do *Adolfa* pani Zofii Gay, wziętej w owym czasie powieściopisarce, która napisała później niejako replikę na *Adolfa* pt. *Eleonora*. Constant występuje tam jako Adolf de Rheinfeld.

Pozostaje kwestia, która mogłaby nas specjalnie interesować: czemu Eleonora jest Polką? Interesować, ot, tak sobie, gdyż ta Polska, w której rozgrywają się ostatnie epizody *Adolfa*, jest czysto konwencjonalna. Otóż, jeden z komentatorów *Adolfa* podaje wy tłumaczenie bardzo proste. Constant (powiada) nie chciał brać modelu z kraju, w którym miał niegdyś jaką kochankę. Przez wyrafinowaną dyskrecję. Nie chciał tedy ani Francuzki, ani Szwajcarki, ani Niemki, ani Holenderki... Ponieważ akcja zaczyna się na dworze niemieckim, odpowiadał mu jakiś kraj sąsiadujący z Niemcami. Ponieważ pani Lindsay, z której wzięł zewnętrzne rysy, była Irlandką, autor, robiąc Eleonorę Polką, znalazł pewne analogie charakterów narodowych (katolicyzm); bardziej mu to odpowiadało, niż zrobić ją np. Szwedką czy Norweżką.

²⁰⁶termidor — jedenasty miesiąc francuskiego kalendarza rewolucyjnego. [przypis edytorski]

²⁰⁷rad (daw.) — zadowolony. [przypis edytorski]

Takie są plotki. Ale czymże, jak nie nowymi plotkami, czci się najgodniej tego rodzaju rocznice? Wszystko to minęło. Został *Adolf*. Uniknął w literaturze, arcydzieło napisane mimo woli. Imię własne, mające życie takie jak Otello, jak Hamlet, jak, Boże odpuść, Płoszowski. Jeden z tych genialnych skrótów, dzięki którym samo wymienienie imienia, tytułu, stawia sytuację, maluje wszystko, otwiera dalekie perspektywy. Książka, którą można czytać wiele razy, a zawsze w niej znaleźć coś nowego: a wszak to jest głównie znamię klasycyzmu.

U nas *Adolf* zrobił karierę późną, ale szybką. Kiedy go wydałem po raz pierwszy w r. 1917, mało kto w ogóle o nim słyszał. Dyskutowano go jako nowość, wielu czytało go w okopach. Dziś znają tę książkę niemal wszyscy. Mimo to — iżby i Polska wzięła jakiś udział w tej rocznicy — pozwoliłem sobie wydać ją świeżo po raz trzeci. Dorosły tymczasem nowe pokolenia, dojrzały nowe ofiary do zrozumienia tych romansowych a bolesnych przeżyć. Czytajcie tedy *Adolfa*, westchnijcie nad Benjaminem i — nad sobą.

STULECIE NIEZWYKŁEJ KSIĄŻKI

Przygotowując do nowego wydania przekład *Fizjologii małżeństwa* Balzaka, spostrzegłem, że minęło właśnie sto lat, jak książka ta ukazała się we Francji. Zarazem uderzyło mnie, jak nowej fizjonomii²⁰⁸ nabiera ona w świetle wielu dzisiejszych „rewizjonistycznych” poglądów na małżeństwo. Warto więc może przyjrzeć się jej trochę, zwłaszcza że temat i wszystko, co się z nim wiąże, staje się tak aktualny jak nigdy.

Przypomnijmy w kilku słowach, kiedy Balzac pisał tę *Fizjologię*. Miał lat trzydzieści, był właściwie w zaraniu kariery literackiej. Tej drugiej. Pierwszą, pseudonimową i nieosobliwą zresztą, przerwał, aby się rzucić w robienie majątku. Zbankrutował i wrócił do literatury, zyskując pierwszy rzetelny sukces powieścią *Szuwanie*. Następną jego książką jest *Fizjologia małżeństwa*.

Narobiła wiele hałasu. Na to była pisana! Wyraźnie młody autor chce zwrócić na siebie uwagę; chce trafić do serca tych, które wówczas rozdają wieńce sławy — do kobiet. Udało mu się. Ta książka — mimo że kobiety gorszyły się nią po trosze — pasowała Balzaka na owego przyjaciela, spowiednika kobiet, jakim miał być dla nich całe życie. Nie tylko we Francji; więcej jeszcze poza jej granicami. Kiedy w salonie w Petersburgu pani domu zwróciła się doń ze słowami: „Panie de Balzac”, pokojówka czy bona stanęła jak wryta z otwartą gębą i upuściła tacę z herbatą! Dziś Balzac wydaje się pisarzem raczej surowym, męskim; góruje w jego dziele rzecz społeczna. Ale jeszcze Mickiewicz w *Trybunie Ludów*, robiąc aluzję do jego powieści *Chłopi*, traktuje Balzaka jak bawidamka, który się bierze do nieswoich rzeczy!...

Bądź co bądź, kobiety miały trafny instynkt. We wszystkich sarkazmach tej książki wyraźny jest odcień: czułość, uwielbienie dla kobiety, dość bezlitosny grymas śmiechu dla mężczyzny. W tej zobopólnej komedii matrymonialnej, jaką nam kreśli Balzac, kobieta ma, mimo wszystko, ładniejszą rolę.

Utwór ten dosyć jest lekceważony przez urzędowych krytyków literatury. Za mało jest dla nich poważny, oczywiście. A jednak wart jest uwagi, nawet dla nich. Jest w nim już w zarodku przyszły autor *Komedii ludzkiej*, wielki myśliciel, spostrzegacz, poeta. „Komedie ludzka” *in statu nascendi*²⁰⁹; w postaci — można powiedzieć — jajeczka i plemnika; to bardzo interesujące. Zajmująca jest ta książka przez swą jurność myśli, przez swój charakter mefistofeliczny. Wiele spraw porusza w niej Balzac zuchwalej może niż potem. Później, zerkając raz po raz ku polityce, marząc o roli szampiona „prawicy”, pisze, lub ma złudzenie że pisze „przy świetle dwóch świeczników: tronu i religii” — tutaj, jak sam wyznaje w przedmowie, bies podsunął mu temat...

Jeżeli początek w. XIX był chaosem, z którego rodzi się nowoczesność, coś z chaosu ma również ówczesny fason małżeństwa. Godna jest uwagi okoliczność, że tryumf romantyzmu w literaturze schodzi się z tryumfem mieszczaństwa w życiu: czy nie tu trzeba szukać zarodka wielu kłamstw społecznych, na które chorować będzie owo stulecie? Gdzie spojrzeć — w pojęciu małżeństwa zwłaszcza — same sprzeczności. Zasada autorytetu spotyka się z rozrostem wolności i krytyki. Świat pracy ociera się o świat

²⁰⁸fizjonomia (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

²⁰⁹*in statu nascendi* (łac.) — w trakcie narodzin. [przypis edytorski]

zbytku i bierze od niego ton... fałszywy. Z urojonej władzy mężczyzny drwi sobie rosnąca przewaga towarzyska kobiety. W sprawę, która wprzód była przede wszystkim sferą obowiązku, wciska się na wskroś nowoczesne pojęcie „szczęścia”. W instytucji pomyślanej pod kątem jednej indywidualności, coraz wyraźniej zarysowują się dwie. Chaos stąd wynikły zaczyna się klarować ledwo dzisiaj.

Stąd owo balzakowskie małżeństwo jest w istocie paradną „komedią ludzką”. Ta harmonia staje się od początku walką; ta idealna spółka wielkim oszustwem. Aristokratyczne małżeństwo XVIII w., raczej formalne, miało w ironicznej wzajemnej tolerancji swój styl. Małżeństwo w. XIX nie ma żadnego; jednoczy wszystkie nonsensy, staje się istną kwadraturą koła. Wiąże razem ludzi nieznających się, niemogących się znać. Tak było i dawniej, ale wówczas małżeństwo nie miało pretensji do idylli²¹⁰, nie miało pretensji skojarzyć instytucji społecznej z romansem. Rosnące trudności egzystencji sprawiły, że mężczyzna coraz później się żeni; co dla jednej strony końcem, dla drugiej początkiem. Tańczą nie w takt. Prastare narowy zazdrości przeniesiono w warunki dużego miasta, wyteżonej pracy mężczyzny; upilnujże kobietę, głupcze!

A wychowanie kobiet! Jakąż ironią smaga je Balzac — po Stendhalu, z którego w tej części książki wiele się zapożycza. Oglupiacie młodą dziewczynę, aby zachować jej rzecką niewinność, i żądacie, aby ta pstra papużka była wam towarzyszką życia, aby wam dała szczęście! Owszem, da go, troszkę, ale innemu; temu, który potrafi obudzić w niej drzemiącą siłę kochania, duszę czy zmysły. „Suszysz drwa, z których rozpali ogień kto inny” — powiada Balzac do męża.

Zazdrość — oto główny temat książki, temat tak tradycyjny, a z drugiej strony tak na nowo aktualny, ujmowany dziś — jak miałem sposobność na innym miejscu (*Ofensywa przeciw zazdrości*) wskazać — tak rewizjonistycznie. Przez kilkanaście stron pędzi Balzac swego męża biczem zazdrości i pod koniec wybucha piekielnym śmiechem: chcecie, przy nowych obyczajach, stosować system dawnych ryglów i zakazów, chcecie zmonopolizować miłość; to tak samo jak wiatr chwycić w siatkę! Albo rezygnacja, albo trzeba małżeństwo oprzeć na innych podstawach... I każe swojej parze małżonków męczyć się, objąć, aż w końcu, zmęczeni, dopływają do wzajemnej tolerancji, do przyjaźni (o ile nie do nienawiści), opartej na solidarności interesów, na zżyciu się. I dopiero egzystencja zaczyna im być znośna. A wciąż prześwieca przez te karty myśl: małżeństwo takie, jakim go uczyniły nasze obyczaje, jest nonsensem; utopia wierności — kłamstwem lub męczarnią; upokarzającym oszustwem lub samobójstwem moralnym. Nonsensem jest opieranie małżeństwa na romantycznych przesłankach wyłączności i niezmienności uczuć. Nonsensem jest chcieć zdławić naturę ludzką i kazać jej być czym innym, niż jest. Zwłaszcza, jeżeli punktem wyjścia małżeństwa jest — jak wówczas we Francji — nie harmonia serc i natur, ale kombinacje finansowo-towarzyskie.

Wszystko to mówi książka Balzaka dość wyraźnie, choć często między wierszami, gdy nie może inaczej.

Więc co? Jakie lekarstwo? W finale książki autor nie daje odpowiedzi. Radźcie sobie, jak umiecie; co mnie to obchodzi. Z czasem dopłyniecie do portu, bodaj do portu obojętności.

W istocie, przy ówczesnym stanie pojęć, obyczajów i — techniki życia, trudno było, aby prawdziwa książka na ten temat mogła mieć konkluzję inną oprócz ironiczno-negatywnej. Ale na niektórych kartach można znaleźć, przemycone niejako, poglądy, wówczas zbyt śmiało lub zbyt utopijne, aby je ktoś traktował serio, ale dziś najbardziej może zwracające naszą uwagę. Co stworzyło sukces *Fizjologii*, to dziś najbardziej się dla nas zestarzało; interesuje nas natomiast ta utopia, a to dlatego, że w części stała się dziś rzeczywistością, a w części bardzo pozytywnym postulatem.

Na jakich tedy zasadach Balzac chciałby oprzeć małżeństwo? Przede wszystkim, żąda zmiany wychowania dziewcząt, żąda dla nich swobody prawie nieograniczonej. Czytamy tam nie bez zdumienia:

„Wolność, której tak śmiało domagaliśmy się dla panien, stanowi środek zaradczy na ten bezmiar złego, którego źródło wskazaliśmy, odsłaniając niedorzeczności wynikające z niewoli naszych córek. Wróćmy młodości żądze i jej zalotność, miłość i jej niebez-

²¹⁰idylla — sielanka. [przypis edytorski]

pieczeństwa, miłość i jej słodczyce, cały uroczy świat frankońskiego rycerstwa. W tym wiosennym zaraniu żaden błąd nie jest beznadziejny; małżeństwo, przetrwawszy wszystkie próby, wyjdzie z nich zbrojne ufnością, oczyszczone z nienawiści, a miłość małżeńska usprawiedliwiona zbawiennymi porównaniami... Przy tym przekształceniu naszych obyczajów znikłaby sama przez się ohydna rana prostytucji”...

Doprawdy, poza zwrotem o „frankońskim rycerstwie” i poza zapaszkiem romantycznego stylu, czyż nie można by sądzić, że to jest cytat z książki Lindsaya²¹¹, która dziś jest jeszcze książką przyszłości? A kiedy Balzac ryzykuje zdanie — w epoce gdy je pisał, jakże paradoksalne! — „że mniej byłoby nieszczęśliwych małżeństw, gdyby się ludzie żenili ze swymi kochankami”, i że takie małżeństwo wypróbowane wprzód dawałoby rękojmię²¹² trwałości, czyż to nie przywodzi na myśl dzisiejszej teorii „małżeństw próbnych”? I dzisiejszej coraz częstszej praktyki...

Czytamy dalej:

„W istocie, małżeństwo oparte na skojarzeniu religijnego zachwycenia, jakie stwarza miłość, z próbą owej chłodnej trzeźwości, jaka następuje po momencie posiadania, powinno by stanowić najtrwalszy ze wszystkich związków... Niejedno młode dziewczę dozna zawodu w swych nadziejach miłosnych... ale czyż nie będzie dla nich olbrzymią wygraną, że nie związały życia z człowiekiem, którym mają prawo pogardzać?

Ale trudno na tym miejscu przedstawić wszystkie korzyści, jakie wniosłoby z sobą usamodzielnienie dziewcząt. Skoro przejdziemy do okoliczności towarzyszących małżeństwu takiemu, jakim go uczyniły nasze obyczaje, wówczas każdy zdrowo patrzący będzie mógł ocenić doniosłość systemu wychowania i swobody, których, w imię rozsądku i w imię natury, domagamy się dla panien. Przesąd, jaki żywimy we Francji co do dziewictwa młodych oblubienic, jest najgłupszy z tych, które nam jeszcze zostały”...

Balzac zdaje sobie sprawę, na ile uprzedzeń natrafią te poglądy:

„Ludzie tchórzliwi okrzykną się może, że podobna reforma obyczajów stałaby się powodem strasliwego ich rozluźnienia, że, bądź co bądź, prawa czy obyczaje będące praw tych źródłem nie mogą sankcjonować zgorzenia i niemoralności; że, jeśli istnieje zło nieuniknione, społeczeństwo nie powinno go bodaj uświęcać... Ale oddalilibyśmy się zbyt od tematu — pisze — gdybyśmy się chcieli zapuszczać w szczegóły tych olbrzymich reform moralnych, które staną się niewątpliwie żądaniem Francji w w. XX: obyczaje przekształcają się tak wolno! Aby najlżejsze przeobrażenie mogło dojść do skutku, czyż nie musi wprzód najzuchwalsza idea poprzedniego wieku stać się najpospolitszym komunałem wieku bieżącego?”

Tak mówi Balzac na kilku stronicach serio, wsuniętych w gruby tom mądrego żartu. Nie dziwmy się, że w tej książce, przepojonej sarkazmem, to, co stanowi niejako jej „pozytyw”, zajmuje tak mało miejsca. Wywody te miały swoją słabiznę, z której Balzac, przy swoim realnym spojrzeniu na świat, musiał sobie zdawać sprawę. W epoce Balzaka „błąd” kobiety i niepożądane macierzyństwo, lub przynajmniej jego groza, to były rzeczy nierozłączne: cóż za hamulec w postulatach swobody dla panien, cóż za obciążenie sprawy „wiarołomstwa”! Rzecz prosta, iż taki realista jak Balzac czuje całą wagę tego faktu; dlatego zostawia tę sprawę „wiekowi XX do rozwiązania”; rzuca raczej posiew myśli niż projekt konkretnych reform. Jasne jest, że dzisiejsze opanowanie ciąży, czyli tzw. „regulacja urodzeń”, stwarza w dziedzinie kształtowania się obyczajów nowy fakt niesłychanej doniosłości. Na tej zasadzie młode dziewczęta biorą dziś sobie same owo prawo do swobody, nie czekając pozwolenia prawodawców; na tej zasadzie dzisiejsi „fizjologowie” mogą stawiać tezę, że małżeństwo — nawet dobre — nie musi być grobem możliwości miłosnych obojga stron; mogą najpoważniej roztrząsać ewentualności, które dla Balzaka były, mimo wszystko, raczej tematem do tradycyjnych żarcików.

Wiele rojeń Balzaka rozwiązuje tedy samo życie, przeważnie po jego myśli. Ba, wychowanie kobiet i ich samodzielność poszły z pewnością o wiele dalej, niż on przeczuwał. Ale nawet przy tych olbrzymich przemianach, wiele, bardzo wiele jego spostrzeżeń, dotyczących tak trudnej rzeczy, jak współzycie dwojga ludzi, nie straciło nic na aktualności,

²¹¹Lindsay, Benjamin Barr (1869–1943) — amerykański sędzia i reformator społeczny z Denver w stanie Colorado, przez wiele lat kierujący tam sądem dla nieletnich; propagator pomysłu „małżeństwa na próbę” (*companionate marriage*). [przypis edytorski]

²¹²rękojmia (daw.) — gwarancja. [przypis edytorski]

dlatego po prostu, że pewne sprawy są — wieczne. A postulat traktowania małżeństwa — nawet fizycznie — jako umiejętności, dziś tak spopularyzowany, czyż nie był wówczas jego wynalazkiem?

I właśnie ta *aktualność*, którą zyskała książka Balzaka dzięki nowoczesnym „rewizjonistom” małżeństwa, daje jej nowy smak. Czytając ją, robimy w duchu bilans obyczajów: to a to się zmieniło, ten koncept trąci myszką²¹³, to a to już jest przestarzałe, a to znów żywe, prawdziwe, mądre.

Ale najbardziej interesujące jest śledzić w tej książce — w tej *Komedii ludzkiej* w zamyśle — to co można by nazwać „materialistycznym poglądem na świat” owego wielkiego... spirytualisty, jakim był Balzac; to, co czyniło go przedmiotem podziwu Marxa. Że najsubtelniejsze sprawy uczuć czy obyczajów podlegają żelaznym prawom materialnego układu sił i znowuż one na ten materialny układ oddziałują, to — zwłaszcza w epoce romantyzmu — miało cechy odkrycia, do dziś dnia nie przez wszystkich zrozumianego. Otóż nigdzie może tego odkrycia nie eksploatuje Balzac z taką werwą, z takim szelmowskim humorem, jak w tej książce. Takie zestawienie jak stosunek rachunku praczki do szczęśliwej lub nieszczęśliwej miłości, jak rola wiarołomstwa w obrocie pieniądza i budźcie Francji itd. itd., to są żarty, zapewne, ale genialne żarty. Tu już jest cały ów Balzac, dla którego każda kwestia promieniuje w nieskończoność, dla którego nie ma rzeczy błahych ani wielkich, materialnych i moralnych, duchowych i fizycznych, ale wszystkie łączą się w wielką grę życia.

Jak skończyć z piekłem kobiet ²¹⁴

Szanowni Państwo! Byłem wprawdzie lekarzem, ale nie zasiadam na tej estradzie jako lekarz; są tutaj inni, godniejsi przedstawiciele tego stanu. Jestem tu jako literat: uważam, że powinien być tutaj przedstawiciel literatury. Zaraz wytłumaczę się czemu.

Mam, proszę państwa, przyjaciela, też literata. Jest to robotnik Jakub Wojciechowski²¹⁵, autor *Życiorysu własnego robotnika*. Korespondujemy z sobą dość często. Otóż, w jednym z listów malujących stosunki w jego miasteczku, opisuje mi Wojciechowski dołą pewnego optanta²¹⁶, który „z łaski miasta” dostał z rodziną mieszkanie w chlewie; ten chlew się spalił wraz z częścią dobytku; chłop ze zgryzoty dostał zapalenia mózgu i skończył w szpitalu. Żona jego — pisze Wojciechowski swoim naiwnym stylem — „mieszka dziś na górze *pod słomianym dachem* (zapewne na strychu): jak mi ta niewiasta opowiadała, urodziła ona do dzisiaj piętnaścioro dzieci i jeszcze troje żyje z tego całego mendla²¹⁷, ale drugie pomarły”.

Uderzył mnie ten ustęp listu. Mimo woli wziąłem ołówek i zacząłem liczyć. Piętnaścioro dzieci na troje żywych. Co to znaczy? To znaczy sto trzydzieści pięć miesięcy ciąży; może drugie tyle karmienia; piętnaście porodów i pólógów, trochę chorób przy tej okazji, piętnaście pijaństw na chrzcinach, dwanaście śmierci. Piętnaście taks²¹⁸ za chrzciny, a dwanaście za pogrzeby: czy nie miałem kiedyś racji nazwać tego „podatkiem obrotowym”? I to wszystko aby wyprodukować troje dzieci, o ile tych troje się wychowa; bo i to jest więcej niż wątpliwe w tych warunkach. A wtedy proporcje jeszcze odpowiednio się zmieniają. Diabelnie droga produkcja. Fabryka, która by produkowała tym kosztem, musiałaby zbankrutować.

Otóż w tym rzecz: tu już nie chodzi o dyskusowanie, czy Polska potrzebuje więcej obywateli, czy mniej; ale jakim kosztem odbywa się ta produkcja, często złudna. Bo takie zagadnienie arytmetyczne jak to, które nastrocza list Wojciechowskiego, z pewnością nie jest niczym wyjątkowym. Rzecz jasna, że w tych ciężarach, porodach i pogrzebach, że w tej otchłani tonie wszystko, co jest ponad najprymitywniejszą obronę od głodu; że w niej tonie i elementarz dla dzieci, i użytek mydła, i oświata, i miłość, i wdzięk życia, i większość

²¹³ *trąci myszką* — jest przestarzały. [przypis edytorski]

²¹⁴ *Jak skończyć z piekłem kobiet* — referat wygłoszony na zebraniu dyskusyjnym pod powyższym tytułem, urządzonym przez sekcję *Świadomego macierzyństwa* (Tow. Służby Społecznej) w czerwcu 1931 w Warszawie. [przypis autorski]

²¹⁵ *Wojciechowski, Jakub* (1884–1958) — robotnik, pamiętnikarz, literat. [przypis edytorski]

²¹⁶ *optant* — osoba korzystająca z prawa do wyboru obywatelstwa. [przypis edytorski]

²¹⁷ *mendel* — 15 sztuk. [przypis edytorski]

²¹⁸ *taksa* — opłata. [przypis edytorski]

ludzkich uczuć i potrzeb duchowych. I oto czemu ta sprawa szczególnie musi obchodzić nas pisarzy, dla których poziom kultury kraju, bodaj z prostego egoizmu, nie może być obojętny. Bo przecież i tam, gdzie nie chodzi o ostatni szczebel nędzy, w skromnej na przykład rodzinie urzędniczej, i tam chroniczna cięża musi pochłonać wszystko, co wiąże się z jakimiś umysłowymi zainteresowaniami.

Dotyczy nas ta sprawa i z innego względu. Pisarze mogą tutaj wiele zrobić, jako ci, którzy urabiają opinię. Mało kiedy mają taką sposobność. Nielatwo na przykład poradzić coś piórem na klęski bezrobocia, braku mieszkań czy innych takich rzeczy. Ale tutaj, gdy chodzi przede wszystkim o uświadomienie społeczeństwa, o przebudowę pojęć, o uprzątanie pewnych zabobonów, tam pióro jest dobrą bronią.

Kiedy się weźmie taki przypadek, jak ten, który przytoczyłem na wstępie, zdawałoby się, iż sprawa jest tak jasna, że nie może być co do niej dwóch zdań. Tymczasem, przeciwnie, mało jest spraw, które by były tak zabalamucone²¹⁹. Idea *Świadomego macierzyństwa* przedziera się z niezmiernym trudem przez gęstwę uprzedzeń i ciemnoty, a zwłaszcza splątanych interesów. Walki o tę ideę trwają na szerokim świecie już kilkadziesiąt lat; tylko do nas — trzeba to przyznać z pewnym wstydem — nawet echa ich nie dochodziły.

Ale dawniej była przynajmniej jakaś zgodność linii walki i oporu. Natomiast dziś, po częściowych zwycięstwach *regulacji urodzeń*, zdumiewający jest chaos pojęć, jaki w tej mierze panuje w świecie. Nigdy stare powiedzenie Montaigne'a, że to „co jest zbrodnią z jednej strony rzeki, jest cnotą na drugim jej brzegu”, nie było równie prawdziwe. Bo oto widzimy, że to, co w jednym kraju uznane jest za sprawę *użyteczności publicznej*, w drugim rzekomo zagraża moralności i wszelkim obywatelskim cnotom. W Holandii np. rząd popiera poradnie, które nie tylko uświadamiają, ale i rozdają ludności środki ochronne przeciw ciąży, gdy we Francji nawet cień propagandy czysto ideowej w tym duchu ścigany jest *karnie*. W Ameryce ruch regulacyjny walczy jeszcze z zaciętym oporem pastorów²²⁰, podczas gdy w ubiegłym roku światowy zjazd biskupów protestanckich w Londynie stanął na stanowisku regulacji. Świeżo czytałem artykuł arcybiskupa ormiańsko-wschodniego obrządku doktora Schmuckera, w którym oświadcza się stanowczo za regulacją, nie widząc w niej nic sprzecznego z zasadami chrystianizmu; podczas gdy nasze pisemka klepią wciąż, że idea *Świadomego macierzyństwa* przeciwna jest *etyce chrześcijańskiej*.

Niewątpliwie do zaciemnienia sprawy niemało przyczynił się fakt, że kraj, który przywykło się widzieć na czele, gdy chodzi o światło i o wolność idei — Francja — zajmuje tutaj stanowisko zdecydowanie negatywne. Ale zważmy dlaczego: dlatego, że od dawna, o wiele wcześniej niż w innych krajach, bez żadnej propagandy, tylko z instynktu, idea regulacji urodzeń zwyciężyła we Francji w praktyce. Słynny „system dwojga dzieci” stworzył zamożność kraju, Antyregulacyjne stanowisko rządu francuskiego ma być hamulcem dla tej praktyki, a dyktowane jest zwłaszcza obawą przed płodnością Niemiec.

Ta militarna troska Francji o płodność rozciąga się i na Polskę, jako na jej sojusznika. Podbijają nam bębenka jak mogą; silą się zaszczepić nam ambicję w tym kierunku. Kiedy przed paru laty objeżdżałem Francję z odczytami natury czysto literackiej, śmiać mi się chciało, kiedy raz po raz podchodził do mnie jakiś stary generał francuski i mówił: „*Parlez nous de votre natalité*”. Niech pan nam mówi o waszej płodności! I ścisnął mi mocno rękę, i patrzył na mnie z czułością i podziwem, tak jakbym ja był bożkiem płodności we własnej osobie. Ale nic nie pytali o naszą *mortalité*, o śmiertelność tych naszych dzieci, które rodzą się tak obficie, ani o to, jak one żyją, w jakich warunkach, ani o to, co z nich wyrasta. Wystarczy im najzupełniej cyfra naszych urodzeń na papierze, statystyka. Kiedy się stosuje statystykę do indywidualnych spraw ludzkiego życia, zawsze przypomina mi się ta anegdota. Pytał jeden drugiego, co to jest statystyka. „Och, statystyka, to bardzo proste. Na przykład pańska żona zdradza pana cztery razy dziennie, a moja mnie wcale: otóż statystyka, biorąc przeciętną, stwierdzi, że każdego z nas obu żona zdradza dwa razy dziennie”. Tak samo tutaj: w obszernym mieszkaniu na pierwszym piętrze chowa się jedno albo dwoje dzieci; u biedaków w suterrenach rodzi się ich piętnastoro, z czego dwanaście

²¹⁹*zabalamucony* — zakłamanym, skomplikowanym ponad potrzebę. [przypis edytorski]

²²⁰*pastor* — duchowny protestancki. [przypis edytorski]

umiera, a troje pozostałych ma rachitis²²¹; ale statystyka jest bardzo zadowolona; oblicza sobie: „ośm i pół dziecka na rodzinę, to bardzo pięknie”.

Jedną z najgłupszych rzeczy w tej sprawie jest to straszenie się nawzajem swoją płodnością. Francja boi się płodności Niemiec, Niemcy boją się płodności Słowian, etc. Dlatego największą zdobyczą idei regulacji urodzeń jest postawienie rzeczy na gruncie *międzynarodowym*, aby skończyć z tym straszeniem się wzajemnym. Istnieje już międzynarodowa *Liga regulacji urodzeń* z centralą w Londynie, gdzie reprezentowane są wszystkie narody; brak było tylko Polski. Przystąpienie do tej Ligi powinno być naszym najpilniejszym zadaniem. To dopiero początek; ale wspólna akcja kobiet mogłaby niewątpliwie zdziałać wiele na tym terenie. Pisałem kiedyś w *Piekle kobiet*: „Dzień, w którym kobieta polska porozumiałaby się z kobietą niemiecką co do *demobilizacji macic*, byłby ważnym dniem dla pokoju ludzkości”.

Na razie w Niemczech toczą się dokoła tej idei regulacyjnej najzaciętsze walki. Akcja nie jest tam wręcz zabroniona, ale jest bojkotowana przez sfery oficjalne, nacjonalistyczne, kapitalistyczne, militarystyczne, a nawet przez większość lekarzy. Mimo to, ruch „regulacyjny” jest bardzo silny; działa już w Niemczech szereg wzorowych poradni świadomego macierzyństwa. Ale najbardziej zdecydowane posunięcia w tej mierze widzieliśmy w ubiegłych latach w Anglii: najkonserwatywniejsza instytucja, Izba Lordów, poparła całą swą powagą ideę regulacji, zalecając tworzenie poradni i uświadamianie ludności w tej mierze. Oczywiście i tu złożono hołd obłudzie, pozwalając uświadamiania tylko kobiet *zamężnych*, tak jakby ta sprawa była mniej paląca dla niezamężnych, zwłaszcza dziś, gdy tyle kobiet w Anglii skazanych jest na musowy celibat²²². Bądź, co bądź, rzeczą znamionną jest, że Anglicy, którzy stanowią wszak małą garstkę w stosunku do obszarów, nad którymi panują, oświadczyli się mimo to za regulacją urodzeń, stwierdzając tym, że uważają jakość, a nie ilość za istotną wartość kraju. Znaczne ograniczenie urodzeń, jakie już w Anglii w ostatnich dziesiątkach lat nastąpiło, stało się podstawą podniesienia kulturalnego angielskiego robotnika.

Aby więc zrozumieć, w jaki sposób sprawa tak prosta i jasna mogła się tak zaciemnić, trzeba policzyć, ile zabobonów, ile interesów wspiera się na nieograniczonej płodności. Najpierw kler, który pod naciskiem częściowo ustępuje, ale niechętnie. Dalej kapitalizm, widzący taniość robotnika w jego nadmiernej podaży. Nacjonalizm, który w „napięciu demograficznym” (jak to melodyjnie nazwano) widzi element ekspansji; to jest religia włoskiego faszyzmu. Militaryzm, widzący siłę obrony czy agresji w ilości rekruta. Wreszcie rozmaite interesy zawodowe, związane z tym, aby się ludzie mnożyli, choćby po to aby mieli rychło żegnać się ze światem: fabrykanci kołysek, smoczków, mączki Nestlé i trumien z pewnością nie będą za regulacją urodzeń.

Ale, o ile zrozumiałe jest, że „*prawica*” odnosi się niechętnie do regulacji urodzeń, trzeba stwierdzić, że prawie równie niechętnie odnosi się do niej i *lewica*. Komunizm widzi w niej zmniejszenie nędzy i niezadowolonia, które są dla niego najlepszymi współczynnikami propagandy. Ale i socjalizm zajmuje często wobec tego ruchu dwuznaczną postawę. Odzwierciedla się to zwłaszcza w dotyczącej literaturze polemicznej w Niemczech. Pionierzy regulacji zarzucają tam wręcz meniom niemieckiego socjalizmu nieszczerą postawę, twierdząc, iż wodzowie *proletariatu* niechętnie patrzą na to, co pozwoliłoby *proletariuszowi* przestać być *proletariuszem*. Spauperyzowana²²³ rodzina z ośmiorgiem dzieci należy niejako do nich, prenumeruje (mówiąc konkretnie) ich gazety — tymczasem dwoje dzieci, którym ojciec-robotnik będzie mógł dać staranne wychowanie, wyrośnie może na burżujów. Nie potrzeba zaznaczać, że takie rozumowanie wodzów socjalizmu byłoby bardzo ciasne i nieludzkie. Nie wiem, jak z tym jest u nas; bądź co bądź uderza mnie nieszczerzy stosunek dzienników socjalistycznych do tej akcji, tak ważnej dla robotnika, podjętej w ramach socjalistycznej *Służby społecznej*.

Widzimy tedy, że dużo jeszcze jest roboty dla rozjaśnienia, uporządkowania i rozpowszechnienia pojęć. A jeżeli zacząłem tych kilka słów od relacji robotnika Wojciechowskiego, to dlatego, że ta prosta relacja najbardziej, moim zdaniem, trafia w sedno rzeczy. Żadne operowanie „wyższymi” rzekomo kategoriami i celami nie może przesło-

²²¹ *rachitis* (daw.) — krzywica. [przypis edytorski]

²²² *celibat* — rezygnacja ze stosunków seksualnych. [przypis edytorski]

²²³ *spauperyzowany* — zubożały. [przypis edytorski]

nić bezpośredniej i krzyczącej o pomoc rzeczywistości. Żadne statystyki. Bo jeżeli chodzi o statystykę, łatwo przeciwstawić jej inne znowuż statystyki: statystykę poronień, dzieciobójstw, małoletnich przestępców, gruźlicy, analfabetów, okropnych warunków mieszkaniowych — słowem tego wszystkiego, co przynosi nędza. A to są nieuchronne apanaże²²⁴ nieograniczonej płodności. Tego nie złagodzi żaden komplement francuskiego generała. I nawet gdy się stanie na gruncie militarnym, takie czysto papierowe kalkulacje ludnościowe są z gruntu fałszywe.

Najmniej chodzi o to, aby przekonywać osoby bezpośrednio zainteresowane — kobiety. Tych, sądzę, przekonywać nie potrzeba, te dobrze wiedzą, co o tym myśleć: wystarczy dać im tylko środki, wskazać gdzie mogą szukać rady i pomocy, zakładać dla nich poradnie. Raczej idzie o to, aby przekonać lub zwalczyć tych, którzy mogliby przeszkadzać w naszej akcji.

Rozmawiałem o tej sprawie z wieloma ludźmi, między innymi z lekarzami. Uderzyło mnie, jak często spotyka się bałamutne pojęcia. Lekarze nasi bawią się tu w statystów, w ekonomistów, robią „politykę populacyjną” spod ciemnej gwiazdy, i wzbraniają się — jakoby z obywatelskiego punktu widzenia — pouczać kobiety o sposobach zapobiegania ciąży. Ba, spotkałem takiego, który mi gadał o „żółtym niebezpieczeństwie”. Dziwni ludzie, którzy przewidują na dwieście lat naprzód wszystkie możliwe i niemożliwe niebezpieczeństwa, a nie widzą tego nieszczęścia, które jest tuż obok i woła o pomoc *dziś*. Podczas gdy lekarze tak majaczą, przeciwnie, nasi ekonomiści — nawet bardzo konserwatywni — od dawna krzyczą na alarm, ostrzegają przed rosnącą pauperyzacją kraju — zarówno materialną, jak duchową — i wzywają do ograniczenia płodności. Ale cóż! ekonomiści piszą w fachowych pismach, a do ogółu to nie dociera. A nie dociera dlatego, bo, jak wiele najważniejszych kwestii, tak i ta jest stale przemilczana, omijana. Otóż przerwać to milczenie jest zadaniem pisarzy i dlatego uważałem, że powinni być na tej estradzie reprezentowani.

Możemy być pewni, że akcja nasza napotka przeciwników, że spotka się z wszelkimi formami obłudy, złej wiary, zabobonu. I nawet łatwo zgadnąć, kto będą ci przeciwnicy²²⁵. Ci, co zawsze: nasi felietonowi kaznodzieje. Znam ich wszystkich dobrze i wiem z góry co będą pisali. I radzę jedną rzecz. Aby każdego (*świeckiego* oczywiście człowieka), który będzie rzucał wielkie słowa o potrzebie hiper-płodnej Polski, zapytać skromnie: „Przepraszam, ile pan ma dzieci? Bo, o ile znam tych moich kolegów-publicystów, to, gdyby wziąć ich jaki tuzin, z trudem doliczyliby się u wszystkich razem pięciorga dzieci. Ale pewni ludzie nawykli do tego, że to co się głosi, nie potrzebuje mieć nic wspólnego z własnym życiem, z własnymi uczynkami. Ten sam dziennikarz, który osobiście robi, co może, aby ograniczyć przyrost swej progenitury²²⁶, będzie plótl duby smalone o „mocarstwowym stanowisku”, o potrzebie *maksimum* urodzeń i będzie zwycięsko potrząsał... nie powiem czym, w odpowiedzi Trewiranusowi. I dlatego, kończąc tych kilka słów, stawiam formalny wniosek, aby, w przewidywaniu akcji, jaką wytoczą przeciwko nam, ustalić zawczasu statystykę rozrodczości naszych publicystów.

SPOWIEDZI I KONFRONTACJE

W jednym z kabaretów wiedeńskich przed wojną bawiono się długo takim żartem: Goethe przed komisją egzaminacyjną, pytany z własnego życiorysu, obcina się szkaradnie, profesorowie wszystko wiedzą lepiej.

Wygląda to komicznie: ale najzabawniejsze jest, że istotnie wiele rzeczy *mogą* *wie-dzieć* *lepiej*. Co dla samego pacjenta jest nieraz mglistym wspomnieniem, dla nich konkretyzuje się w mnóstwie orientujących dat, listów, dokumentów. Gdy u pisarza pamięć dawnych rzeczy barwi się nieuchronnie późniejszymi stanami duszy, oni, obiektywne *besserwissery*²²⁷, przeciwstawiają mu jego autentyczne własne świadectwa. Ale kiedy od tych materiałów przechodzą do syntezy, do interpretacji, znowuż delikwent może się uśmiechać: z wszystkich tych ścisłości wynika najczęściej psychologiczny fałsz, brakło jakiegóś

²²⁴apanaże — korzyści finansowe związane z zajmowanym stanowiskiem (tu użyte ironicznie). [przypis edytorski]

²²⁵kto będą ci przeciwnicy — dziś popr.: kim będą ci przeciwnicy. [przypis edytorski]

²²⁶progenitura (daw.) — potomstwo. [przypis edytorski]

²²⁷besserwisser (z niem.) — ktoś, kto wie lepiej (często ironiczne a.negatywne). [przypis edytorski]

najtajniejszej sprężyny, jakiegoś nieuchwytnego połączenia, którego nie zdradził żaden dokument, którego tajemnicę wielki człowiek uniósł z sobą do grobu.

Mądry Goethe, świadom tej interferencji²²⁸ prawdy z pamięcią, z mniej lub więcej świadomą wolą innej prawdy, dał swoim wspomnieniom tytuł *Dichtung und Wahrheit*²²⁹, uprzedzając niejako kontrolę krytyki, mimo iż nie przeczuwał zapewne, czym stanie się ona w przyszłości!

Bo, w obecnym kształcie krytyki literackiej i jej postępów, dojdzie niedługo do tego, że do katedry literatury będzie przydzielony detektyw i sędzia śledczy. Wbrew doktrynom, utrzymującym, że *tylko dzieło* pisarza nas obchodzi, a nie jego życie, nigdy bardziej niż dziś nie interesowano się życiem wielkich ludzi. Powódź biografii zalewa rynek księgarski, sensacyjnie napisany życiorys staje się najulubieńszą lekturą. Szperają tedy, wglądają, konfrontują, a jeżeli historia literatury czyni to nawet tam, gdzie pisarz nie dał jej żadnych uprawnień, cóż dopiero w wypadkach, gdy sam, *wyznaniami* swymi lub niedyskretnie osobistym charakterem swej twórczości, zachęcił niejako i uprawnił jej ciekawość. Wówczas badania krytyczne zatracają w istocie czynność detektywa, i czyta się ich wyniki niczym romans kryminalny.

Zetknąłem się z tym świeżo, przygotowując do druku nowe polskie wydanie nieśmiertelnych *Wyznań* J. J. Rousseau²³⁰. Osobliwa książka — z wielu względów. Raz dlatego, że skreślona na marginesie twórczości pisarza, przesłoniła niemal całą jego twórczość. Dzieła Russa, niegdyś pożerane tak chciwie, tak płodne w skutki, kształtujące tyle nowych światów, są dziś niemal lekturą erudytów²³¹; ale *Wyznania* jego czytają wszyscy. Takie są nieprzewidziane kaprysy literatury.

Ale szczególna jest ta książka jeszcze przez coś innego. Godłem jej — szczerłość: „Chcę pokazać moim bliźnim człowieka w całej prawdzie natury, a tym człowiekiem będę ja”. Jest unikatem spowiedzi. Posunęła się dalej, niż którakolwiek inna, w odsłanianiu zakamarków duszy. Zaraziła tą pasją spowiadania się całe pokolenia, sprowadziła ileż auto-analiz, zwierzeń! I oto ta książka, tak rewolucyjna swą szczerością, jest — jeżeli wierzyć dokumentom, a trudno im nie wierzyć — spiętrzeniem samych prawie kłamstw, przynajmniej w pierwszej swojej części, tej, która mówi o młodości pisarza.

I nigdzie może nie znaleźlibyśmy lepszej sposobności, aby obserwować metody konfrontacji, skrzętność i pomysłowość nowoczesnej krytyki w wyzyskaniu dokumentów w sposób, którego w istocie nie powstydziliby się zawodowy sędzia śledczy. Odczytałem np. świeżo monografię p. L. F. Benedetto; poświęcona osobie pani de Warens, tym samym wciąż zajmuje się Russem. Dodajmy od razu, że p. Benedetto, Włoch, nie lubi Russa, który w wielu okazjach wyraził się o Włochach dość cierpko: prowadzi też swoje śledztwo z odcieniem złośliwej przyjemności.

Weźmy, dla przykładu, znany epizod *Wyznań*: nawrócenie się młodego Russa na katolicyzm w przytułku katechumenów²³² w Turynie. Czyż mógł przewidzieć nieostrożny pisarz, kiedy, przy pomocy wyobraźni (mając w tym zresztą, jak to niebawem wskażemy, swój cel) kreślił, w kilkadziesiąt lat po wypadkach, owe dawne dzieje, że w *dwieście lat potem* znajdzie się ktoś, kto przepatrzy archiwa i rejestry turyńskiego przytułku i weźmie jego samego w krzyżowy ogień konfrontacji?

Pan Benedetto uczynił to. Wyszperał, kto był w przytułku równocześnie z Russem: odkąd, dokąd, jak długo. Jeżeli wierzyć autorowi *Wyznań*, znajdowała się tam osobliwa kompania: *czterech czy pięciu bandytów, którzy wyglądali raczej na lejbgwardzistów²³³ diabła niż na aspirantów do godności dzieci Bożych; kobiety też nie lepsze: największe pluchy i najostateczniejsze ladacznice, jakie kiedykolwiek zapaskudziły owczarnię Pana*. Była tam „ładna dziewczyna o szelmowskich oczach”, którą zajął się specjalnie jakiś misjonarz i nawracał ją — Rousseau tak twierdzi — z większą gorliwością niż pośpiechem. Był i jakiś „ohydny Maur czy Ekslawończyk”, który starał się wtajemniczyć młodego Russa

²²⁸interferencja — tu: wzajemne oddziaływanie. [przypis edytorski]

²²⁹*Dichtung und Wahrheit* (niem.) — *Fakt i Fikcja*. [przypis edytorski]

²³⁰*Rousseau, Jean Jacques* (1712–1778) — francuskojęzyczny pisarz i myśliciel pochodzący ze Szwajcarii, twórca epoki schyłkowego oświecenia, sentymentalizmu, prekursor romantyzmu. [przypis edytorski]

²³¹erudyta — człowiek wszechstronnie wykształcony. [przypis edytorski]

²³²katechumen — osoba przygotowująca się do przyjęcia chrztu. [przypis edytorski]

²³³lejbgwardzista — członek gwardii przybocznej. [przypis edytorski]

w skombinowane sekrety onanii²³⁴ i pederastii²³⁵, nie budząc tym zbytniego zgorzienia u władz duchownych przytułku. Wszystko to wzięła pod swoje szkiełko nauka ścisła; ów deprawator nieletnich, Maur czy Lewantyńczyk, to mógł być, zapisany w rejestrach, niejaki Rubin d'Alep (Rousseau tego pewno nie wiedział, ale oni wiedzą); dziewczyną „o szelmowskich oczach” mogła być panna Judyta Komes; — zgadza się. Hm, ale ona przybyła później, niż Rousseau powiada; a znowuż zamach Maura, który rzekomo przyspieszył przejście Russa na katolicyzm — ile że chłopiec zgodził się na wszystko, byle tylko opuścić okropny przytułek — mógł, wedle ścisłych dat, zdarzyć się jedynie po jego nawróceniu... Ten i ów szczegół również „nie klapuje”. Co gorsze — i oto najdrażliwsza konfrontacja — nie zgadzają się główne daty. W myśl wersji Russa, przebieg był taki: Rousseau — pół-dziecko — wszedł do przytułku przez młodzieńczą lekkomyślność; skoro się znalazł w obliczu apostazji²³⁶, chciał się cofnąć; przez dwa miesiące bronił się, dysputował, starał się przekonać i nawrócić tych, którzy mieli za zadanie nawrócić jego; ale widząc, że go nie wypuszczą inaczej, niż katolikiem, znalazłszy w przytułku wszystkie możliwe ohydy, poddał się zmianie religii, byle się stamtąd wydobyć. Przyjmuje tedy katolicyzm, on, urodzony w Genewie, wyrzeka się wiary ojców; po skończonej ceremonii, wciskają mu w ręce *trochę więcej niż dwadzieścia franków* — owoc okolicznościowej kwesty²³⁷ — wypychają go na ulicę i zatrząskują bramę. Tak rozwił się cały gmach pokus i nadziei, którymi znęcono chłopca.

Tak przedstawia rzeczy Rousseau po latach, wróciwszy na łono nauki Kalwina i zachowawszy dla katolicyzmu niechęć i urazę; posługuje się całym swoim talentem pisarskim, aby przyoblec tę wersję w niezapomniane kształty. Ale nieubłagane daty, zestawione przez p. Benedetto, mówią co innego. Rejestry stwierdzają mianowicie, że Rousseau wstąpił do przytułku dnia 12 kwietnia, przyjął zaś katolicyzm dnia 21 kwietnia: cały proces jego „nawrócenia” trwał 9 dni: tym samym wszystkie rzekome pobudki, wszystkie perypetie i dwumiesięczne walki zdają się tworem fantazji pisarza. Nawet sumę zebraną z kwesty zdołano skorygować: wynosiła nie 20 franków, ale 5 franków i 10 centymów; po czym nie wypchnięto chłopca na ulicę, gdyż jeszcze przez dwa miesiące *po nawróceniu* pozostał w przytułku...

Czytamy to ze zdumieniem. Jak to, ta książka, tak oddychająca prawdą, może zawierać tak grube kłamstwa? Niestety, tak się zdaje. Bo ta książka nie z samej potrzeby szczerości wynikła. Jest raczej kombinacją ekshibicjonizmu — wręcz fizycznego, do którego Rousseau się przyznaje — z pewnym ukrytym celem. Sekret ten tkwi w kolejach egzystencji pisarza.

Uprzytomnijmy sobie te koleje. Włóczęga, któremu pół życia spłynęło w sposób więcej niż wątpliwy; lokajczyk wypędzany ze służby; młody dryblas żyjący wiecznie z czyjejś łaski, niezdolny zapracować na życie; człowiek, który sprzedał swą religię dla mizernych zysków, który żył lata całe na utrzymaniu znacznie starszej od siebie kobiety, potem zaś skojarzył się z jakąś kuchcią; który pięcioro własnych dzieci oddał do domu podrzutków i nigdy się o nie nie zatroszczył, staje się nagle świecznikiem cnoty, filozofem, apostołem, nauczycielem, prawodawcą świata! Nie dziw, że przeszłość, którą wlecze za sobą, jest mu ciężkim brzemieniem. Ten człowiek ma wrogów, ma zawistnych, pośród najgłośniejszych, najwplywowszych ludzi pióra; naraził się ustosunkowanym damom; wrogowie jego nie zawahają się wyzyskać tych faktów. Stopniowo rozwijająca się mania prześladowcza wyolbrzymia jego obawy. Dwie zwłaszcza okoliczności — zmiana religii i zaparcie się swoich dzieci — stają się nieustannie dręczącym wspomnieniem. Oświecić na swój sposób, pogodzić sprzeczności, scałkować²³⁸ dziwne fragmenty swego życia, przeciwstawić swoją wersję wszelkim ustnym i pisanym komentarzom, uprzedzić inne zwierzenia swoją spowiedzią — oto, bardziej niż potrzeba szczerości, pobudka *Wyznań* Russa.

Metoda *Wyznań* przypomina chwilami Tartufa²³⁹, który, przyparty do muru, bije się w piersi, mówiąc: Tak, mój bracie, jam winny, zbrodniarz godzien kary — jam grzesznik

²³⁴onania — onanizm, masturbacja. [przypis edytorski]

²³⁵pederastia — homoseksualizm. [przypis edytorski]

²³⁶apostazja — odejście od wiary. [przypis edytorski]

²³⁷kwesta — dobroczynna lub okolicznościowa zbiórka pieniędzy. [przypis edytorski]

²³⁸scałkować — tu: scalić. [przypis edytorski]

²³⁹Tartufe — główny bohater *Świętoszka* Moliera. [przypis edytorski]

zatwardziały, pełen brudu, złości... Kaja się z drobiazgów, o których nikt nie wiedział, a równocześnie, wyegzaltowawszy, podbiwszy czytelnika swą emfatyczną nieco szczerością, podsuwa mu fałszywą wersję notorycznych faktów.

To jest tajemna pobudka pierwszej części *Wyznań*. I bodaj czy nie z chęci zaciemnienia owej nieszczęsnej apostazji wynikł również opis idylli z panią de Warens, jeden z najoryginalniejszych, najładniejszych epizodów miłosnych, jakie zna literatura. Bo i tu szczerość Russa była — zdaje się — co najmniej w połowie kłamstwem.

Pani de Warens była — jak o tym świadczą dokumenty — zawodową agentką rządu sabaudzkiego od „nawróceń”. Bo w owej epoce katolicy i protestanci nie palili się już wzajem na stosach, ale wydierali sobie dusze, odkupywali je w potrzebie. Pani de Warens, nieszczęśliwa w pożyciu domowym, zrujnowana, zadłużona po uszy, uciekła z Vevey na terytorium króla Sardynii, odegrała sama komedię nawrócenia i przyjęła katolicyzm; dano jej roczną pensję, w zamian za co stała się powolną²⁴⁰ agentką rządu. W tym charakterze przesłał jej ksiądz de Pontyierre młodego Russa, ona zaś przekazała go dalej do przytułku w Turynie. Niezapomniane karty, na których Rousseau kreśli swoje pierwsze spotkanie z panią de Warens, uczucie, jakie w nim obudziła od pierwszej chwili, są — bardzo być może — jedynie dziełem fantazji pisarza, w której świetle podróż jego do Turynu zyskiwałaby nowe, pełne tajemnej poezji pobudki. I pomiędzy mglistym wspomnieniem pierwszego spotkania a nieobowiązującym roztkliwieniem nad nieżyjącą już panią de Warens, Rousseau rozpina luk tej miłości, utkany z tęczyowych kolorów samoszukaństwa.

Ale sędzia śledczy i tu nie przepuści mu niczego: gromadzi dokumenty, konfrontuje je. I jeżeli kiedy pisarz przypadłby przy egzaminie ze swej biografii, to tutaj: wszak Rousseau sam przyznaje, że pewne okresy swego życia pamięta jedynie bardzo mętnie. Pan Benedetto, uzbrojony w jego listy, w autentyczne papiery, w bezlitosną logikę rozumowania, niewątpliwie dużo rzeczy *lepiej wie* od niego. Niewiele z całej tej idylli ostało się pod ciosami naukowego sceptycyzmu. O ile pewne jest, że młodego Russa łączył później z jego opiekunką stosunek miłosny, o tyle szczegóły wydają się przez autora *Wyznań* bardzo swobodnie *wyreżyserowane*. Nawet *Charmettes*, owe urocze Charmettes: okazuje się, że Rousseau pędził w tym ustroniu dni przeważnie sam, że folwarczek ten był środkiem pozbycia się go z domu, w którym — jak i w sercu „mamusy” — panował już hałaśliwy Wintzenried. Ach, gdybyż tylko tyle mówiły nam dokumenty! Ale odkryto memoriał, jaki dwudziestosiedmioletni Rousseau pisze, pod dyktandem pani de Warens, do gubernatora Sabaudii, aby, wciąż z tytułu *nawróconego*, skomleć o jakąś pensyjkę. Memoriał ten kwalifikuje historyk pani de Warens jako „najnikczemniejsze szalbierstwo”: wszystko od A do Z jest w nim kłamstwem; aby zaś nikomu nie przyszła ochota sprawdzać rzeczy na miejscu albo wzywać go do przesłuchania, Rousseau w zakończeniu memoriału pisze, że „na domiar nieszczęścia dotknęła go szpetna choroba, którą jest zniekształcony”... A wszystko łgarstwo.

Tak, okrutne bywają ankiety detektywów literatury. Ale jest w tym pewna mądrość losu: pomnażają one przyjemność wtajemniczonych, oświetlając tym ciekawiej zaułki duszy ludzkiej, sekrety twórczości, a nic nie szkodzi pisarzowi w oczach zwykłych czytelników, którzy o nich po prostu nie wiedzą. Pokolenia całe będą się upajały legendą Charmettes, i nic im nie popsuje śledztwo pana Benedetto. Tworzenie mitów jest przywilejem wielkich pisarzy.

Nam zaś — niby to wtajemniczonym — konfrontacje takie ileż dają do myślenia. *Wyznania!*... książka, która wciąż kłamie, a która niewątpliwie oddycha szczerością. Przez co? Przez sposób, w jaki kłamie. Wszak kłamać można na tysiąc sposobów. Chcąc przynajmniej prawdę, Rousseau, w pół mimo woli, odsłonił nam równocześnie mnóstwo prawdziwych uczuć, które inny by przemilczał; ośmielił do mówienia o rzeczach, o których w ogóle przed nim nie mówiono; stworzył nowe formuły psychologiczne, obyczajowe. Wszystkie kłamstwa, na których złapała Russa krytyka detektywów, nie zmieniają faktu, że jego *Wyznania* są aktem odwagi, są wielkim krokiem na drodze szczerości człowieka wobec samego siebie. I najciekawszą powieścią autobiograficzną, jaką znamy.

²⁴⁰powolny (daw.) — posłuszny. [przypis edytorski]

Życie Henryka Brularda

Żyłem teraz, dzięki mojej *Bibliotece Boy'a*, pod znakiem Spowiedzi: nowe wydanie *Wyznań*, pierwszy raz po polsku autobiograficzny *Henryk Brulard* Stendhala, wreszcie przygotowany do druku *Czerwony kajet*²⁴¹ Benjamina Constant. Niby ojciec i dzieci: bo nie ulega kwestii, że Rousseau jest protoplastą tego szalu spowiadania się, opowiadania samego siebie, którego nie znały poprzednie pokolenia i które uważałyby nawet za wielką nieobyčajność. Dziś jeszcze p. Hipolit Korwin Milewski, autor świeżo wydanych *Pamiętników* (w których tak zabawnie wojuje z Mickiewiczem), rozważając na wstępie, czy pamiętniki powinny być subiektywne, czy obiektywne, oświadcza się przeciw subiektywizmowi, pisząc:

Owszem, ci pisarze, nawet najbardziej utalentowani i sławni, jak J. J. Rousseau w swoich „Spowiedziach”, lub Amiel w swoim *Journal intime*, którzy, na wzór indyjskiego Budhy, zagłębiają się w bezustannej obserwacji własnego pępka i wtajemniczają czytelnika w swoje odruchy serca lub drobnostki szczegóły swego życia domowego, sprawiali mi zwykle nudę, niekiedy (jak Rousseau) obrzydzenie...

Obrzydzenie, przypuśćmy; ale nudę? Inny sąd wydała o tym od dawna publiczność. Wręcz przeciwnie; ze wszystkich dzieł Russa, które pochłaniano, na które przysięgano jak na ewangelię, które zmieniły — można rzec — postać świata, żywe zostały do dziś właśnie te *Wyznania*. Historyk literatury czyta — z obowiązku — *Nową Heloizę*; pedagog czyta *Emila*; ale wszyscy, bez różnicy wieku, płci, zawodu, czytają z zapartym oddechem *Wyznania*, właśnie dlatego, że są takie, jak są.

Sam Rousseau zdawał sobie sprawę z wagi swego czynu: „Imam się przedsięwzięcia, które dotychczas nie miało przykładu i nie będzie miało naśladowcy”...

Po czym osobliwy ten penitent²⁴² dodaje:

„Niechaj trąba ostatecznego sądu zabrzmi, kiedy przyjdzie godzina: przybędę z tą książką w rękę stanąć przed obliczem Najwyższego sędziego... Pokazałem się takim, jakim jestem; godnym pogardy i szpetnym, kiedy nim byłem; dobrym, szlachetnym, wzniosłym, kiedy nim byłem; odsłoniłem moje wnętrze takim, jakim tyś je widział sam, Najwyższy sędzio. Zgromadź dokoła mnie nieprzeliczoną mnogość moich bliźnich, niech słuchają mej spowiedzi, niech litują się mych nieprawości, niech się rumienia za me niedole. Niech każdy z nich kolejno odsłoni serce u stóp twego tronu z równą szczerością, a potem niechaj jeden jedyny powie ci, jeśli będzie miał czoło²⁴³: *Byłem lepszy od tego człowieka*”...

Tak więc, pobudką owej książki była nie tyle pokora spowiedzi, ile pycha własnej apologii²⁴⁴. Trawiony manią prześladowczą, szarpany zresztą przez wrogów, którzy wrywali przeciwko niemu wątpliwe karty jego przeszłości, Rousseau zdecydował się podać własną jej wersję. Uczynił to z taką siłą ewokacji, że narzucił ją światu. Daremnie skrzętna krytyka literacka szła za nim trop w trop i stwierdziła odchylenia od prawdy, które sprawiają, że książka, która w istocie zrewolucjonizowała świat swoją *szczerością*, jest zarazem jedną z najbardziej kłamliwych, jakie znamy... Te racjonalne kryteria zawodzą wobec sugestywnej przemocy geniuszu.

Co do jednego Rousseau się omylił. Książka jego — mówi — *nie miała przykładu*; być może. Istotnie, aż do Villona²⁴⁵ trzeba by sięgnąć, aby napotkać taką ekshibicję szczerości, a i Villon w swoim *Testamencie* ucieka się do poetyckiej transpozycji. Ale mylił się Rousseau, sądząc, że nie będzie miał naśladowcy. Cały potop spowiedzi wylał się na Europę. Liryczna autobiografia stała się integralną częścią literatury. Najczęściej

²⁴¹ *kajet* (daw., z fr.) — zeszyt. [przypis edytorski]

²⁴² *penitent* — osoba spowiadająca się. [przypis edytorski]

²⁴³ *jeśli będzie miał czoło* (daw.) — jeśli się odważy, jeśli nie będzie się tego wstydzil. [przypis edytorski]

²⁴⁴ *apologia* — obrona jakiejś sprawy a. osoby, będąca w istocie jej pochwałą. [przypis edytorski]

²⁴⁵ *Villon, François* — (1431 a. 1432–po 1463) — śrdw. poeta fr., magister Sorbony, członek organizacji młodzieżowej i awanturnik. Jego doświadczenia z paryskiego półświatka i więzień stały się kanwą poematu *Wielki Testament* (ok. 1461). [przypis edytorski]

w formie powieści, ale i bezpośrednio. *Pamiętnik z za grobu Chateaubrianda*²⁴⁶ pozostał — jak *Wyznania* — jedyną prawie czytelną książką swego autora. Ale najbardziej bezpośrednio z Russa wie dzie się książka, którą Stendhal, ze swoją słabością do kryptonimów, zatytułował *Życie Henryka Brulard*, ale której daje wręcz charakter autobiografii. „Piszę teraz książkę — donosi w r. 1832 księgarzowi — która jest może wielkim głupstwem; to moje *Wyznania*, coś w rodzaju Russa, może gorszym stylem, ale szersze”.

W istocie ma ta książka wszelkie warunki, aby być szczerą. Po pierwsze nie była przeznaczona dla publiczności. Pisząc, autor nie wiedział, czy dojdzie ona kiedy do czytelnika, nawet tego z roku 1935, do którego czasem się zwraca. („To jest dla mnie nowość — pisze — mówić do ludzi, których sposobu myślenia, rodzaju wychowania, przesądów, religii, absolutnie nie znam”...) W istocie, szansa zdawała się niewielka. Stendhal za życia znany był raczej w szczytym kręgu, nie poszukiwany na rynku; czy ten rękopis, obfity, nieczytelny, który przekazuje testamentem *paru* (dla pewności) *księgarzom*, doczeka się tego, aby ktoś nań rzucił okiem, aby podjął szaleństwo wydrukowania go, skoro książka pod tak powabnym tytułem, jak *O miłości*, rozeszła się w dziesięć lat w 17 egzemplarzach? To też pisze raczej dla siebie, z osobistej potrzeby, z czystej pasji badacza serca ludzkiego, który, posługując się dotąd w analizie psychologicznej intuicją, pragnie niejako *wiwisekcją* potwierdzić jej rezultaty. Podejmuje to zadanie, jak Rousseau, przebywszy krytyczną pięćdziesiątkę: tylko, gdy Rousseau z góry jest uprzedzony, że był *najlepszym z ludzi* i jako taki chce nam się pokazać, Stendhal zaczyna od tego, że nie wie o sobie nic; jakim był, dopiero chce sobie uświadomić. „Powinien bym spisać moje życie (mówi); dowiem się może, kiedy to skończę za dwa albo trzy lata, czym byłem: wesoły czy smutny, rozumny czy głupi, odważny czy tchórz, i wreszcie, w sumie, szczęśliwy czy nieszczęśliwy”... Podchodzi prawdę niby myśliwiec zwierzyne, czai się na nią, zaskakuje ją. Zważywszy tę absolutną bezinteresowność, zważywszy nawyk analizy i bystrość autora, jego odwagę, jego brak uprzedzeń, istotnie spowiedź Stendhala miała szansę, aby się stać jedną z najautentyczniejszych, jakie do dziś znamy.

Stendhal zdaje sobie sprawę z pułapek, jakie czyhają na pisarza, gdy chce pisać prawdę o sobie samym. Przede wszystkim wyobraźnia, zawsze gotowa wcisnąć się w luki pamięci. Dalej nieuchronne błędy perspektywy, barwienie dawnych przeżyć późniejszymi stanami duszy, ucisk konwencji myślenia, wstydlivość, wreszcie — niestety! — pospolita próżność. Wzruszający jest ten dopisek Stendhala na marginesie: „Może nie poprawiając tego pierwszego rzutu, osiągnę to, aby nie kłamać z próżności”. A gdzie indziej:

„Ale ile trzeba ostrożności, aby nie kłamać. Na przykład na początku pierwszego rozdziału jest coś, co może zdawać się przechwałką: nie, czytelniku, nie: nie byłem żołnierzem pod Wagram w r. 1809”.

W istocie, dla człowieka wybitnie próżnego, jak Stendhal, dla człowieka, który odbył kampanię włoską, który przeżył — choćby jako intendent²⁴⁷ armii — odwrót spod Moskwy, który pół życia spędził na włóczędztwie po obcych krajach, który całe życie oddychał miłością do kobiet, nie mając u nich powodzenia, bohaterstwem jest nie przykłamać trochę! Oprócz *Henryka Brulard*, posiadamy i inne autobiograficzne utwory Stendhala (*Journal*, *Souvenirs d'egotisme*); te nie zawsze wytrzymują wścibską kontrolę krytyki. Nie oparł się nieraz pokusie „twarzowego” przyrządzania faktów. Tutaj absolutna szczerść była może łatwiejszym zadaniem przez to, że tematem książki jest wczesna młodość: otóż dzieciństwo, młodość, to dla człowieka dorosłego niemal inna osoba; próżność jest o wiele mniej zaangażowana.

Ale i to nie! Bo Stendhal zbyt jest żywy, zbyt impulsywny, aby się zamknąć w ramach kronikarza swej przeszłości. Urok jego pamiętnika stanowią nieustające wędrówki poprzez całe życie autora, ciągle uprzedzanie wypadków, konfrontacje, refleksje, rzuty. Ten palimpsest²⁴⁸ ma niejako kilka warstw pisma, i dzięki temu widzimy w nim pisarza całego, charakter, temperament, życie.

Ta rzadka w swoim rodzaju zdobycz autoanalizy, to tylko jedna pozycja. Ale książka ta jest zarazem cenna jako dokument epoki, a raczej kilku epok, i jakich! Sięgają te wspo-

²⁴⁶ Chateaubriand, François-René (1768–1848) — francuski pisarz, dyplomata i polityk. [przypis edytorski]

²⁴⁷ *intendant* — pracownik administracji a. wojskowego zaopatrzenia. [przypis edytorski]

²⁴⁸ *palimpsest* — pergaminowy rękopis, z którego usunięto pierwotny tekst, by zapisać na nim nowszy. [przypis edytorski]

mnienia głęboko w wiek XVIII. Jakże żywa jest ta galeria figur, począwszy od dziadka Gagnon, lekarza, ulubieńca dam, zawsze z trójgraniastym kapeluszem pod pachą i białą peruką w trzy rzędy pukli, światłego epikurejczyka²⁴⁹, klasyka z upodobań, żyjącego wspomnieniem trzech dni spędzonych u *pana de Voltaire* w Ferney. Ta Grenoble, to miejsce, gdzie Laclos²⁵⁰ zbierał wzorki dla swoich *Niebezpiecznych Związków*: mały Henryś znalazł jeszcze starszą damę, uchodzącą za prototyp markizy de Merteuil, która zapraszała go czasem i dawała mu kandyzowane²⁵¹ orzechy. Wujaszek Roman, młody adwokat, dandyś²⁵², strojący się za pieniądze swoich kochanek: światowa etyka owego złotego wieku pozwalała brać pieniądze od kobiet, byle tylko je wydawać, a nie chować do szkatułki. Ciotka Elżbieta, jedyna z rodziny, która miała wpływ na kształtowanie się charakteru młodego Henryka, stara panna żyjąca — niby w epoce *Cyda* — pojęciami *hiszpańskiego* heroizmu i honoru. Typy księży, przeważnie jezuitów, którzy kierowali pierwszym wychowaniem chłopca. Jedynak, przedmiot pieczołowitości całej rodziny, miał, zdawałoby się, wszystkie warunki szczęśliwego dzieciństwa. I oto jeden z tych błysków, którymi Stendhal nieporównanie umie rozjaśnić mroki psychologii dziecka: „Wiek ów (powiada) był dla mnie nieustanną epoką nieszczęścia, nienawiści, wciąż bezsilnej żądz zemsty. Cała moja niedola da się streścić — w dwóch słowach: *nie pozwolono mi nigdy rozmawiać z chłopcem w moim wieku*”. Ten arystokryzm zamożnej mieszczańskiej rodziny, umiarkującej (jeśli wierzyć Henrykowi) z nudów, ale dbającej o to, aby się nie mieszać z plebem, zaważył na psychice chłopca. Kiedy wybuchła Rewolucja, ten siedmioletni brzdąc jest zdecydowanym republikaninem; mając lat dziesięć, wiadomość o śmierci „tyrana” przyjmuje z entuzjazmem. I w istocie, czyż w gruncie nie Ludwik XVI był winien, że mu się nie dozwolono bawić z chłopcami w jego wieku? Książka ta w niezmiernie ciekawy sposób oświetla proces urabiania się charakteru człowieka pod wpływem wrażeń dzieciństwa. A brutalna otwartość, z jaką Henryk mówi o nienawiści swej do ojca, o zmysłowej niemal miłości do matki, mogą być dowodem jego pasji szczerości. Ileż w tej książce pokarmu dla psychoanalityków, dla badaczy urazów i kompleksów.

I oto związki spraw tego świata: nudząc się straszliwie na łonie rodziny, młody Henryś szuka sposobu najrychlejszego wyrwania się z Grenoble; znajduje jeden tylko: *matematykę*, która zaprowadzi go na politechnikę do Paryża. Na trzy lata rzuca się z furią w studia matematyki, która w istocie zawiedzie go do Paryża, gdzie na politechnikę... nie wstąpi. Ale trening matematycznej ścisłości myślenia zostanie mu na całe życie.

Paryż, pierwsze rozczarowania, biuro, salony, towarzystwo, książki, samotność... Poczucie nicości własnej osoby w tym wirze ludzi, interesów, wydarzeń. Chorobliwa nieśmiałość, która kurczy się w zetknięciu z obojętnością świata. I naraz olśnienie: na tę smutną pokątną młodość wali się nagle nieoczekiwane szczęście: wędrowka przez Alpy po to, aby wstąpić do armii Bonapartego, pierwsza bitwa... (Oryginalne jest, że Napoleończyk ten, który kilkanaście lat przewłóczy się z armią cesarza, po pierwszych upojeniach rychło nabrał antypatii do wojskowości. Już w roku 1801 pisze do przyjaciela: „Wyrzekłem się sławy wojskowej, bo zanadto trzeba się płaszczyć, aby się docisnąć do pierwszych miejsc, a tam tylko czyny są na widoku”). I, na tym samym planie — włoskie słońce, włoska przyroda, włoska naturalność życia, włoska muzyka wreszcie, która na zawsze zostanie dla Stendhala ideałem artystycznych wzruszeń. Wreszcie pierwsza prawdziwa miłość. „Oto okres szczęścia, szalonego, pełnego”.

I tutaj, w finale książki, widzimy zabawną utarczkę *oschłości*, obiektywizmu, które autor obrał za zasadę, z podmuchem entuzjazmu, jaki idzie na niego od tych wspomnień. Jest doprawdy w kłopotcie: uniknąć przesady, za wszelką cenę! Konfrontuje subiektywizm uczuć obiektywizmem faktów. Uskromnia porywy wyobraźni. W tej pasji ścisłości nasuwają mu się pod pióro zabawne doprawdy formuły. Oto na przykład bilans owej mi-

²⁴⁹epikurejczyk — zwolennik filozofii, wedle której do szczęścia dąży się poprzez przyjemność. [przypis edytorski]

²⁵⁰Laclos, Pierre de (1741–1803) — pisarz francuski, autor powieści w listach *Niebezpieczne związki*. [przypis edytorski]

²⁵¹kandyzowany — smażony w cukrze. [przypis edytorski]

²⁵²dandyś — mężczyzna charakteryzujący się wyszukaniem strojem i zazwyczaj również swobodnymi obyczajami. [przypis edytorski]

łości „tak niebiańskiej, tak namiętnej”, która go całkowicie oderwała od ziemi, aby go „przenieść w krainę chimer”:

„Kobieta, którą kochałem, i o której przypuszczałem, że mnie poniekąd kocha, miała innych kochanków, ale wolałaby, przy równych szansach, mnie, powiadałem sobie. Ja miałem inne kochanki (*Chodziłem kwadrans po pokoju, nim siadłem do pisania*). Jak opowiedzieć rozsądnie te czasy. Wolę raczej odłożyć do innego dnia”...

Decyduje się podać suche fakty:

„Oto streszczenie tego, czego po trzydziestu sześciu latach nie mogę opowiedzieć tak, aby straszliwie nie zepsuć... Wszystko to są odkrycia, które robię pisząc. Nie wiedząc, jak malować, czynię rozbiór tego, co czułem wówczas... Jestem dziś bardzo zimny, dzień jest szary, jestem trochę cierpiący... Nic nie może stłumić szaleństwa. Jako uczciwy człowiek, który nienawidzi przesady, nie wiem, co począć”...

I nie przeskoczył Stendhal tego prognozy. To, co wiemy o miłości jego do Angeli Pietragrua, wiemy skądinąd: była to adoracja nieśmiałego Henryka dla bujnych wdzięków Włoszki, która, mając całą armię Bonapartego do swej dyspozycji, zaledwo że zauważyła wówczas ciche uwielbienie nieładnego chłopca. Dopiero w jedenaście lat później, przy zmienionej zobopólnej sytuacji...

Ale faktem jest, że w pamiętniku swoim nie zdobył się na tę opowieść. Tu kończy się rękopis. Przerwał mu pracę urlop; wrywa się z mieściny włoskiej, gdzie usychał z nudów jako konsul, i spieszy do Paryża. Urlop, dzięki stosunkom Stendhala, przeciąga się trzy lata. *Henryk Brulard* idzie w zapomnienie: to było dobre dla wypełnienia pustki życia w Civita Vecchia! Ale, kiedy wraca na swoje wygnanie, i wówczas nie ma mowy o *Henryku Brulard*; pochłania go co innego: pisze powieść *Lamiel*.

Życie Henryka Brularda podzieliło los większości rękopisów Stendhala: dostało się do biblioteki miejskiej w rodzinnej jego Grenobli. Wyszperał je rodak nasz, Kazimierz Stryjeński, który niejako odkrył na nowo dla Francji Stendhala. Wydał je drukiem w roku 1890. Wydanie to — przy całej zasłudze pierwszeństwa — nie odpowiada już dzisiejszym pojęciom o tego rodzaju pracy. Tekst Stendhala, często niedokładnie odcyfrowany, poddany retuszom, skrócony, rozchodził się dość znacznie z oryginałem. Dopiero obecnie, pomnikowe wydanie *Championa* odsłoniło Henryka Brulard w jego całości. Ten jedyny w literaturze dokument dają w ręce polskim czytelnikom.

KARIERY

Wśród materiałów do historii dawnego Krakowa, które gromadzą mi się na wpół mimo woli, często uderza mnie jeden rys, związany ze sprawą ogólniejszego znaczenia: mianowicie wpływ warunków naszej przed-niepodległościowej egzystencji na osobiste życie jednostek. Byłby to ciekawy rozdział z nienapisanej dotąd „patologii życia prywatnego” w okresie niewoli. Zwykle, kiedy się myśli o niewoli, myśli się kategoriami mniej lub więcej wzniosłymi, ale ogólnymi. Myśli się o tym, co ucierpiał naród, mniej zaś o tym, co i jak ucierpiał powszednie życie poszczególnych ludzi, spożytkowanie sił, talentów — a tym samym znów naród.

Na przykład wybór kariery. Nie trzeba chyba wskazywać, jak ważną jest ta sprawa dla każdego. Imperatyw powołania może być wręcz silniejszy od nakazów narodowych, aby wspomnieć tylko najświetniejszy przykład — Conrada-Korzeniowskiego²⁵³. Ale nawet dla skromnych pracowników sprawa pokierowania życiem, zgodności warsztatu pracy z talentem i upodobaniami jest rzeczą arcyważną. Znaczna doza ludzkiego szczęścia zależy od tego, aby właściwości charakteru, zalety, a zwłaszcza przywary człowieka pokrywały się z wykonywanym zawodem.

Niemniej ważne jest to z punktu widzenia społecznego. Nie istnieją bezwzględne wartości ludzi. Jednostka mało warta lub szkodliwa na pewnym miejscu i w pewnych warunkach, może być użyteczna, a nawet cenna w innych, i odwrotnie. Im większa ilość ludzi źle dopasowanych do swego zawodu, tym większe marnotrawstwo sił.

Otóż, zaledwie trzeba przypominać, w jakim stopniu ograniczony i wykrzywiony był wybór drogi życia w epoce niewoli, ile karier było zamkniętych. Nie tylko wprost, ale

²⁵³ *Conrad-Korzeniowski* — właśc. Józef Konrad Korzeniowski (1857–1924), powieściopisarz publikujący po angielsku jako Joseph Conrad, kapitan żegluga wielkiej. [przypis edytorski]

i pośrednio: przez zwięźenie horyzontów, przez zatamowanie naturalnego krążenia soków. Ktoś (dajmy na to) miał wybitne zdolności naukowe w Warszawie, gdzie nie było polskich katedr; ktoś inny miał zdolności handlowe w Krakowie, gdzie nie było handlu; i co z nich? Każda z naszych stolic była kaleką pozbawionym ważnych organów.

To są rzeczy aż nazbyt zrozumiałe, gdy chodzi o zabór rosyjski lub pruski, ale chciałbym zwrócić uwagę na paraliż życia w dawnej Galicji, gdzie na pozór wszystkie drogi były otwarte, gdzie była niby to swoboda. W rzeczywistości było tam niemal gorzej, niż gdzie indziej. I dziś, gdy patrzę na to z oddalenia, uderza mnie to straszliwe zmarnowanie sił.

Kiedy się dziś rozejrzeć po naszym społeczeństwie, widzi się ogromną ilość zawodów, o których się dawniej prawie nie śniło. Człowiek może zostać marynarzem, wojskowym, aktorem i reżyserem filmowym, zawodowym sportowcem wszelkiej kategorii, instruktorem wychowania fizycznego, konsulem lub urzędnikiem emigracyjnym, podróżnikiem, dyplomata, szefem protokołu, żandarmem, senatorem, tancerzem — sto innych jeszcze. Niektóre z tych zawodów (sport, radio, film) związane są ze zdobycami epoki, ale większość mniej lub więcej ściśle wiąże się z pełnią naszego bytu politycznego. I sadzę, że, aby fanatycznie przywiązać ludzi do naszej państwowości, trzeba im uprzytamniać, co każdy z nich zawdzięcza jej osobiście, ile zyskał na właściwym wyborze kariery. Kto wie, czym byłby Dymśa²⁵⁴, gdyby nie było *Qui pro quo*²⁵⁵? Może zbrodniarzem?

Otóż przed młodym człowiekiem, który skończył gimnazjum w Krakowie, otwierały się właściwie trzy drogi: filozofia, prawo i medycyna. Wygląda to wspaniale: 1/3 ma zgłębiać tajemnice bytu, 1/3 stanowić prawa, a 1/3 leczyć tamte dwie trzecie. W istocie przedstawiało się to mniej bogato: „prawo” — to była przede wszystkim hodowla urzędników; „filozofia” — szkółka nauczycieli gimnazjalnych. A medycyna? Właśnie o medycynie chcę mówić, gdyż ona była ciekawym symptomem „patologii życia codziennego”.

Medycyna jest to kariera bardzo pozytywna, o dość skromnym (zwłaszcza w przedwojennej Galicji) zasięgu możliwości. Czytałem w jakimś studium o medycynie we Francji, że do zawodu tego kieruje tam synów przeważnie drobne mieszczaństwo; dla ambicji większego, już kariera ta przedstawia za mało uroków. W Krakowie dobór ten odbywał się inaczej. Medycyna — był to powszechny rezerwuar dla wszystkich niespokojnych duchów; zarazem dla wszystkich, którzy... nie szli na prawo i na filozofię. „Prawo” to była cyfra wiadoma: cztery lata obkuwania pandektów²⁵⁶ i kodeksów, skromna kariera urzędnicza, z wiadomymi z góry szansami awansu, „poborów” etc., z całą zależnością i ograniczeniem horyzontu. Filozofia — profesura gimnazjalna w IX randze, po dwudziestu latach ranga VIII, na szczycie marzeń dyrektura gimnazjum gdzieś na prowincji. I tu, i tu — nic dla fantazji. Otóż, jedynym X, jedynym ekranem dla mirażów, które tworzyła sobie wyobraźnia, była medycyna. Już sam sposób nauki jakże był inny! Tamte wydziały — to po prostu dalszy ciąg gimnazjum, książki i skrypta²⁵⁷; tutaj kościotrup w pokoju, ku przerażeniu kuzynek; krajanie trupów, wdzieranie się skalpelem w sam rdzeń istnienia... Mały Faust. Pozytywizm podawał tu sobie ręce z romantyzmem.

A przyszłość, a widoki? Ileż tematu dla półświadomych rojeń! Ambitny mógł marzyć, że znajdzie lekarstwo na raka i stanie się dobroczyńcą ludzkości. Społecznik (dr. Judym²⁵⁸!) marzył o reformach socjalnych; chłopak nieśmiały a zmysłowy o wytwornych pacjentkach, które będzie w swoim gabinecie auskultował²⁵⁹ przez jedwabną koszulkę... A chirurg! cóż za wspaniała kariera: ocala życie młodej milionerce, która połknęła brylantowy guzik, i zaślubia ją. Gdy prawnik lub nauczyciel przykuci są do taczki, lekarz (o siło złudzeń!) ma cały świat otworem; Ceylon czy Jawa, gdzie zbija w kilka lat majątek na tłumieniu żółtej febry; może być lekarzem marynarki i objechać cały świat, albo zostać lekarzem kąpielowym w Krynicy i też ob... Przepraszam, wyrwało mi się.

Tak więc, osobliwym paradoksem, wybór tego rzemiosła, tak bardzo z natury rzeczy pozytywnego, stanowił upust dla całego młodzieńczego i narodowego romantyzmu. Był

Lekarz, Marzenie

²⁵⁴Dymśa, Adolf — właśc. Adolf Bagiński (1900–1975) aktor filmowy i komediowy. [przypis edytorski]

²⁵⁵*Qui pro quo* — warszawski teatrzyk działający w latach 1919–1931. [przypis edytorski]

²⁵⁶*pandekta* — część tzw. Kodeksu Justyniana, napisana na podstawie pism prawników rzymskich. [przypis edytorski]

²⁵⁷*skrypta* — dziś popr.: skrypty. [przypis edytorski]

²⁵⁸*dr. Judym* — główny bohater *Ludzi Bezdolnych* Stefana Żeromskiego. [przypis edytorski]

²⁵⁹*auskultować* — badać dotykowo. [przypis edytorski]

on — nie dla wszystkich oczywiście, ale dla wielu — namiastką innych karier, których wówczas nie było: skupiał najrozmaitsze skłonności, które w narodach mających normalne warunki bytu szukałyby ujścia na zupełnie innych drogach. Wszystko to w Krakowie obsługiwała medycyna.

Był to wydział najliczniejszy i najbardziej ożywiony. Gdy młody prawnik był to grzeszny i praktyczny młodzieniec, który szedł prosto do skromnego celu, zdawał sobie sprawę z oprocentowania każdego roku pracy, ze znaczenia stosunków i protekcji, medycy był to żywioł buńczuczny, niepodległy, urozmaicony. Pracy było mnóstwo, ale to nie przeszkadzało, że medycy szumieli po knajpach i komersach²⁶⁰, byli postrachem domów publicznych, medycy najczęściej się pojedynkowali. Mnóstwo cech szlacheckich — znów osobliwy paradoks — znajdowało upust na tym (zdawałoby się) najbardziej mieszczańskim fakultecie.

Ale rozdźwięk pomiędzy romantyzmem założeń a rzeczywistością musiał się ujawnić. Idiotyczny wówczas program studiów zniechęcał na samym wstępie wielu, przeciwstawiając młodym entuzjazmowi egzamin — z mineralogii! Nauki pamięciowej było więcej, niż gdzie indziej; w osteologii, bracie, nic nie wykombinujesz, trzeba wykuć! Prosektorium, to próba nie demonizmu, ale pedantycznej cierpliwości. Pamiętam, jak młody poeta — uważał swoją medycynę jako pierwszy rozdział „wiedzy o człowieku”, dziś jest dentystą we Lwowie — Kazimierz L., typowy medyk z romantyzmu, wchodził do prosektorium: w monoklu²⁶¹, w cylindrze, w opiętym dandysowskim²⁶² paltociku²⁶³, z laską prostopadłą tkwiącą w kieszeni; wchodził, nie rozbierał się, stał przed trupem i mruczał jakiś wiersz Baudelaira. Ale to, niestety, nie wystarczało: trzeba by zawinąć rękawy i przypiąć się na całe tygodnie do preparowania trupa, który rzadko był trupem młodej i pięknej kobiety, jak stale bywa w powieściach.

W rezultacie, na żadnym wydziale tyle młodzieży się nie wykolejało, co na medycynie. Studium samo w sobie nielekkie, dla wszystkich tych, którzy obrali je z fałszywej wokacji²⁶⁴, było czymś wściekle ciężkim. „Żelazny medyk”, siedzący na medycynie — bodaj nominalnie — po dziesięć i piętnaście lat, był specjalnością tego wydziału. Wielu w ogóle nie kończyło studiów.

Utkwiły mi w pamięci dwa rysy dość charakterystyczne. Rozejrzałem się raz po speluncie, gdzie grało się w hazard: na dwudziestu graczy było z ośmnastu medyków, mniej lub więcej „żelaznych”.

Drugi symptom, pozornie zgoła innego gatunku. Upadało z braku funduszków *Życie*. Przybyszewski szukał gorączkowo kogoś, kto by je podparł. I znalazł kolejno trzech ideowych „redaktorów”, z których każdy zafundował po kilka numerów. Otóż wszyscy trzej to byli żelazni medycy.

Te dwa zjawiska — bak²⁶⁵ i sztuka — pozornie nic nie mają z sobą wspólnego, w gruncie bardzo wiele. To dwa przejawy owego romantyzmu, który pchał młodych ludzi na medycynę, bez wielkiego związku z ich istotnym powołaniem.

Sporo mogła się przyczynić do nieporozumień i fałszywa literatura. Gdy we Francji nadmiernej idealizacji zawodu lekarza przeciwstawiłyby się z uśmiechem tradycje molierowskie²⁶⁶, u nas zawód ten z dawna symbolizował kapłaństwo społeczne, połączenie wiedzy, bezinteresowności i cnót obywatelskich. Bo u nas i pozytywizm był tylko formą romantyzmu. W powieściach z pewnej epoki lekarz ma zawsze złote okulary, kosztowne futro, wysiada z karety, aby odwiedzić biedaka na poddaszu, nie przyjmuje honorarium, jeszcze wciska w rękę parę rubli na lekarstwo i przysyła z domu flaszkę starego wina. Za co je kupuje — nie wiadomo. O realnej stronie medycyny, o jej małostkach i zabiegach, goryczach, zawodach i upokorzeniach, nie wiedziała literatura nasza nic. Pamiętam, jak piorunujące wrażenie wywołał przekład rosyjskiej książki *Zwierzenia lekarza* Weresajewa, przez swoją skromną prawdę.

²⁶⁰komers — studenckie przyjęcie, zabawa. [przypis edytorski]

²⁶¹monokl — pojedyncze szkło korekcyjne. [przypis edytorski]

²⁶²dandysowski — tu: ostentacyjnie elegancki. [przypis edytorski]

²⁶³paltocik — zdrobnienie od „palto”, rodzaj płaszcza zimowego. [przypis edytorski]

²⁶⁴wokacja (daw.) — powołanie. [przypis edytorski]

²⁶⁵bak (pot.) — bakarat, rodzaj gry hazardowej. [przypis edytorski]

²⁶⁶tradycje molierowskie — aluzja do wysmiewającej lekarzy komedii Moliera *Chory z urojenia*. [przypis edytorski]

Jeden zwłaszcza utkwił mi w pamięci przykład kontrastu między rojeniami a realizacją. Był student medycyny, starszy znacznie ode mnie, ciężko przebijający się przez życie, ale pełen animuszu²⁶⁷ i humoru, zdolny i inteligentny, z temperamentu zresztą typowy szlagon²⁶⁸. Miał lat ze trzydzieści, bo parę stracił wprzód na wydziale prawnym, który porzucił; spieszył się ze studiami, bo z dawna był zaręczony z młodą panią. Był korepetytorem mego młodszego brata, nazywał się Stach Szczytnicki; może go kto z kolegów pamięta? Jakżeby go zapomniał! To on głównie spowodował, że wstąpiłem na medycynę. Tak dosadnie wyrażał się o wszystkich „metafizykach” (termin najwyższej wzdardy, którym ten pozytywista obejmował wszystko co nie było „przyrodą”), tak ciepło umiał opiewać piękno medycyny, że mnie, hamletyzującego wówczas młodego durnia, zdecydował. Po latach, bawiąc przejazdem w Trieście, odszukałem „Szczyta”, który, tuż po doktoracie, został lekarzem austriackiego Lloyda, aby się ożenić wreszcie po wieloletnim narzeczeństwie. Wiódł w Trieście życie biedaka, przerywane dłuższymi lub krótszymi podróżami, rozpacziwą wegetacją na okręcie. Przerażony byłem jego widokiem: ruina człowieka. Co jakiś czas znikał i wracał dziwnie podniecony. Zorientowałem się niebawem: morfinista w ciężkim stadium; przyznał mi się sam zresztą. Niedługo potem dowiedziałem się, że umarł w czasie podróży: ciało jego, według marynarskiego rytuału, wrzucono do morza gdzieś na oceanie. Tak wyglądał bilans jednej z powabnych karier lekarskich.

Nie znałem ludzi bardziej znudzonych swoim rzemiosłem, niż lekarze marynarki. Przeważnie ciułałi swoje skąpe grosze, aby po odświeżeniu kontraktu mieć punkt zaczepienia. W czasie podróży często nie wysiadali na ląd — dla oszczędności. Traktowali to jako katorgę. I ten morfinizm nie był przypadkowym zjawiskiem, raczej zasadzką czyhającą na młodych studentów medycyny, a wpadali w nią właśnie owi romantycy lewatywy. Proszę sobie wyobrazić: dyżur w szpitalu, w powietrzu smutek i nuda, flaszeczka morfiny w szafce pod ręką; pokusa rozkoszy, o której się tyle słyszało, owoc zakazany... Przy tym nawyk — niemal obowiązek — studenta-przyrodnika do eksperymentu, ciekawość poznania wszystkiego... No i atmosfera epoki: „dekadentyzm” — „choroba woli” — należały wówczas do dystynkcji umysłowej: czytało się *Paradis artificiels*²⁶⁹ i *Modlitwę do opium* Quinceya²⁷⁰ (*O juste, subtil et puissant opium...*²⁷¹) i *Hymn do Nirwany* Tetmajera... Nieraz słyszałem ten pewnik, że kto jeden jedyny raz zastrzyknął sobie morfinę, ten już przepadł, już go nie wypuści. Sądzę, że to przesąd; ale pamiętam wśród kolegów sporo ofiar tego nałogu. Wielu z „romantyków medycyny” po prostu się zapilo; sporo wreszcie samobójstw, więcej niż w innym zawodzie.

Wszystko to, to tylko jeden kącik sprawy, o której dużo byłoby do mówienia. Swojego czasu, w jednym z artykułów (*Szkic do bilansu*) obliczałem pobieżnie stały ubytek sił żywotnych, wynikających z nigdy nieprzerwanej u nas emigracji wszelkiego autoramentu²⁷²; a oto drugie źródło tego ubytku z pewnością niemniej ważne: strata spowodowana przez to, że mnóstwo ludzi dawało z siebie nie to i nie tyle, ile dać mogli, przez niedostateczne zróżniczkowanie²⁷³ ówczesnych karier. Niezorientowani w sobie, wybierali byle jak, męczyli się, wykolejali się lub wegetowali, niezadowoleni ze świata, często nie wiedząc nawet, co im dolega. Jak tamten szkic, tak i te rozważania budzą we mnie wnioski na wskroś optymistyczne: jakże piękna przyszłość nas czeka, gdy ta olbrzymia ilość sił, marnowanych wprzód, a obecnie mających tyle sposobów wyładowania, znajdzie właściwą transmisję.

²⁶⁷ animusz — zapał, wigor, odwaga. [przypis edytorski]

²⁶⁸ szlagon — niewykształcony szlachcic z prowincji. [przypis edytorski]

²⁶⁹ *Paradis artificiels* (fr.) — Sztuczne raje. [przypis edytorski]

²⁷⁰ Quincey, Thomas de (1785–1859) — angielski pisarz, eseista, zasłynął dziełem *Wyznania angielskiego opiumisty*. [przypis edytorski]

²⁷¹ *O juste, subtil et puissant opium...* (fr.) — o sprawiedliwe, subtelne i potężne opium. [przypis edytorski]

²⁷² wszelkiego autoramentu — różnego rodzaju (pierwotnie metafora wojskowa, odnosząca się do rodzaju sił zbrojnych). [przypis edytorski]

²⁷³ zróżniczkowanie — dziś popr.: zróżnicowanie. [przypis edytorski]

Symbolem przejściowej epoki jest ów doktor medycyny, który poprzez okulistykę, ziemiaństwo, malarstwo i poezję doszedł do pułku szwoleżerów²⁷⁴. Strach pomyśleć, czego by dokonał w świecie, gdyby był zaczął wprost od szwoleżera...

PSYCHOLOGIA SUKCESU

Czytam w dziennikach głosy prasy o wystawie Styków i bawię się serdecznie. Bawi mnie bezradność krytyki wobec niezrozumiałego dla niej dylematu: czemu, wobec tego, że wystawa Styków nie posiada prawie wartości artystycznej, że znawcy stwierdzili to z rzadką jednomyślnością, mimo to, „przysłowiowo dla sztuki obojętna Warszawa zapelnia i przepelnia sale wystawy”, ba, nawet raz po raz szkoły organizują zbiorowe wycieczki, które wodzi się i oprowadza po „bogato przystrojonej sali i tajemniczo mrocznych salkach, gdzie mieszczą się arcytwory Styków”. Czytam to i uśmiecham się, bo — wiem czemu.

Jana Stykę²⁷⁵ pamiętam od dziecka. Oglądałem tego barczystego, rumianego mężczyznę, ubierającego się wówczas w czamare²⁷⁶, sunącego w niedzielę do kościoła z wielką książką do nabożeństwa w ręku, z płową bródką, oblesnym spojrzeniem — kombinacja dobroduszości i chytrłości. Zagłoba i Tartufe²⁷⁷. Wśród malarzy uchodził za pacykara, to co wystawiał było zawsze jakąś imitacją: to coś z Matejki²⁷⁸, to z Grotgera²⁷⁹, to z Siemiradzkiego²⁸⁰, to zarywał niby Jackiem Malczewskim²⁸¹, ale płodził dużo, uprawiał wszystkie rodzaje, wszędzie go było pełno. Jako humorystyczna lektura kursował tomik jego poezyj, częstochowskich wierszy, pełnych „bogo-ojczyźniackiego” frazesu, oddychających naiwną megalomanią²⁸². Utkwił mi w pamięci jeden wiersz, zatytułowany *Do Juliusza Słowackiego na grobie jego na Montmartre*, (a może do Adama Mickiewicza, już nie pamiętam). Oto cały ów wiersz:

Na tym grobie
Powiem tobie,
Że laur temu służy wiernie,
Kto za życia nosił ciernie.

I tyle.

Ośmieszony w Krakowie Styka przeniósł się do Lwowa, skąd do zdumionej malarzkiej braci doszła wieść, że obraz jego, *Polonię*, zakupiła rada miasta celem zawieszenia go w wielkiej sali posiedzeń. Znacie wszyscy bodaj z reprodukcji ten straszliwy bohomas. Otóż w ślad za wieścią o tym wydarzeniu, które było podstawą wielkiej kariery Jana Styki, przyfrunął komentarz, jak się to stało. Styka, który miał szeroki gest, osiadłszy we Lwowie i zdobywszy trochę zamówień, wystawił sobie willę, ale z należnością architekta było krucho. Architekt był jednym z najwpływowszych radnych miejskich; otóż Styka podsunął mu takie wyjście: niech Lwów zakupi *Polonię*, a architekt pokryje się z tej sumy. I tak się stało, co chyba nie zdziwi nikogo znającego tajniki wszelkich gospodarek miejskich.

Niebawem twórca *Polonii* skombinował nową aferę w związku ze zbliżającą się wystawą krajową: panoramę Raclawic. Nie tyle *pinxit*²⁸³, ile *combinavit*²⁸⁴ Styka. Malowało ją wielu: on na szczęście najmniej, i dlatego panorama była niezła. Wojsko malował

²⁷⁴szwoleżer — żołnierz z pułku lekkiej kawalerii; we fragmencie mowa o gen. Tadeuszu Wieniawie-Długoszewskim. [przypis edytorski]

²⁷⁵Styka, Jan (1858–1925) — malarz i ilustrator, współautor *Panoramy Raclawickiej*. [przypis edytorski]

²⁷⁶czamara — długie męskie okrycie wierzchnie, podszyte futrem, funkcjonowała jako symbol ruchu powstańczego. [przypis edytorski]

²⁷⁷Tartufe — główny bohater *Świętoszka* Moliera. [przypis edytorski]

²⁷⁸Matejko, Jan (1838–1893) — malarz, autor obrazów o tematyce historycznej, dyrektor i wykładowca Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie. [przypis edytorski]

²⁷⁹Grotger, Artur (1837–1867) — malarz okresu romantyzmu, znany z cyklu rysunków na temat powstania styczniowego. [przypis edytorski]

²⁸⁰Siemiradzki, Henryk (1843–1902) — malarz, przedstawiciel akademizmu, specjalizujący się w płótnach o tematyce starożytnej i religijnej. [przypis edytorski]

²⁸¹Malczewski, Jacek (1854–1929) — wybitny malarz-symbolista, profesor krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. [przypis edytorski]

²⁸²megalomania — wybujałe, przesadne przekonanie o własnej wartości. [przypis edytorski]

²⁸³pinxit (łac.) — malował. [przypis edytorski]

²⁸⁴combinavit (łac.) — połączył. [przypis edytorski]

Kossak²⁸⁵; do pejzażu sprowadzono z Monachium specjalistę Bollera²⁸⁶, tak, że tę „krwią przesiąkniętą ziemię raclawicką” odrabiał, popijając piwo, flegmatyczny Niemiec, zresztą wyborny praktyk, a pomagał mu młody Jan Stanisławski²⁸⁷. Tetmajer²⁸⁸ miał wydział kosynerów. Styka malował mało: cały był pochłonięty oprowadzaniem zwiedzających roboty dostojników; wówczas pokazywał, objaśniał, gadał, przy czym oczywiście on był twórcą wszystkiego. Pamiętam, jak Włodzio Tetmajer na ciepło odgrywał te paradne sceny, śmiejąc się i wściekając po trosze, bo nieraz zdarzało się, że Styka pokazywał, jako swoją grupę jeszcze mokrą od pędzla Tetmajera. Gorzej było, kiedy próbował wywłaszczać Kossaka! Po wizycie jakiegoś arcyksięcia, gdy Styka zanadto wlaził Kossakowi w szkodę, temperamentowy Wojtek gonił go po rusztowaniach, chcąc go obić, aż dopiero spokojny Niemiec Boller musiał godzić zwaśnionych raclawiczyców.

Wyżyłowawszy ojczyznę, mistrz przeszedł na niwę malarstwa religijnego. Zaczął kropić święte pańskie, opowiadał o swoich nadprzyrodzonych wizjach i nawiedzeniach, o których jeszcze więcej podobno mogłyby opowiadać hoże²⁸⁹ mołodycie²⁹⁰ rusińskie, służące zażywnemu artyście za modelki. „Wizje” Styki, z jego postawą i gębą jurnego rabelesowskiego²⁹¹ mnicha, to było coś nieopłaconego! Niebawem wyjaśniło się, że to było preludium²⁹² do nowej kombinacji: *Golgota!* — panorama wystawiona przy ulicy Karowej w Warszawie, później szczęśliwie pocięta na kawałki. Co się działo przy malowaniu tej *Golgoty*, to jeszcze opowiadają naoczni świadkowie: ile się Styka należał krzyżem, jak posyłał palety do święcenia papieżowi do Rzymu, jak miał specjalnie skonstruowany aparat do tego, aby całą panoramę móc malować na kłęczkach! W sumie — nowy bohomaz, i znów tłumy. Dowcipnisie mówili, że frekwencję panorama zawdzięcza temu, iż księża zadają ją jako pokutę, dawkując wedle miary grzechów: trzy razy panorama Styki, pięć razy panorama Styki...

Po tym wyczynie dla Styki było w kraju za ciasno. Przeniósł się do Paryża. I o dziwo, ten człowiek, który mimo wszystko w kraju zawsze miał opinię pacykarza i nie liczył się prawie do malarstwa, w Paryżu zdobył sobie pewną „markę”. W niewielkiej Polsce, gdzie się wszyscy znali, zbyt zuchwały humbug²⁹³ objął się o opinię, której ton dawali artyści; na światowym rynku natomiast reklama mogła zdziałać cuda. Rozwinął ją Styka po mistrzowsku. Zaczął od tego, że wynajął pracownię po świeżo zmarłym wówczas Puvis de Chavannes²⁹⁴. To go postawiło. Uczepił się — „jak rzypp psiego ogona” — Henryka Sienkiewicza, wyjednał sobie prawo ilustrowania *Quo Vadis*, w kulminacyjnym momencie powodzenia tej powieści. Niebawem zaczęły się w paryskiej prasie takie wzmianki: „Nie wiadomo, jak długo będzie czytana powieść Sienkiewicza, ale udział największego polskiego malarza Styki zapewnia jej wieczność”, i tym podobne.

W Paryżu Styka odmienił znów manierę: patriota i religiant przeobraził się w pogannina: Wenery, bachantki²⁹⁵, nagie ciała, kuszące wymiona, etc. Przeszedł na Rubensa²⁹⁶. Wśród tego dorastali dwaj synowie Styki, co pozwoliło mistrzowi rozszerzyć przedsiębiorstwo. Stary budrys wezwał nie trzech, ale dwóch synów i podzielił między nich królestwo pędzla²⁹⁷. *Tadé*, zdolny chłopak, od szesnastego roku odkomenderowany na portrecistę światowych pań, zdobywał kosmopolityczny Paryż; drugi Adam, tepszy, poszedł na

²⁸⁵ Kossak, Wojciech (1856–1942) — malarz, specjalizujący się w obrazach historycznych i batalistycznych, syn malarza Juliusza Kossaka. [przypis edytorski]

²⁸⁶ Boller, Ludwig (1862–1896) — niemiecki malarz-pejzażysta, autor krajobrazu *Panoramy Raclawickiej*. [przypis edytorski]

²⁸⁷ Stanisławski, Jan (1860–1907) — malarz, wykładowca krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. [przypis edytorski]

²⁸⁸ Tetmajer, Włodzimierz (1861–1923) — artysta malarz, działacz ludowy i polityk. [przypis edytorski]

²⁸⁹ hoży — urodziwy i zdrowy. [przypis edytorski]

²⁹⁰ mołodycia (ukr.) — młoda kobieta. [przypis edytorski]

²⁹¹ rabelesowski — podobny do bohaterów powieści *Gargantua i Pantagruel* François Rabelais’a. [przypis edytorski]

²⁹² preludium — tu: wstęp. [przypis edytorski]

²⁹³ humbug — rozreklamowane zjawisko a. wydarzenie, które okazuje się oszustwem. [przypis edytorski]

²⁹⁴ Puvis de Chavannes, Pierre (1824–1898) — francuski malarz-symbolista. [przypis edytorski]

²⁹⁵ bachantka — czcicielka Dionizosa, którego kult wiązał się z rytualnym pijaństwem, tańcem i zachowaniem o zabarwieniu erotycznym. [przypis edytorski]

²⁹⁶ Rubens, Peter Paul (1577–1640) — flamandzki malarz epoki baroku. [przypis edytorski]

²⁹⁷ Stary budrys wezwał nie trzech, ale dwóch synów i podzielił między nich królestwo pędzla — aluzja do ballady Adama Mickiewicza *Trzech budrysów*. [przypis edytorski]

rodzajowego malarza widoczków z Maroka. Stary kupił mu nawet używanego wielbłąda, aby mógł swoje Maroko kropić i na miejscu.

Odtąd mistrz Styka siedział za granicą, gdzie interes szedł coraz lepiej. Malował sam, malowali pod jego okiem synowie, administracja była wspólna. Jedna willa pod Paryżem, druga willa na Capri. Dla kraju zachował zawsze życzliwość. Pamiętam raz w Krakowie Towarzystwo dziennikarzy urządzało bal prasy i przesłało wszystkim malarzom ćwiartki bristolu z prośbą o ozdobienie karnecików. I do Styki na Capri poszło takie zaproszenie. Przesłał, z uprzejmym listem, dwie główki... Chrystusa, zresztą okropne. Na karneciki balowe. Cały Styka!

Ale jeszcze raz przeznaczone mu było napelnić wrzawą i śmiechem Polskę. Przyszła epoka, w której nieomylnym węchem zwietrzył aferę: Grunwald. Jakże by Styki tam nie było! Na rok przed pięćsetną uroczystością Grunwaldu Styka zjechał do Krakowa z nową kombinacją. Jeszcze jedna panorama. Znalazł budynek jak stworzony do tego, bo z natury okrągły: prastary „rondel”, czyli barbakan naprzeciw bramy Floriańskiej. Wszystko miał przygotowane, na wszystko miał odpowiedź: jak umieścić rusztowanie żelazne, aby płótno nie wilgło, jak zbudować dach szklany, jak wzmocnić mury, aby się nie rysowały, co poszerzyć, co zaadaptować, wszystko. Panoramę miał malować z synem Tadeuszem, z którym przyjechał; coś w rodzaju Velasqueza²⁹⁸, jak mówił. Konserwatorów krakowskich aż zatknęło z oburzenia. Barbakan, jeden z bezcennych zabytków średniowiecza, unikat w Europie, i — dach szklany, i panorama, i do tego Styki! Ale konserwatorowie to brzmi jak konserwatyści, a wówczas kurs konserwatystów stał w radzie miejskiej fatalnie. Świeża secesja prezydenta Leo do obozu demokracji stworzyła w Krakowie miódowy miesiąc demokracji, a ostatecznie od rady miejskiej zależało wszystko. Znakomicie to wyczuł Styka. Jeżeli Lwów kupił *Polonię*, czemuż Kraków nie miałby się zgodzić na wypaczkowanie barbakanu Grunwaldem? Zaczęło się działanie na opinię przy równoczesnym obrabianiu radców. Styka posunął się do sposobu, którego próbował już we Lwowie, kiedy chciał gmach powystawowy oszpecić cyklem historii polskiej i kuśił radnych miejskich że w historycznych postaciach odmaluje ich konterfekty²⁹⁹. To samo w Krakowie. Zaczęły się w pismach przegrywki patriotyczne, sokolskie³⁰⁰: „czuj duch” — „tęż się”, etc., sławiące projekt panoramy jako jedyny czyn godny wielkiej rocznicy. Styka dokazywał cudów. Wzdychał po kościołach, łykał po handelkach, bratał się z łykami³⁰¹, całował z dubeltówki, przebierał się po sokolsku, chodził na strzelnicę i strzelał do kura, pochlebiał, karmił, poił, obiecywał, namawiał, kadził, gromił, grzmiał, huczał, kazał, dreptał, urabiał, obrabiał, i w rezultacie miał za sobą bardzo poważną większość. Łyki były oczarowane. To mi artysta! — mówili.

Wówczas, z dumą mogę to powiedzieć, ocalił Kraków od nawały Styków *Zielony Balonik*³⁰². Radę miejską mocno trzymał w garści prezydent Leo, który, mając ambicje wybiegające w przyszłość poza horyzont miejski, bardzo był czuły na śmieszność. Tak jak dziś się pytają: „co mówi Pim”, tak on zaglądał zawsze na barometr: „co mówi *Zielony Balonik*?” Bo też *Zielony Balonik* to była esencja kulturalnego Krakowa.

Gotowaliśmy się oczywiście w Baloniku poświęcić parę słów projektowi Styki, który mnie polecono „zreferować”. Ale nie spodziewaliśmy się, że on sam się zgłosi po naszą opinię. Otóż, Styka, niestrudzony w „urabianiu”, dowiedziawszy się, że w Krakowie istnieje „kabaret artystów”, objawił chęć odwiedzenia go. Oczywiście wysłaliśmy mu natychmiast zaproszenie (bez zaproszenia nikt tam się dostać nie mógł) — obmyślając zarazem, jak by tę wizytę dla celów wesołości wyzyskać. Tego wieczora Jama Michalikowa³⁰³ była przepelniona: gruchła wieść, że mają być Stykowie i że... coś się stanie. Do ostatniej chwili nie dowierzało się: przyjdą, czy nie przyjdą. W pewnym momencie któryś z malarzy wszedł jak herold i obwieścił grzmiącym głosem: „Jaśnie wielmożni Jan i Tadeusz Styki!”

²⁹⁸ Velasquez, Diego (1599–1660) — hiszp. malarz barokowy, związany z dworem Filipa IV; znany portrecista. [przypis edytorski]

²⁹⁹ konterfekt (daw.) — portret. [przypis edytorski]

³⁰⁰ sokolski — tu: charakterystyczny dla Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego Sokół. [przypis edytorski]

³⁰¹ łyk (daw., pogardl.) — mieszczanin. [przypis edytorski]

³⁰² *Zielony Balonik* — pierwszy polski kabaret literacki, założony przez krakowskich poetów, pisarzy i plastyków. [przypis edytorski]

³⁰³ *Jama Michalikowa* — cukiernia A.J. Michalika, miejsce spotkań kabaretu *Zielony Balonik*. [przypis edytorski]

Szmer oczekiwania i — zawód, bo wszedł całkiem kto inny. Wreszcie ktoś ze stojących na czatach rzucił gorączkowym szeptem: „Idą”. Zupełnie scena, jaką opisuje Sienkiewicz w obłączeniu Zbaraża, kiedy to pan Michał w zasadzce szczypie Skrzetuskiego w udo, szepcząc: „Idą na pewno”. Jakoż, prowadzony przez Aksentowicza, zjawił się potężny posturą mistrz, w którego cieniu, zahukany, słabo rozumiejący po polsku, wszystkim jakby zdziwiony, wsunął się młody *Tadé* Styka. Przyjęto Stykę grzmiącym i długim oklaskiem; dziękował ręką w krąg, w poczuciu, że nareszcie, po tylu atakach znalazł bratnie dusze. Kiedy już mistrz się usadowił, po paru numerach programu zaczęła się kronika Balonika w okolicznościowych krakowiakach, które śpiewali na przemian przytupując na estradzie, Teofil Trzciniński i młody adwokat Zakrzewski, w czerwonych krakuskach na głowie. W pewnym momencie drzwi się otwarły i wniesiono na kiju świetną karykaturę Frycza, przedstawiającą dwóch Styków, rondel krakowski i małego pieseczka, równocześnie zaś Zakrzewski huknął na nutę „siedziała na lipie”:

Zobaczył pan Styka
 jak raz mały kondel
 podniósł zadnią łapkę
 i spaskudził Rondel³⁰⁴
 oj dana!
 I przyszła mistrzowi
 do głowy myśl słodka
 a gdyby to samo
 zrobić ode środka
 oj dana!
 Że ludzie ofiarni
 są w tych czasach rzadcy
 Więc mu deputację
 ślą dziękczynną radcy
 oj dana!
 Tak to z małych przyczyn
 skutki są ogromne —
 z niepozornej psiny
 dzieło wiekopomne
 oj dana!
 Lecz w czym niezbadane
 losów tajemnice
 nie wie nikt o piesku,
 a każdy o Styce,
 oj dana!

Pies, Artysta

Patrzyliśmy wszyscy spod oka na Stykę i podziwialiśmy wyrobienie tego człowieka. Ani mrugnął. Bił brawo, potem pił z nami i ścisnął się do rana. Jeszcze w parę lat potem posyłał mi czułe widokówki. To był wyga³⁰⁵ nad wygami.

Niebawem piosenkę o Styce śpiewało całe miasto; Leo dał znak i projekt barkabanu, już niemal obrobiony, przy głosowaniu upadł.

Uwieczniliśmy z Witoldem Noskowskim całe to zdarzenie w Szopce Krakowskiej wystawionej już po obchodzie grunwaldzkim. Pyszną lalkę Styki ulepił rzeźbiarz Jan Szczepkowski: olbrzymi Styka, w obszernym płaszczu, miał pod pachą przyszytego do niego małego Tadé. Na jego widok, obecny na scenie Mangha (Feliks Jasiński)³⁰⁶ ucieka, wołając:

Jezusie, Marjo, kto żyw, niech umyka,
 idzie tu jeden w dwóch osobach Styka.

³⁰⁴Rondel (daw., pot.) — barbakan krakowski. [przypis edytorski]

³⁰⁵wyga (pot.) — osoba sprytna i doświadczona. [przypis edytorski]

³⁰⁶Feliks Jasiński (1861–1929) — krytyk i kolekcjoner sztuki, zafascynowany Japonią. [przypis edytorski]

Po czym Styka:

Przebóg! przerwijcie wasz turniej próżności
Słuchajcie! przez me usta krzyczą bohaterów kości:
Zbudź się i walcz! sokole skrzydła wdziej!
Czuj duch: słyszycie jęk grunwaldzkich kniej?
Proporce, skrzydła, wichrowe poświsty —
(Nie panorama, lecz obraz kolisty)
Już mam na wszystko plany
klatka żelazna, dach szklany
olbrzymów godne dzieło — wid ponad człowieczy
(Rondel się od wypadku w „Feniksie” ubezpieczy)
Gdy się w ten obraz wpatrzą nasze sokolice,
rodzić będą bohaterów już wyszedłszy na ulicę.
Więc czuj duch! Niech serce narodu zabije gorącej
Polsko, czy żałujesz swemu synowi głupich pięćset tysięcy?

(Śpiewa na nutę: „Pomoc dajcie mi rodacy”).

Pomoc dajcie mi, rodacy
bo olbrzymia myśl mnie nęka,
kilometrów zbożnej pracy
pragnie ma mocarna ręka.
Wielkie duchy ojców wskrzeszę
witołdowym święte czynem
bohaterów zbudzę rzesze
razem z Tadziem, moim synem.
Kto mi w sprawie dopomoże
ten duch bratni, Polak szczery
Za to gębę jego włożę
między zbrojne bohaterzy.
Miedniak będzie więc Jagiełłą
Kosobucki Piotr — Melsztynem,
Velasqueza godne dzieło
stworzę z Tadziem, moim synem.
Choć ród ducha gasicieli
żółcią plwa i jadem syczy
serc nam w piersiach nie spopieli,
nie przygasi polskich Zniczy.
Dalej druhy, ramię w ramię!
tężmy się sokolim czynem
ja przy świętym czuwam chramie ³⁰⁷
razem z Tadziem, moim synem.
Lecz jeśli nasz czyn ofiarny
z waszych duchów w moc nie wstanie,
pluniem na ten naród marny
i wrócimy na wygnanie.
I w Salonie, hen paryskim
ozdobimy skroń wawrzynem
może nawet z większym zyskiem —
razem z Tadziem, moim synem.

Niech tylko nikt nie przypuszcza, że Styka sobie na zimno kombinował to wszystko. Nie, on taki był, z bożej łaski. Lepiej może od długiego komentarza, odmaluje go ten drobny epizod:

Umarł w Krakowie nie pamiętam już kto, ktoś znany. W jakiś czas po tej śmierci,

Drzewo, Pamięć

³⁰⁷chram (daw.) — świątynia, zwł. pogańska. [przypis edytorski]

żona otrzymuje z zagranicy starannie opakowaną sporą przesyłkę. Nadawca: *Jan Styka, Capri*. Stroskana wdowa otwiera, w jednym opakowaniu znajduje drugie, trzecie, wreszcie, po odwinięciu znacznej ilości papierów, pudełko, w którym znowuż kilkakrotnie opakowana — pestka. Równocześnie przychodzi list, w którym Styka objaśnia przesyłkę. Mianowicie, nieboszczyk był raz w jego willi, gdzie, w cieniu pigwy, wiedli z sobą długą i podniosłą rozmowę. Posyła tedy Styka wdowie pestkę z onej pigwy, iżby ją zasadziła na grobie męża, aby kiedyś, po latach, ta pigwa szumem swoim przypominała nieboszczykowi chwile spędzone w willi Styki.

Teraz rozumiecie, czemu my, starzy krakowianie, uśmiechamy się, czytając biadania warszawskiej krytyki? Tej wystawie, na którą się tłoczy publiczność, patronuje duch Jana Styki, niespożytego kombinatora palety, renesansowego bufona. Jest tam wszystko, od przesławnej *Polonii* począwszy, Grottgery i Elidy, cycki i ojczyzna, nagusy i Chrystusy, Joanna d'Arc i Pola Negri, i Tade ze swymi szatańskimi dekolantami, i Adam ze swoim afrykańskim panoptikum³⁰⁸, jest cały interes Styków, pół wieku grandy malarskiej. A choć zamknął powieki ten, który był jej twórcą, z jego kości jest i z jego krwi, i jego to kalibański duch magnetycznie zza grobu ściąga tłumy. I kiedy stałem na tej wystawie przed którymś z jego autoportretów — są dwa: jeden *a l'artiste*³⁰⁹, drugi z polska w kontuszu — miałem uczucie, że Jan Styka, herbu Wczele, mruży do mnie przyjaźnie oko i mówi: A co? moje za grobem zwycięstwo...

To był typ! Już tacy się nie rodzą.

OSTATNI ZAJAZD NA LITWIE... WCIAŻ TRWA!

Jedną z oryginalności *Pana Tadeusza* jest swoboda, z jaką Mickiewicz miesza fikcyjne nazwiska z prawdziwymi, splata wydarzenia urojone z tymi, które w istocie działały się na Litwie i które znał z opowiadań lub tradycji. Czyniąc tak i opisując fakty stosunkowo bardzo świeże, Mickiewicz nieraz korzystał ze straszliwej potęgi poety, który ma moc dania ludziom i wypadkom fizjonomii trwalszej i rzeczywistszej od samej rzeczywistości. Biada temu, kto znajdzie się w niełasce poety: *Kennst du die Hölle des Dante nicht, die schrecklichen Terzeten? Wen da der Dichter hineingesteckt, den kann kein Gott mehr retten! Kein Gott, kein Heiland erretet ihn mehr aus diesen singenden Flammen...*³¹⁰ powiada gdzieś Heine³¹¹, który też umiał korzystać z tego prawa... czy bezprawia. Ale zrozumiałe jest, że rany zadane w ten sposób broczą, a jeżeli wyrok wydany przez poetę był przypadkiem niesprawiedliwy, naturalne jest, że budzi w sercu potępionych protest bezsilnej wściekłości. I to trwa, aż wreszcie przeszłość zblaknie, lub też zyska ową patynę³¹², dzięki której wszelka dawność staje się z czasem przedmiotem chluby, bez względu na jej charakter.

Nie przeczywał z pewnością Adam Mickiewicz, że kilka wierszy pomieszczonych przezeń w VII księdze *Pana Tadeusza* wywoła replikę w sto lat niemal po ich powstaniu, że krewniak sponiewieranego pociągnie poetę do porachunku i że dzisiejsze sceptyczne pokolenie, dość obojętne na samo meritum sporu, będzie patrzyło z uśmiechem na te ostatnie podrygi *ostatniego zajazdu na Litwie*.

Oto owe wiersze, włożone w usta Klucznika w księdze p.t. *Rada*.

... Wszakże to Dobrzyńscy sami
Bili się na zajaździe myskim z Moskalami,
Których przywiódł generał ruski Wojniłowicz,
I lotr, przyjaciół jego, pan Wołk z Łogomowicz.
Pamiętacie, jak Wołka wzięliśmy w niewolę,
Jak chcieliśmy go wieszać na belce w stodole,
Iż był tyran dla chłopstwa a sługa Moskali;

³⁰⁸*panoptikum* — zbiór osobliwości. [przypis edytorski]

³⁰⁹*a l'artiste* — jak artysta, w stylu artysty. [przypis edytorski]

³¹⁰*Kennst du die Hölle des Dante nicht...* — fragment poematu *Deutschland ein Wintermarchen* (Niemcy. Opowieść zimowa) Heinricha Heinego: Czy znasz piekło Dantego i straszne tercyny? Gdy poeta kogoś tam umieści, nawet bóg go nie uratuje. Żaden bóg, żaden zbawiciel nie wyciągnie go spośród tych śpiewających płomieni. [przypis edytorski]

³¹¹*Heine, Heinrich* (1797–1856) — znakomity poeta niemiecki, rewolucyjny demokrat. [przypis edytorski]

³¹²*patyna* — zielonkawy nalot powstający na powierzchni przedmiotów z miedzi lub jej stopów, również znamię czasu, oznaka dawności. [przypis edytorski]

Ale się chłopci głupi nad nim zlitowali!
(Upiec go muszę kiedyś na tym szczyryku)...

Tym, co upomniał się o honor pana Samuela Wołłka, jest rodzony jego wnuk po kądzieli³¹³, p. Hipolit Korwin-Milewski, ziemianin z Litwy, znany działacz polityczny, członek Rady Państwa itd., który obecnie wydał swoje zajmujące pamiętniki. Urodzony w r. 1848, zatem dziś przeszło osiemdziesięcioletni, ale krzepki i zadzierzysty starzec, arystokrata w każdym calu a weredyk³¹⁴ z temperamentu i z wieku, posiadający doskonałą pamięć, jest żywym dokumentem nie jednej, ale wielu epok. Mówi o tym, co widział, co przeżył, co przemyślał, bez ogródek, nieustępliwie; często wręcz — tak samo jak w swoim praktycznym działaniu — jak gdyby prowokując niepopularność. Pierwsze wychowanie, otrzymane we Francji, zaszczerpiło w p. Milewskim, naturze trzeźwej i pozytywnej, wybitny antyromantyzm, który już sam wystarczyłby zapewne, aby go nastawić nieprzychylnie wobec tego człowieka-symbolu, jakim się stał dla ideałów i tęsknot narodu Mickiewicz. Mrzonki, demagogie, trucizna! Nie znał Milewski Mickiewicza osobiście, ale jakże bliiski jest jego tradycji, on — wychowany w Paryżu w latach sześćdziesiątych. I właśnie przez tę bliskość, rankor³¹⁵ jego do poety (którego, pisząc w r. 1925, nazywa raz po raz *panem Mickiewiczem*) wybucha w formach tak żywych, tak „niehistorycznych”, że mimo zawartych w nich bluźnierstw, z uśmiechem przyjemności czytamy docinki pamiętliwego starca. Bo w gruncie „pan Mickiewicz” jest dla tego karmazyna³¹⁶ pisarkiem, który panu z panów nastąpił na honor rodziny. Przyznacie, że to ma swój styl.

Kreśląc we wspomnieniach dzieciństwa postać swego dziadka, owego Samuela Wołłka, rozprawia się p. Hipolit wręcz z cytowanym ustępem z *Pana Tadeusza*. I to jak! Posłuchajcie:

„Pominąłbym milczeniem tę fantazję, gdybym nie pisał dla publiczności polskiej, od 150 lat do tego stopnia cierpieniem i uniżeniem rozczulonej i chorobliwie takomej pochwał cudzoziemców, że ciągle potrzebuje wcielać się w jakiegoś „nadczołwieka”, którego uniwersalną kompetencją, aby on tym zdobył sobie wszechświatową sławę.

Wyrok Mickiewicza na nieboszczyka Wołłka zawiera dwie bajki, jedno ogólnikowe grubiaństwo i w końcu jednostronną prawdę.

1) Jeśli p. Samuel Wołk kiedykolwiek był (z jakiej racji?!) w Myssie położonej o 100 km. od Ługomowicz, to na pewno ani jeden z drobnych szlachetek, opowiadających w *Panu Tadeuszu* te zajścia i zamieszkałych koło „Soplicowa”, za Niemnem jeszcze o kilkadziesiąt km. dalej, w tej Myssie nie był i o niej nie słyszał.

2) „Sługą Moskali” nie można nazwać człowieka, który służył w wojsku pruskim, potem w polskim, potem szlachcie polskiej jako wybrany przez nią sędzia powiatowy, kilka miesięcy Napoleonowi, a na służbie państwowej rosyjskiej nie był ani jednego dnia. Na odwrót, p. Adam Mickiewicz jako nauczyciel etatowy w gimnazjum kowieńskim, był przez dwa lata rosyjskim płatnym „czynownikiem³¹⁷” rosyjskiego ministerstwa oświaty.

3) Epitet „lotr”, co oznacza w ogóle człowieka bez czci i wiary, w zastosowaniu do człowieka, który, choć srogi i gwałtowny, był wysoce honorowy i za takiego uchodził, zaufany opiekun, doradca, sędzia polubowny w licznym swoim otoczeniu i sąsiedztwie, stanowi jedno z tych częstych poetyckich grubiaństw lub inwektyw, które tradycyjnie stanowią miły grzech „wieszczów” (np. u Wiktora Hugo).

...Poetom w ogóle, a Mickiewiczowi w szczególności nie przychodzi na myśl, że historia powinna osądzać czyny ludzkie nie w świetle obecnych warunków i pojęć — lecz w świetle ówczesnych i miejscowych. Wielki nasz wieszcz pisał sobie w r. 1836 w Paryżu w małym mieszkanku, nie mając innych podwładnych, jak francuską kucharkę, która, gdyby jej pogroził palcem, zbuntowałaby przeciw niemu cały kwartał. A Wołk działał o 2000 km. na wschód, tj. jak dzisiaj od Paryża do Pekinu, a co do stopy kulturalnej ludzi, z którymi miał do czynienia, o trzy lub więcej stuleci wstecz”.

³¹³po kądzieli — w linii żeńskiej. [przypis edytorski]

³¹⁴weredyk — człowiek, który mówi prawdę, zazwyczaj nieprzyjemną, bez względu na konsekwencje. [przypis edytorski]

³¹⁵rankor (daw.) — gniew, żal, złość. [przypis edytorski]

³¹⁶karmazyna — bogaty szlachcic (od tkaniny, z której wykonywano kontusz). [przypis edytorski]

³¹⁷czynownik — urzędnik w carskiej Rosji. [przypis edytorski]

Nakreśliwszy z własnych wspomnień sylwetę swego dziada, z jego zaletami i wadami, pisze p. Milewski dalej tak:

„Ten związek zalet z wadami stanowi prawo natury, któremu podlegał w całej pełni sam Adam Mickiewicz. Nikt nie zaprzeczy, że w tej cudownej sztuce, która od czasu Homera³¹⁸ i Tyrteusza³¹⁹ porywa do największego entuzjazmu dusze ludzkie, tj. w sztuce zamykania w prawidłowych ramach prozodii myśli, które byśmy, ludzie zwykli, z większą precyzją wyrazili w liniach dowolnej długości i końcówek, tj. w poezji, Adam Mickiewicz był geniuszem, super geniuszem, arcygeniuszem. Jako taki nie mógł nie podlegać, i podlegał prawu, które już określił filozof rzymski Seneka w słowach: *Non est magnum ingenium sine mixtura dementiae*. (Nie ma wielkiego geniusza bez przymieszki szaleństwa). Przykład:

W chwili, kiedy wieszcz pisał swoje *Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego*, Francją rządził najznakomitszy mąż stanu, jakiego miała w ciągu XIX stulecia, Casimir Périer. Panu Adamowi Mickiewiczowi, który cały period powstania listopadowego przebył w Dreźnie i nie wystawił na szwank dla Polski ani cała kwadratowego swojej skóry, raptem zachciało się, żeby minister Périer rzucił setki tysięcy lub milion żołnierzy francuskich i miliardy franków jednocześnie na Rosję, Prusy i Austrię, aby jemu, Adamowi, urządzić uroczysty ingres³²⁰ do jego Wilna. A minister tego nie uczynił. Więc nasz wieszcz palnął mu z wysokości swego „Synaju” następną, jeszcze sroższą niż dla Wołka anatamę³²¹. Cytuję dosłownie:

„A rządcą francuski rzekł: nie możemy krwią naszą ani pieniędzmi tego niewinnie odkupywać, bo krew moja i pieniądz mój do mnie należą, a krew i pieniądz narodu mego, do mego narodu należą... A rządcą ten nazywał się Casimir Périer, imieniem słowiańskim a nazwiskiem romańskim. Imię jego znaczy skaziciela czyli zniszczyciela miru, to jest pokoju, a nazwisko znaczy od słowa *perire* albo *périr* zgubiciela czyli syna zguby. A imię i nazwisko jest Antychrystowe i będzie zarówno przekłete w pokoleniu słowiańskim i w pokoleniu romańskim”.

Albo sam w piętkę gonię — konkluduje p. Hipolit — albo tu się ma dobrą porcję *mixture*.

Zabawnym zbiegiem okoliczności, kiedy p. Korwin-Milewski sam rzucił się w działalność publicystyczną i stanął na czele *Kurjera Litewskiego*, właśnie wyłonił się projekt — pomnika Mickiewicza w Wilnie. Sforsowany przez opinię, subskrybował Milewski 500 rubli na pomnik, ale dziś jeszcze czuje potrzebę założyć *votum separatum*³²² w swoim pamiętniku. Oto co pisze:

„Naturalnie nie mogłem się dotknąć polskiego pióra, żeby się zaraz nie potknął o... Adama Mickiewicza. Już w 1906 roku ten wielki człowiek, dzięki czterdziestoletniej reklamie, prowadzonej według wszystkich prawideł nauki handlowej przez jego syna Władysława na swoją wyłączną i osobistą korzyść (ani grosza dla siostry Góreckiej lub brata Józefa), stał się u nas jedynym monopolowym uosobieniem całego narodu, nie w mniejszym stopniu niż Garibaldi³²³ u Włochów. Moi współpracownicy sądzili, że *Kurier Litewski* bez inwestytury³²⁴ bożyszczą żyć nie może. Wiedzieli jednak, że, oddając należyty hołd genialnemu poecie i pisarzowi, uważam polityka, działacza i moralistę, wielbiciela zdrady, „ducha” nastroju i „tonu”, a osobistego wroga rozsądku, jako nie mniejszego tru-

³¹⁸ *Homer* — grecki poeta z VII w. p.n.e., autor dwóch poematów epickich, *Iliady* i *Odyssei*. [przypis edytorski]

³¹⁹ *Tyrteusz* — grecki poeta z VII wieku p.n.e. Swoimi utworami pobudzał męstwo Spartan w czasie wojny, którą prowadzili z Meseńczykami. [przypis edytorski]

³²⁰ *ingres* — uroczyste objęcie urzędu. [przypis edytorski]

³²¹ *anatema* — potępienie czegoś lub kogoś, kłątwa. [przypis edytorski]

³²² *votum separatum* (łac.) — głos odrębny (zazwyczaj: oficjalny sprzeciw członka jakiejś zbiorowości wobec jej gremialnie podjętej decyzji). [przypis edytorski]

³²³ *Garibaldi, Giuseppe* (1807–1882) — włoski żołnierz, rewolucjonista, uważany za bohatera narodowego, przywódca walk o wyzwolenie i zjednoczenie Włoch, generał. [przypis edytorski]

³²⁴ *inwestytura* (daw.) — nadanie lenna a. danie władzy. [przypis edytorski]

ciciela duszy i myśli polskich, jakimi stali się dla narodu francuskiego J. J. Rousseau³²⁵, a dla rosyjskiego Tolstoj³²⁶....

Z próbki tego wnuka p. Samuela Wołłka możemy wnosić, jaki musiał być dziadek. Co za temperament! Co za niezłomność w tym *caeterum censeo*³²⁷ na które bieg lat nie ma żadnego wpływu! I mimo wszystko, co za... mickiewiczowska figura ten Korwin-Milewski! W istocie jest w nim czystość typu, która, mimo jego europejskiego wychowania i poloru³²⁸, czyni go współczesnym raczej figur z *Pana Tadeusza*, niż nas. Patrząc na fotografię tego urodziwego starca, łatwo wyobraziliśmy go sobie w roli stolnika Horeszki, gdy stoi na ganku i dumnym wzrokiem mierzy miotającego się Jacka Soplicę.

A p. Wołłk? Jak było naprawdę z p. Wołłkiem-Łaniewskim z Łogumowicz? Skrzywdził go Mickiewicz czy nie skrzywdził? Zaglądam do komentarza prof. Pigionia w jego wydaniu *Pana Tadeusza*; wydarzenie samo wydaje się autentyczne, tyle tylko że poeta przesunął czas: wypadek z Wołłkiem zdarzył się w czasie powstania r. 1831. Opisuje go rękopis pt. *Stan dzisiejszy Litwy* w Bibliotece Czartoryskich.

W powiecie oszmiańskim obywatel Wołłk... znajomy jest w całej Litwie z okrucieństw, jakich się dopuszcza nad nieszczęśliwymi włościanami... Dość przypomnieć, że za nieludzkie obchodzenie się z chłopami przez rząd nawet moskiewski oddawany był kilka razy pod sąd, lecz zawsze pieniędzmi potrafił się z kryminału uniewinnić. Ten sam Wołłk w moment wybuchnięcia Powstania w Oszmianie (1831) przez własnych swoich włościan ostrzeżony, że powstańcy jego, jako człowieka sprzyjającego Moskalom i ciemiężyciela chłopów, wziąć chcą, przez swoich-że włościan potajemnie przez lasy i rzekę Niemen do miejsca zajętego przez Moskalów przewieziony został.

Powie ktoś, że to wszystko niezupełnie przekonywujące. Być przeciwnym powstaniu, a być „sługą Moskali” — to nie jest to samo. Być w owych czasach srogim panem, a być „lotrem” — to też różnica. Ci chłopci, którzy Wołłka ostrzegają i ratują (mimo że sami poszli później do powstania), musieli być jednak do swego pana przywiązani. Odpowie na to znowuż ktoś, że sąd o panu Wołłku pada w *Panu Tadeuszu* nie z ust Mickiewicza, ale z ust klucznika Gerwazego, który nie jest zobowiązany do historycznego obiektywizmu. Tak; ale (powie na to ktoś) po cóż Mickiewicz wkładał Gerwazemu w usta rzeczywiste nazwisko pana Wołłka, jeżeli nie po to, aby — antycypując datę — załatwić z nim rachunki z ostatniego powstania, których to rachunków na emigracji musiały go dojść echa... Et, nie rozplączę się, jak to wszystko było, a obraza szlachcica jest; to fakt. Trzeba by ten za-targ, który dziś jeszcze wybucha oto w tak cierpkich przytykach, jakoś zlikwidować. I nie widzę lepszego sposobu, jak ten, którego użył sam poeta w *Panu Tadeuszu*: skończyć tak, jak skończono odwieczne kłótnie Sopliców z Horeszkami — małżeństwem. Okazja jest jedyna. Bawi w tej chwili w Polsce rodzony prawnuk (choć po kądzieli) Adama Mickiewicza, wnuk wspomianej w pamiętniku p. Hipolita Korwin-Milewskiego, Heleny Mickiewiczówny-Hryniewieckiej, pisarz francuski p. Charles-Louis Royer, autor książek *L'amour en Allemagne*³²⁹, *La maîtresse noire*³³⁰, *Chez les hommes nus*³³¹, *Le sérail*³³². Pan Royer (wiem to od niego) ma córkę: niechże ją bierze jaki młody Korwin-Milewski, z tych, którzy się wiodą od pana Samuela Wołłka z Łogumowicz, i niech się zakończy szczęśliwie ten ostatni zajazd na Litwie.

³²⁵Rousseau, Jean Jacques (1712–1778) — francuskojęzyczny pisarz i myśliciel pochodzący ze Szwajcarii, twórca epoki schyłkowego oświecenia, sentymentalizmu, prekursor romantyzmu. [przypis edytorski]

³²⁶Tolstoj, Lew (1828–1910) — rosyjski prozaik, dramaturg, myśliciel, krytyk literacki, publicysta. Jego dzieła wywarły duży wpływ na literaturę światową i rozwój myśli moralnej na początku XX wieku. Jeden z najwybitniejszych realistów, łączył wnikliwą obserwację z prezentacją własnych poglądów. [przypis edytorski]

³²⁷*caeterum censeo* (łac.) — poza tym uważam... (aluzja do rzymskiego polityka, Katona Starszego, każde przemówienie w Senacie kończącego zdaniem „poza tym sądzę, że Kartaginę należy zniszczyć”). [przypis edytorski]

³²⁸polor — tu: dobre maniery. [przypis edytorski]

³²⁹*L'amour en Allemagne* — *Miłość w Niemczech*. [przypis edytorski]

³³⁰*La maîtresse noire* (fr.) — *Czarna kochanka*. [przypis edytorski]

³³¹*Chez les hommes nus* (fr.) — u nagich ludzi. [przypis edytorski]

³³²*Le sérail* (fr.) — seraj. [przypis edytorski]

ROK 1900

Spędziłem zajmujący dzień z nową książką Paula Moranda pod tytułem *1900*. Po prostu, rok 1900. Kroniczka jednego roku, zestawiona tak zręcznie, że staje się zarazem i satyrą, i dramatem, i dokumentem. Morand uważa ów rok za przełomowy; zmierzch epoki, i to zarówno w rzeczach ważnych, jak błahych. Wystawa paryska z r. 1900 to dla niego apogeum kończącego się królestwa tryumfalnej burżuazji, owego świata bogatego, sytego, brzydkiego, zadowolonego z siebie, mimo iż kokietującego swoim „pesymizmem”. Wojna, socjalizm, rozwój techniki, wykopały przepaść między tym *wczoraj a dziś*; nigdy, zdaniem Moranda, nie było takiego odskoku; mniejsza jest odległość między berlinką³³³ Ludwika XVI a karocą koronacyjną Napoleona, niż między paryskim omnibusem zaprzężonym w trzy białe konie a dzisiejszym hydroplanem.

Jakie charakterystyczne punkty widzi Morand we Francji roku 1900? Rozdarcie wewnętrzne — dziedzictwo świeżej jeszcze sprawy Dreyfusa³³⁴. Wściekłe nienawiści wyrażające się w stylu, który przetrwał do dziś w inwektywach Leona Daudet³³⁵. Nacjonalizm, antysemityzm wojujący. Koronacja mieszcza w osobie prezydenta Republiki, pana Loubet³³⁶. Nastrój wybitnie anty-angielski; klęski Anglików w Transwaalu przyjmowane z radością; popularność Boerów. Pociągnięcia antyklerykalne rządu: teatromania i *prestige* Akademii; wymowa Jauresa, strajki, premiera *Orlątka*, która czyni Rostanda³³⁷ bożyszczem chwili....

Wystawa powszechna. Niby zawieszenie broni po wojnie domowej. Olbrzymie miasto — *Cosmopolis* — rozciągające się na przestrzeni kilku kilometrów nad Sekwaną. Zdobyte elektryczności, zaranie reklam świetlnych. Loia Fuller³³⁸. Czułości franko-rosyjskie. Olbrzymi książę Urusow komplementuje małego Loubeta, taksując tego reprezentanta Francji spojrzeniem. Ofiaruje mu, imieniem Rosji, mapę Francji całą z drogich kamieni; miasta są z brylantów, rzeki z platyny, wszystko spoczywa na wielkim płaszczu z gronostajów. Drogo ten prezent miał kosztować Francję. Sukcesy *fonografu*. Pierwsza linia kolei podziemnej, nieufnie przyjęta przez babcię. Rewelacja Niemiec i ich druzgocącego przemysłu: — „to Sedan³³⁹ przemysłowy”, wołają przerażeni Francuzi. Rewelacja Japonii, jej bohaterstwa, jej patriotyzmu, które miały się za kilka lat objawić w wojnie z Rosją, a które wyczuwa Paryż w sposobie, w jaki... umiera na scenie Sada-Yakko. Ameryka — to daleki naród bez znaczenia, który podobno ma dobrych dentyków; poza tym nikt nie interesuje się pawilonem amerykańskim.

W sztuce — *secesja*. Brama Wystawy, jedna z najpotworniejszych rzeczy, jakie się zdarza oglądać. Secesyjne meble „z makaronu”; afisze Muchy³⁴⁰ — epoka najgorszego gustu. Szkaradny Pałac sztuki, gdzie nie dopuszczono nikogo prawie z malarzy, dziś uważanych za chlubę Francji. Królewskie kurtyzany — Otero, Cleo de Merodes; *birbantki*³⁴¹ koronowanych głów *incognito*³⁴²; orkiestry cygańskie, egzotyzm wschodnich ludów, Anamitki w czarnych sukniach ze złotymi smokami... Pociąg kolei transsyberyjskiej, dający, za pomocą rozwijającego się płóciennego pejzażu, złudzenie podróży do Pekinu... na Wystawie; w rzeczywistości zaś rewolucja w Chinach, pamiętna ekspedycja karna. Pierwsze zdobycze automobilu. Szybkość od 9 do 30 kilometrów: co powyżej, to

³³³*berlinka* — rodzaj pojazdu konnego na resorach. [przypis edytorski]

³³⁴*sprawa Dreyfusa* — skandal polityczny w XIX-wiecznej Francji, związany z niesłusznym oskarżeniem o szpiegostwo oficera żydowskiego pochodzenia Alfreda Dreyfusa i z trudnościami w uzyskaniu jego rehabilitacji. [przypis edytorski]

³³⁵*Daudet, Leon* (1867–1942) — pisarz francuski. [przypis edytorski]

³³⁶*Loubet, Émile François* (1838–1929) — prezydent Francji w latach 1899–1906, współtwórca Ententy. [przypis edytorski]

³³⁷*Rostand, Edmond* (1868–1918) — popularny francuski dramaturg, jego najbardziej znane dzieło to *Cyrano de Bergerac*. [przypis edytorski]

³³⁸*Loia Fuller* — właśc. Marie Louise Fuller (1862–1928) tancerka, choreografka, eksperymentatorka w zakresie oświetlenia sceny. [przypis edytorski]

³³⁹*bitwa pod Sedanem* — stoczona podczas wojny francusko-pruskiej 1 września 1870, zakończona klęską armii francuskiej i pojmaniem cesarza Napoleona III, co doprowadziło do końca tzw. Drugiego Cesarstwa. [przypis edytorski]

³⁴⁰*Mucha, Alfons Maria* (1860–1939) — czeski malarz, grafik i plakacista, przedstawiciel secesji; projektant czeskiego godła państwowego. [przypis edytorski]

³⁴¹*birbantka* (daw.) — tu: hulanka, pijatyka. [przypis edytorski]

³⁴²*incognito* — w tajemnicy, nie ujawniając własnej tożsamości. [przypis edytorski]

już niebezpieczne szaleństwo. Szoferzy w futrach jak Eskimosi, dla ochrony przed zimą, jakie *musi* wytwarzać tak zawrotna szybkość! Książę Walii, zawsze na czele ruchu, puszcza się w swoim komicznym dzisiaj pudle aż do... Wersalu, przewalczając uprzedzenie ludzi wytwornych, którzy, z wysokości swoich zaprzęgów, z pogardą patrzą na ten demokratyczny surogat³⁴³ konia. Brody i wąsy. Emil Zola, z brodą, na ciężkim rowerze, w spodniach zapiętych na sprzączki u dołu. Pierwsze entuzjazmy dla boksu. Napływ zagranicznej literatury: Ibsen³⁴⁴, Dostojewski³⁴⁵, Hauptman³⁴⁶, Bjornson, Kipling³⁴⁷, Tolstoj³⁴⁸, Nietzsche³⁴⁹. Sukces *Quo Vadis*. Domowe lwy Sary Bernhard³⁵⁰. Mody do konnej jazdy: cylinder, czarny surdut, długie spodnie. Mody kobiece: długie suknie z pasmateriałami, wielkie upierzone kapelusze. Salony „gdzie się rozmawia” i gdzie pani domu udziela kolejno głosu sławnym ludziom, nie pozwalając im gawędzić na stronie. Arystokratyczne kluby bojkotują republikę. Obżarstwo: Morand przytacza *menu* z piętnastu potraw, w którym, w odstępach kilku dań, *dwa razy* figuruje *pularda*³⁵¹ w różnej postaci. Urywek rozmowy o kobiecie: „Ile ona może mieć lat? — Trzydzieści pięć. — Jeszcze ładna na swój wiek”.

Autor sądzi ów rok 1900 bez synowskiej czułości. Epoka wydaje mu się niedorzeczna, płaska, bez gustu, śmieszna...

I kończy apostrofą pod adresem ojców: „Czemuście byli tacy? Czemuście tyle jedli i pili, że my dziś mamy podagrę³⁵²? Czemuście przy lada okazji pokazywali zęby i przekazali nam wojnę? Czemuście byli tacy brzydacy, tacy bogaci, tacy szczęśliwi?”...

Czytałem tę zabawną i żywą książkę ze szczególnym uczuciem. Bo 1900, to był właśnie rok mego pierwszego poznania się z Paryżem. Przybyłem tam w grudniu. Było już po Wystawie, ale budynków nie zdążono jeszcze rozebrać, nie wszystkie przynajmniej. Jeszcze stała ta brama wchodowa, którą Morand uważa za model szpetoty. Fantastyczna osada z drzewa i stiuku³⁵³ ciągnęła się wzdłuż Sekwany, opustoszała, zczerniała, kruszejąca w gruzy. Lubilem jeździć w stronę Trocadero na imperialce tramwaju i patrzeć na to umarłe miasto. Pokazano mi kawiarnię przy *Boul'Mich'*, gdzie, wedle tradycji, siadywał Oskar Wilde³⁵⁴, który umarł miesiąc wprzód, zapomniany, wzgardzony, on, bożyszczce Paryża sprzed kilku lat. Oglądałem na Polach Elizejskich tę defiladę powozów, strojów, kobiet, brałem udział w tych samych wydarzeniach, oddychałem tą atmosferą. Jak? — zaraz wytłumaczę.

To fakt, że książka ta żyje bardziej może dla mnie, niż dla niejednego Francuza, który ją czyta dzisiaj. Pisz Morand: „Pytam na chybił trafił dzisiejszych młodych ludzi; za-

³⁴³*surogat* — tu: namiastka. [przypis edytorski]

³⁴⁴*Ibsen, Henryk* (1828–1906) — dramaturg norweski. Początkowo tworzył utwory oparte na motywach historycznych, legendach i sagach skandynawskich, później podjął tematykę społeczno-obyczajową w duchu realizmu i naturalizmu oraz symbolizmu. Dzieła: *Grób Hunów*, *Nora czyli dom lalki*, *Dzika kaczka*. [przypis edytorski]

³⁴⁵*Dostojewski, Fiodor Michajłowicz* (1821–1881) — rosyjski powieściopisarz, uznany za mistrza realistycznej i psychologicznej prozy. Dzieła: *Zbrodnia i kara* (1866), *Idiota* (1868), *Biesy* (1871–72), *Bracia Karamazow* (1879–80). [przypis edytorski]

³⁴⁶*Hauptman, Gerbard* (1862–1946) — pisarz niemiecki związany z Dolnym Śląskiem, laureat Nagrody Nobla w r. 1912. [przypis edytorski]

³⁴⁷*Kipling, Joseph Rudyard* (1865–1936) — angielski pisarz i poeta, laureat Nagrody Nobla w roku 1907, autor m. in. *Księgi dżungli*. [przypis edytorski]

³⁴⁸*Tolstoj, Lew* (1828–1910) — rosyjski prozaik, dramaturg, myśliciel, krytyk literacki, publicysta. Jego dzieła wywarły duży wpływ na literaturę światową i rozwój myśli moralnej na początku XX wieku. Jeden z najwybitniejszych realistów, łączył wnikliwą obserwację z prezentacją własnych poglądów. [przypis edytorski]

³⁴⁹*Nietzsche, Fryderyk* (1844–1900) — niemiecki filozof, filolog klasyczny, pisarz. Krytykował chrześcijaństwo oraz kulturę zachodnią. Głównymi hasłami wywoławczymi poglądów Nietzschego są: apollińskość i dionizyj-skość, teoria wiecznego powrotu, ideał nadczłowieka, nihilizm i śmierć Boga. [przypis edytorski]

³⁵⁰*Bernhard, Sara* — właśc. Henriette Rosine Bernardt (1844–1923), francuska aktorka o międzynarodowej sławie. [przypis edytorski]

³⁵¹*pularda* — młoda, celowo utuczona kura. [przypis edytorski]

³⁵²*podagra* — choroba, której objawem jest pogrubienie stawu dużego palca u nogi i ograniczenie jego ruchów oraz napadowe bóle i obrzęk. [przypis edytorski]

³⁵³*stiuk* — rodzaj szlachetnego tynku, używanego do wyrobu rzeźb i sztukaterii. [przypis edytorski]

³⁵⁴*Wilde, Oscar* (1854–1900) — irlandzki poeta, dramaturg, pisarz modernizmu o wyjątkowo różnorodnym dorobku: od bajek dla dzieci, przez dramat biblijny *Salomé*, lekkie sztuki salonowe, powieść symboliczną *Portret Doriany Greya*. [przypis edytorski]

den z nich nie słyszał o Pelletanie³⁵⁵, o Marcelu Hébert³⁵⁶, o Andrém”. Tymczasem dla mnie wszyscy ci ludzie, wszystkie te wypadki, to coś bardzo bliskiego. Jakim cudem? Obcy wówczas w Paryżu, wyzuty ze światowych możliwości, daleki od wszelkich — jakże zamkniętych — paryskich środowisk, skąd mi się bierze ta poufałość? — Przez... piosenkę. Oto jedna ze specjalności Paryża, rzecz nie spotkana nigdzie. Kto żył się z ówczesną piosenką, mógł znać wszystko: ludzi, wydarzenia, plotki; mógł być wtajemniczony w najpoufniejsze wypadki Paryża, zaciągać się jego powietrzem. Do tego stopnia, że dziś, czytając tę na wskroś paryską książkę Moranda, mam wrażenie rewii rzeczy doskonale znanych.

Tak, to sprawa *piosenki paryskiej*, tej uroczej kroniki dnia, która chwyta na gorącym uczynku wielkie i małe wydarzenia, elektryfikuje je rytmem, uskrzydla melodią. Wszystko! Wojna burska i noc poślubna Artura Meyer z prawniczką wielkiego Turenusza; i bankiet-*monstre* merów Francji (*Nos péres, messieurs, ont pris la Bastille, et nous, messieurs, nous prendrons le café...*³⁵⁷) i prezydent Loubet inaugurujący Wystawę; i pożegnanie księcia Walii, gdy został Edwardem VII-ym, głośna premiera czy podróż balonem... Nie potrzeba zaglądać do gazety; ma się w piosence wszystko, i więcej jeszcze. Któż by w istocie pamiętał dziś generała André i jego antyklerykalną kampanię w wojsku, zakończoną policzkiem Syvetona? Nikt, z wyjątkiem tych moich rówieśnych³⁵⁸, którzy przyswajali sobie historię Francji — publiczną i poufną — w rytmach piosenki. Ci nie tylko wiedzą, kto był Pelletan, ale i wiedzą, że ten minister miał wstręt do mydła; i że aktorka Jeanne Bloch była osobką nieprzeciętnej tuszy; i że wódz antysemityzmu Drummont był ludzako podobny do Żyda; że powieściopisarz Jean Lorrain miał w miłości nieco specjalne gusty, i że prezydent Loubet był z Montelimar, ojczyzny nugatów, i wiedzą, co zabił na oficjalnym polowaniu (*Monsieur Loubet a tué un pivert*: słyszę jeszcze ten refren i paradną jego intonację!) i że Deschanel był arbitrem elegancji i jaką mowę wygłosił — odśpiewał — pod kopułą Nieśmiertelnych; i każdorazowy wybór nowego Akademika, i miłostki głośnych aktorek i światowców; i historia wielkiego krawca, który, gdy pani ministrowa potrzebowała nagle sukni, zażądał, jako warunek, Legii honorowej i otrzymał ją; i Derouledę ze swoją wieczną fanfara; i dobrodusznie ośmieszony stary poeta François Coppée; i historia „satyra” w lasku Bulońskim, i podróż ministra Delcasse do Włoch; i... mógłbym długo wyliczać zdarzenia, o których nikt już nie pamięta. — Bo niech nikt nie przypuszcza, że wystarczy mieszkać w Paryżu, aby wiedzieć, co się w nim dzieje. Przypomniał mi to żywo jeden epizod z książki Moranda, mianowicie słynny w owym czasie *Fort-Chabrol*. W domu przy ulicy Chabrol zabarykadował się wódz ligi antysemitycznej, Jules Guerin, którego policja miała aresztować za jakieś polityczne ekscesy. Oświadczył z emfazą, że nie da się wziąć żywcem. Przez żaluzje błysnęły lufy karabinów, załoga składała się z czterdziestu ludzi, w piwnicy były zapasy żywności na kilka miesięcy — samej wody mineralnej 2000 butelek — ambulans, drukarnia. Policja była bezsilna; cały Paryż bawi się tą farsą, pielgrzymuje pod *Fort-Chabrol*; rząd nie chce użyć siły, aby nie drażnić; i trwa to przeszło miesiąc, i właściwie nie co innego skłoniło Guerina do poddania się, tylko to, że publiczność znudziła się zabawką i przestała się nim interesować.

Oczywiście historia tego *Fort-Chabrol* zapełniała co dzień wszystkie dzienniki europejskie (krakowskie także), wszędzie o tym pisano, mówiono, był to w istocie — jak na owe spokojne czasy — fakt dość niezwykły. Naturalne jest, iż, po przyjeździe do Paryża, jednym z pierwszych moich pytań był *Fort-Chabrol*: jakże byłem zdziwiony, że gospodarz mego hotelu w ogóle o tym zdarzeniu nie słyszał! Zrozumiałem wówczas to, co mówiono mi później nieraz, że Paryż jest nie tylko bardzo wielkim miastem, ale że to wielkie miasto składa się z wielu miasteczek, z których każde żyje własnym życiem.

Wróciłem z Francji do Polski z końcem marca r. 1901. Zastałem Kraków oszołomiony premierą *Wesela* Wyspiańskiego, która odbyła się przed tygodniem. I kiedy czytam sąd Moranda o roku 1900 i przymierzam go do tej samej doby u nas, odczuwam różnice.

³⁵⁵ *Pelletan* — prawdop. André Pelletan (1848–1909), uczonec francuski, bądź jego brat Camille Pelletan (1846–1915), dziennikarz i polityk. [przypis edytorski]

³⁵⁶ *Hébert, Marcel* (1851–1916) — filozof francuski, zajmujący się zagadnieniem religii. [przypis edytorski]

³⁵⁷ *Nos péres, messieurs, ont pris la Bastille, et nous, messieurs, nous prendrons le café...* (fr.) — Nasi ojcowie, panowie, wzięli [szturmem] Bastylię, a my, panowie, bierzemy kawę. [przypis edytorski]

³⁵⁸ *rówieśnych* — tutaj w znaczeniu rówieśników. [przypis edytorski]

Zapewne, wiele z tych rzeczy brzydkich i śmiesznych mieliśmy i my; a tych, których nie mieliśmy w ogóle, znalazłoby się jeszcze więcej. Ale przynajmniej nie da się powiedzieć, aby zadowolony z siebie, syty i sentymentalny burzuj był dla nas symbolem owej epoki. Nie pozwoliły nam na to warunki; — niestety, czy na szczęście?... I w niczym może ta inność nie występuje tak plastycznie, jak w tych dwóch niemal równoczesnych premierach, paryskiej i krakowskiej: *Orlątko* i *Wesele*...

JUBILEUSZ *Słówka*

Kiedy się okazało, że *Słówka* znów, jak co parę lat, są na wyczerpaniu i że trzeba pomyśleć o ich przedruku, zafrasowałem się³⁵⁹ nieco. Uczucie to miałem przy paru ostatnich wydaniach. Miałem świadomość, że trzeba by coś zrobić, coś przewietrzyć, przebrać, przesiać przez sito, że sporo już w tej książeczce jest rzeczy niezrozumiałych dla publiczności. Ale po namyśle zmieniłem zamiar. Niech zostanie wszystko, jak było: właśnie takie *Słówka* jak są mogą być dokumentem chwili, miejsca i okoliczności, które je wydały i od których nie da się ich oderwać. Raczej należałoby opatrzyć rzecz jakimś komentarzem, mniej lub więcej „historycznym”. Tak szybko życie nasze zmienia się dziś w historię... Sposobność nastręcza się bodaj i dlatego, że wydanie niniejsze schodzi się z datą jubileuszową, a wszak jubileusz to moja słabość. W jesieni 1930 upłynęło dwadzieścia pięć lat od powstania *Zielonego Balonika*. Wprawdzie *Słówka* to nie jest *Zielony Balonik* — w każdym razie nie całe *Słówka* — ale geneza ich jest ściśle z tą wesołą instytucją związana.

Kusiłoby mnie tu napisać monografię pierwszego „kabaretu” artystów, ale na to nie starczy miejsca. Trzeba by wprzód podmalować tło dawnego Krakowa, tej jedynej w swoim rodzaju maleńkiej stolicy; pokazać te stare mury, te wąskie ulice, jesienią i zimą tonące w lepkiem błocie, lichy oświetlone, wczesnym wieczorem puste, bez ruchu, nie dające żadnej strawy młodzieńczemu głodowi wrażeń; nabożeństwa majowe i pasterki w mrocznych, przesyconych zapachem kadzideł kościołach jako surogat³⁶⁰ erotycznych przeżyć; dewocje, sodalicje, sutanny, św. Wincenty a Paulo, matrony o tłustych lub kościstych rękach, czarne mantyle³⁶¹, dobroczynne hrabiny z ich cudzoziemską polszczyzną, a często polską francuzczyzną, wędnące pannice w oczekiwaniu na męża latami oprowadzane przez matki po „plantach”; obchody, pogrzeby, linia A — B, lejtanci, handelki, pilzner³⁶², i bryndza, bryndza, bryndza...

W tym historycznym mieście wszystko było historyczne. Gdy w Warszawie wrzała walka około pozytywizmu i postępu, w Krakowie terenem jej były retrospektywne spory o... rok 1863. Na obchody jedni kładli kontusze, drudzy przeciwstawiali im czamary³⁶³. Gdy w kościele ci intonowali *Boże coś Polskę*, tamci przekrzykiwali ich śpiewem *Z dymem pożarów*. Ale nam malcom wszyscy kazali śpiewać: „Przy Cesarzu mile władza Cesarzowa pełna łask”...

Mówię tu oczywiście o bardzo dawnym Krakowie, z epoki mojej ławy szkolnej; a mówię o nim dlatego, że ta rozpaczliwa młodość zaciężyła na całej naszej generacji. Szkoła trzymała nas zresztą jak pod brudnym kloszem, spod którego nie widziało się świata. Nie dawała nic, nawet tego ucisku, który rodzi bunt i mocne podziemne życie. Ot, rośliśmy, młodzi durnie, kując gramatykę grecką i stękając *Ode do młodości*. Jako wyzycie się fizyczne — ślizgawka, kilkanaście razy do roku; jako nasycenie romantycznego głodu — przyglądanie się „facetkom”, wychodzącym w niedzielę ze mszy u Kapucynów.

Było coś chorowitego w ówczesnym Krakowie, z jego nienaturalnie rozdętą głową na małym korpusie. Można by ówczesny jego symbol widzieć w anachronicznie „hetmańskiej” głowie na małym ciałku hrabiego Stanisława Tarnowskiego, wielokrotnego rektora uniwersytetu i prezesa Akademii. Ten papież dawnego Krakowa trzymał rękę na wszystkim i wszystko naginał do katechizmu grzecznych dzieci: profesor literatury, który

³⁵⁹zafrasować się (daw.) — zasmucić się, zmartwić. [przypis edytorski]

³⁶⁰surogat — tu: namiastka. [przypis edytorski]

³⁶¹mantyla — damska pelerynka z jedwabiu lub szal z koronki na głowę i ramiona. [przypis edytorski]

³⁶²pilzner — gatunek jasnego piwa. [przypis edytorski]

³⁶³czamara — długie męskie okrycie wierzchnie, podszyte futrem, funkcjonowała jako symbol ruchu powstańczego. [przypis edytorski]

później jeszcze, w epoce Przybyszewskiego³⁶⁴, Wyspiańskiego³⁶⁵, Kasprowicza³⁶⁶, dąsał się na nich, przeciwstawiając im Rydla³⁶⁷; któremu Litka z *Rodziny Połanieckich* wydawała się nie dość dobrze wychowana; który po ukazaniu się tomu poezyj Kazimierza Tetmajera, pytał: „co by powiedział pan Tetmajer, gdyby ktoś, przejąwszy się jego hasłami, oblał naftą kościół mariacki i podpalił?”

Zabawna figura, powie ktoś. Ale wówczas to nie było zabawne. Bo koteria³⁶⁸, której szczytowym punktem był „Szlak” (pałac Tarnowskiego), skupiała całkowitą i bezwzględną władzę. Miała niedwuznaczny wpływ na rząd, którego każdorazowy „delegat” był na jej usługi; obsadzała (gdy chciała) starostów; miała mandaty dzięki systemowi kurialnemu; miała w rękę Wydział krajowy i Radę Szkolną; kler i banki; *Floriankę* i *Zachętę*; miała wpływ na wszystkie instytucje, obsadzała swoimi ludźmi uniwersytet, trzymała za łeb Akademię i wszystko, co się z nią wiązało w postaci nagród, stypendiów, podróży. Dla grzecznych dzieci były wszystkie ciasteczka, krnąbrnym groził absolutny post.

Dodajmy do tego osobisty *prestige* tej kasty. W małym Krakowie, który w epoce, gdy ja chodziłem do szkół, miał mało co ponad 50. 000 mieszkańców, nie było przemysłu, handlu, finansów; nie było nic, co by się mogło przeciwstawić tej sile społecznej. „Arystokracja” — często dość samozwańcza — była zarazem plutokracją³⁶⁹ w tym ubożuchnym mieście: ona bywała za granicą, znała świat, miała powozy, strojne kobiety, salony. Miała, w swoich najlepszych egzemplarzach, rzetelną kulturę; ich malował Matejko³⁷⁰, im przygrywała księżna Czartoryska, uczennica Szopena, ich bawił dowcipem znakomity Kazimierz Morawski, dla nich błaznował niewysłowiony ksiądz Pawlicki³⁷¹. Tak więc, kasta ta miała wszystkie środki władania duszami i nigdy może władza nie była tak kompletna. Bo cóż mogło przeciwstawić tylu splendorom zahukane „miasto”? Chyba pocieszna bałuczczyzna swoich *domów otwartych*...

Nie chcę tu popełniać niesprawiedliwości. Bardzo być może, że ówczesny Kraków nie byłby się mógł zdobyć na nic innego i że byłby jeszcze mizerniejszą miasteczką bez tej „śmietanki”, w której pływało zresztą kilkunastu istotnie wartościowych ludzi. Ale faktem jest, że ta przewaga, w połączeniu z wpływami Tow. Jezusowego, zanurzała ów dawny Kraków w letniej wodzie „dobrze myślącej” martwoty. To była epoka, w której dosłownie nie było młodzieży; w której dwudziestoparoletni ludzie byli rozsądni, ograniczeni i — mierni.

To wszystko trzeba by pokazać. Trzeba by dalej w owym szkicu nakreślić, jak w owej martwocie zbudziło się nowe życie: jak wtargnęło w ten cichy pański folwarczek, jak nastąpiła doba „renesansu”, jak nagle Kraków stał się miastem na które zwróciły się oczy całej Polski. Teatr, malarstwo, rzeźba, literatura, polityka, cyganeria... Szczęśliwym zbiegiem zeszło się kilka faktów, spotkało się kilka indywidualności. Otwarcie nowego teatru, Pawlikowski³⁷². Przemiany w szkole sztuk pięknych i napływ nowych sił (zwłaszcza Stanisławski³⁷³); przyjazd Przybyszewskiego w momencie przesilenia w założonym przez Szczepańskiego³⁷⁴ „Życiu”; wreszcie Wyspiański... Z drugiej strony, na innej płaszczyz-

³⁶⁴Przybyszewski, Stanisław Feliks (1868–1927) — poeta, dramaturg i skandalista, redaktor krakowskiego pisma „Życie”. Postać ważna także dla literatury niemieckiej, dzięki pisanim w młodości poematom prozą, później przetłumaczonych na polski. [przypis edytorski]

³⁶⁵Wyspiański, Stanisław (1869–1907) — poeta, artysta plastyk, najwybitniejszy dramaturg polskiego modernizmu, autor m. in. *Wesela* i *Wyzwolenia*. [przypis edytorski]

³⁶⁶Kasprowicz, Jan (1860–1926) — poeta, krytyk literacki, dramaturg, profesor Uniwersytetu Lwowskiego, tłumacz. W twórczości związany był z kilkoma nurtami młodopolskimi: od naturalizmu (*Z chłopskiego zagonu*), przez symbolizm, katastrofizm i ekspresjonizm (*Hymny*) do prymitywizmu (*Księga ubogich*). [przypis edytorski]

³⁶⁷Rydel, Lucjan (1870–1918) — poeta i dramaturg, działacz kulturalny, tłumacz, autor m.in. baśni scenicznej *Zaczarowane koło* (1900). [przypis edytorski]

³⁶⁸koteria — grupa wzajemnie popierających się osób, działająca w określonym celu. [przypis edytorski]

³⁶⁹plutokracja — warstwa ludzi bogatych i dlatego wpływowych. [przypis edytorski]

³⁷⁰Matejko, Jan (1838–1893) — malarz, autor obrazów o tematyce historycznej, dyrektor i wykładowca Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie. [przypis edytorski]

³⁷¹Pawlicki, Stefan Zachariasz (1839–1916) — ksiądz, filozof, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego. [przypis edytorski]

³⁷²Pawlikowski, Tadeusz (1861–1915) — dyrektor Teatru im. Słowackiego w latach 1893–1899 i 1913–1915, później teatru lwowskiego. [przypis edytorski]

³⁷³Stanisławski, Jan (1860–1907) — malarz, wykładowca krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. [przypis edytorski]

³⁷⁴Szczepański, Ludwik (1872–1954) — literat, dziennikarz i publicysta, w r. 1897 założył czasopismo „Życie”. [przypis edytorski]

nie, działy się znamienne rzeczy: pierwsze procesy polityczne młodzieży o socjalizm (a także o „symbolizm, dekadentyzm i inne prądy wywrotowe”, jak brzmiał w jednym takim procesie prokuratorski akt oskarżenia), potem Daszyński³⁷⁵, młody walczący ruch odświeżający stęchłą galicyjską politykę. Zarazem coraz gęściej napływał do Krakowa element młodzieży zmuszonej opuszczać Warszawę, co zwłaszcza w r. 1905 stało się masowym zjawiskiem.

Rzecz osobliwa: właśnie w tym dramatycznym roku 1905 powstał *Zielony Balonik*. Przypadek? Nie sędzę. Mimo że wyda się to paradoksem, bardzo być może, że właśnie ów dreszcz, jaki wznieciły wypadki warszawskie³⁷⁶, spowodował tę nieoczekiwaną reakcję. *Blut ist ein ganz besondrer Saft*³⁷⁷, jak powiada Goethe. Jedna tylko istnieje rzecz stała: energia; natomiast transmisje jej i wędrówki podlegają najosobliwszym kaprysom.

Zielony Balonik był „kropką nad i” przeobrażenia starego Krakowa; był niby ową małą farsą, jaką niegdyś w dawnym teatrze grywano po pięcioaktowej dramie. Czerpał soki z wszystkich owych spraw, które się rozegrały w artystycznym światku Krakowa w poprzedzającym go dziesięcioleciu.

Znamienne rzeczą jest, że *Zielony Balonik* był pierwotnie pochodzenia malarskiego raczej niż literackiego, narodził się przy „stoliku malarskim” w kawiarence opodal Akademii Sztuk Pięknych. Bo też przemiana, jaka się dokonała w świecie malarskim, była najbardziej dotykalna. Przedtem, na schyłku życia Matejki, panował w tej uczelni malarskiej też swojego rodzaju terror, terror genialnej, ale zamkniętej w sobie indywidualności. Gdy z Zachodu szły już nowinki o *plenerze*, o słońcu, impresjonizmie, w szkole były wciąż gipsy i draperie, i historyczne „kobyły” epigonów Matejki. Ci, którzy rwali się do pejzażu, do natury, kryć się niemal musieli przed Mistrzem. Naraz — zupełna zmiana. Słońce i powietrze w miejsce brudnych pracownianych „sosów³⁷⁸”; zamiast Monachium³⁷⁹ Paryż, koleżeńska swoboda w miejsce dystansu i uszanowania.

Paryż! To czarodziejskie miasto coraz bardziej stawało się wówczas celem tęsknot. Przedtem, gdy malarze jeździli nagminnie do Monachium, intelektualiści wędrowali do Lipska, do Berlina, do Heidelberga. Bohater sztuki Kisielewskiego³⁸⁰ *W sieci* marzy o... Zurychu, ale sam Kisielewski w parę lat potem przybywa do Krakowa już z Paryża. Coraz więcej młodych tam śpieszy. Czy nie z Paryża, tego buntowniczego miasta, powiała na Kraków szczęśliwa fala nieuszanowania?

Nie będę tu powtarzał tego, co gdzie indziej opowiadano o organizacji tego „kabaretu” i jego dość nielicznych zresztą manifestacjach, które w ciągu kilku lat odbywały się, zachowując charakter raczej towarzyski niż widowiskowy. Nie było tam właściwie rozdziału między estradą a salą, między dostawcami a odbiorcami zabawy; piosenkarz bywał nieraz redaktorem intencji całej grupy. Gdyby obecny „jubileusz” *Zielonego balonika* mógł zgromadzić wszystkich jego weteranów, zasiadłoby u stołu kilku dzisiejszych dyrektorów teatru, kilku czołowych publicystów, sporo wybitnych ludzi w różnym zakresie, no i zatrząsienie tęgich malarzy i rzeźbiarzy, dziś profesorów, rektorów, laureatów. Ta mała, setkę osób zaledwie licząca salka „Jamy Michalikowej³⁸¹”, była naładowana elektrycznością. Było coś radosnego w tej maleńkiej biesiadzie wszystkich sztuk, w tym misterium duchowej wolności, było jakieś zbawcze odprężenie dziesiątków lat zakrzepłej żaloby, frazesu, celebry, załgania. To też ten wybuch śmiechu, jaki poszedł na całą Polskę, miał energię większą, niżby pozwalał wnosić drobny krąg zdarzeń, z których się urodził. Bo oto minęło ćwierć wieku, a wciąż jeszcze zdaje się, że ten nabój śmiechu raz po raz eksploduje. Ile i jak oddziałał na formy naszego nowego życia, nie moją rzeczą robić bilans; może bardziej, niż się niejednemu buchalterowi literatury wydaje.

³⁷⁵ Daszyński, Ignacy (1866–1936) — polityk socjalistyczny, działacz PPS, marszałek Sejmu. [przypis edytorski]

³⁷⁶ *wypadki warszawskie* — mowa o tzw. rewolucji 1905 roku. [przypis edytorski]

³⁷⁷ *Blut ist ein ganz besondrer Saft* (niem.) — krew jest całkiem szczególnym sosem (bądź: paliwem). [przypis edytorski]

³⁷⁸ *sos* — tu przen.: brudna, przygaszona i ujednolicona kolorystyka. [przypis edytorski]

³⁷⁹ *Monachium* — w Monachium mieściła się słynna Akademia malarska, znana z tradycjonalizmu. [przypis edytorski]

³⁸⁰ *Kisielewski, Jan August* (1876–1918) — dramaturg i krytyk teatralny, autor m. in. sztuk *Karykatury* i *W sieci*. [przypis edytorski]

³⁸¹ *Jama Michalika* — cukiernia A.J. Michalika, miejsce spotkań kabaretu *Zielony Balonik*. [przypis edytorski]

I *Balonik* nie uniknął wszakże losu, który groził wszelkim krakowskim poczynaniom: znów ta duża głowa na małym tułowiu! Wszystko można było w Krakowie zmienić, ale nie to, aby przestał być małym, zabiedzonym miasteczkiem, w którym się „nic nie działo”. Mieliśmy ostre zęby, nie bardzo mieliśmy co gryźć. Ówczesne życie galicyjskie było tak mizerne... To, co było w sferze teatru, sztuki, literatury, ogryźliśmy do kostki. Zbiorowy a bezinteresowny wysiłek zmontowania — na raz jeden, bo każdy wieczór był tam premierą — nowego programu przychodził organizatorom coraz ciężiej, wieczory *Balonika* stawały się co rok rzadsze.

Co do mnie, odczuwałem to dotkliwie. Miałem już trzydziestkę, kiedy zabłąkałem się do *Balonika*, byłem od lat kilku lekarzem, asystentem kliniki, mordowałem się nad pracą habilitacyjną, jako że szanujący się człowiek nie mógł zostać w Krakowie czym innym, jak profesorem uniwersytetu... Gdyby nie *Balonik*, męczyłbym się z pewnością całe życie w fałszywie obranym zawodzie, nigdy nie dowiedziałbym się o swym istotnym powołaniu. Ale od czasu, jak mnie ono nawiedziło, męczyłem się inaczej. Byłem jak mamka, która ma za dużo pokarmu. Wstrzymany tak długo zmysł pisania rozpierał mnie: skąpe okazje wieczorów *Balonika* nie zaspakajały go, pisać zaś wiersze tak, bez okazji, jakoś mi było głupio. Stary koń, lekarz, kandydat na docenta... To mnie pchnęło w dwóch kierunkach. Z jednej strony, instynktem samozachowawczym zwróciłem się ku przekładom, które zaspakajały bodaj formalną potrzebę tworzenia. Polski Molier, Rabelais, Villon, urodzili się z piany *Zielonego Balonika*. Z drugiej strony zaczęły się lęgnąć we mnie wiersze, jakies inne, bardziej osobiste, których wydawanie na świat połączone było z pogwałceniem wrodzonej mi wstydlivosti ducha. To są inne *Słówka*, nie kabaretowe, zabłąkane tu między tamte, zahukane i cokolwiek onieśmielone tym towarzystwem. Mało też kto je zauważył... Ale to uczucie zawstydy stawało się coraz bardziej przykre, tak że wkrótce zacząłem się bronić tym napadom. Niebawem przemiana warunków naszego życia otwarła nowe możliwości i dała mi możność wypowiedzenia się w sposób nie tak upokarzający, jak pisanie wierszy. *Słówka* się skończyły.

Poeta

Poza tym, nie wydaje mi się, abym się odmienił zbyt. Sposób, w jaki tymi *Słówkami*, ćwierć wieku temu, na ciemnym rogu ulicy Floriańskiej, poznałem się z literaturą, wycisnął piętno na całej mojej karierze pisarskiej. Jak wówczas, tak i dziś jeszcze wszystko wydaje mi się w niej zabawną i niespodzianą przygodą. I tak samo, jak po pierwszym tomie moich wierszyków czytałem w pierwszej w ogóle jaką miałem w życiu „recenzji” takie dusery³⁸², jak „nikczemniały drab” — „zwyrodniały głuptas” — „szarganie świętości” — tak czytuję mniej więcej to samo i dziś. Tylko już za co innego: *Słówka* stały się tymczasem nietykalne, czcigodne, weszły niemal w program szkolny. Niechże ten krótki wstęp naukowy posłuży kochanym malcom, pocącym się nad wypracowaniem: „*Słówka* Boya na tle epoki”, albo „*Krzywa humoru Boya na zasadzie chronologii Słówek*”.

Nie poprzestając na tym ogólnym komentarzu, dodałem do nowego wydania *Słówek* przypisy, z objaśnieniem zawilszonych miejsc. Wyznaję, iż sporządzenie nie przyszło mi bez trudności; wielokrotnie dawał mi się we znaki mój niedostatek metody naukowej. Staralem się robić jak najlepiej; jako niedościgły wzór przyświecał mi ów szanowny profesor-polonista, który (kilkanaście lat temu) w „krytycznym” wydaniu dzieł Słowackiego wiersz z *Grobu Agamemnona* „tu cząbry smutne gór spalonych pachną” opatrzył następującym objaśnieniem: „Comber, pieczeń sarnia lub cielęca”. Było z tego dużo śmiechu; ostatecznie, wydawca musiał wycofać tom i przedrukować kartkę. Temu to królówi mimowolnych humorystów naukowych niniejsze pierwsze „krytyczne” wydanie *Słówek* poświęcam.

EKONOMIA MIŁOSNA

Jednym z najczęściej powtarzanych komunałów jest, że światem rządzą głód i miłość. Henryk Sienkiewicz idzie jeszcze dalej w swoim panseksualizmie, zastanawiając się „jakim szalonym paradoksem wydałoby się takiemu Bismarckowi, gdyby mu ktoś powiedział, że

³⁸²duser — komplement. [przypis edytorski]

ostatecznym i jedynym celem jego zabiegów jest to, by usta Hermana spoczęły na ustach Dorotei”. Aby przybliżyć sobie ten aforyzm, możecie zmienić Bismarcka na Piłsudskiego.

Otóż jeżeli przyjmujemy równorzędność tych potęg — głodu i miłości — uderza nas nierównomierność w ich traktowaniu. Najtęższe głowy świata porają się³⁸³ wciąż ze sprawą głodu. Cała nauka zwana ekonomią jemu jest poświęcona. Pałaca sprawa bezrobocia — to przede wszystkim sprawa głodu. Świadczenia społeczne, polityka kolonialna itd., to sprawa głodu. Niepokój w całym świecie wywołuje sytuacja, gdy w jednym miejscu kuli ziemskiej marnuje się nadmiar produktów żywności, podczas gdy gdzie indziej ludzie cierpią głód. Zgrozę budzi w nas wszystkich wiadomość o utopionych w morzu czy spalonych iluś tam tonach zboża, o niewykopanych kartoflach.

Jakże inaczej przedstawia się sprawa miłości. Nie twierdzę, aby o niej nie pisano; o, nie! Ale wydano ją wzgardliwie na łup poetom i powieściopisarzom; to wydział beletrystyki. Tę jedną z dwu sił rządzących światem socjologia zaledwie że dostrzega. Tym kapitałem nawet Marks³⁸⁴ się nie interesował.

Zaznaczam, że nie mówię tu o miłości romantycznej, indywidualnej, ale po prostu o miłości w znaczeniu fizycznego nakazu. Rozmyślnie chcę być pospolity.

Otóż jeżeli w ostatnich czasach wydaje się nam obłąkanym paradoksem niszczenie zboża gdy równocześnie ktoś cierpi głód, jakże nam się przedstawi wiekowa gospodarka miłosna? Niszczenie olbrzymich kapitałów miłości, przy równoczesnym palącym jej głodzie, było normalnym zjawiskiem. I o ile, przy środkach żywności, mogą służyć za wytłumaczenie trudności transportu, nierównowaga środków płatniczych, tutaj te dwie rzeczy — nadmiar i głód — mogły znajdować się tuż, obok siebie, i nie tylko nikt nie pomagał im do wyrównania się, ale — zdawałoby się — cała troska społeczeństw mierzyła ku temu, aby wyrównaniu przeszkodzić.

Weźmy klasyczny przykład z niedawnej przeszłości. Był młody chłopiec, przypuśćmy dwudziestoletni. Od możliwości małżeństwa dzielił go długie lata studiów, zmagania się z życiem. Biorąc społecznie, jest smarkaczem; co nie przeszkadza mu odczuwać w całej pełni głód miłosny. Gdzie, jak go zaspokoi? Społeczeństwo wzrusza ramionami, nie daje żadnej odpowiedzi.

W tym samym domu, przypuśćmy, mieszka kuzynka młodego człowieka, dorodna pannica trzydziestopięcioletnia. Za mąż — to było wówczas wiadomo — już nie pójdzie; jest przypieczętowana. Społeczny nieużytek. Dziewictwo uderza jej na mózg, głód miłości skręca jej kiszki.

Oto dwoje ludzi, z których każdy ma nadmiar tego, czego potrzebuje drugi. Wedle zasad ekonomii, typowe warunki do wymiany.

A rezultat tych dwóch głodów — głodów i nadmiarów razem? Najopłakańszy. Chłopiec szedł do domu publicznego, gdzie plugawił pierwsze kwiaty uczuć i skąd, prędzej czy później, wynosił cały wianuszek chorób. Dziewczyna tłukła głową o mur, więdła, brzydła, chorowała na nerwy i inne rzeczy, dziwaczała — i tak wlokła swoje śmieszne i bezużyteczne życie. Społeczeństwo wzniosło między nimi niewidzialny, ale potężny mur, strzegący aby nadmiar miłości raczej zgnił, niżby miał nasycić głodnego.

Religia miała na to odpowiedź: grzech. To jest jasne i zrozumiałe. Tu nie ma dyskusji. Ale ciekawsze jest, że nawet te jednostki, te grupy, które wyzwoliły się z formuł religii, przejęły jej bezlitosny stosunek do spraw płci. Weźmy w danej sytuacji ojca rodziny, bodaj wojującego antyklerykała, „masona”: był na tym punkcie równie nieubłagany. Słowo grzech zastąpił pojęciem *honor*; jeszcze bezwzględniejszym, bo grzech zmywa pokuta, ale plamy honoru nie zmywa nic. Honor! „Kiz djabeł go tam umieścił?” — pytał Beaumarchais³⁸⁵ w *Weselu Figara* zwiastującym Wielką rewolucję. Przeszła wielka rewolucja i jeszcze kilka mniejszych, ale w ekonomii miłosnej przez cały w. XIX nie zaszła żadna zmiana; a jeśli zaszła, to na gorsze.

³⁸³ *porać się* (daw.) — zmagać się. [przypis edytorski]

³⁸⁴ *Marks, Karl Heinrich* (1818–1883) — ekonomista, filozof (reprezentant materializmu), zwolennik rewolucji komunistycznej; najważniejszym jego dziełem jest *Kapitał*. [przypis edytorski]

³⁸⁵ *Beaumarchais, Pierre Augustin* Beaumarchais (1732–1799) — francuski komediopisarz; zakupił szlachectwo i dostał się na dwór Ludwika XV; to doświadczenie posłużyło do stworzenia licznych satyr politycznych czy społecznych, np. *Cyrulika sewilskiego* (1775) czy *Wesela Figara* (1784). [przypis edytorski]

Tak, wiek XIX wydaje się w tej mierze monstrualniejszy niż dawniejsze epoki. Tamte były przynajmniej konsekwentne. Np. obyczaj, aby nadmiar córek zawczasu kierować do klasztoru, miał swoją humanitarną logikę. Głos płci sublimował się mistycznie, *wyrzeczenie* było otoczone czcią i poezją, młode dziewczyny wchodziły w społeczeństwo istot podobnych sobie, w rodzaj wielkiego klubu kobiecego. Były zajęte. Życie ich miało cel doczesny i zaziemski³⁸⁶; miało — co najważniejsze — jakiś sens.

Ale jaki sens miało życie „starej panny”, tego produktu mieszczańskiej kultury XIX w.? Odebrać kobiecie naturalny cel życia, nie dać jej nic w zamian, uczynić ją *bezrobotną* w każdym pojęciu słowa, piątym kołem u wozu rodziny, skazać ją na „cnotę” i zarazem tę cnotę ośmieszyć, skazać ją na nieuchronną deformację fizyczną i psychiczną i kazać się jej obnosić z tym wśród ludzi! Inkwizycja wydaje mi się mniej potworną, niż instytucja *starej panny*, takiej, jaka dziś jest niemal mitem, ale której tyle widziałem jeszcze tragicznych egzemplarzy.

A teraz weźmy drugą stronę: owego młodego człowieka. I tu znowuż polityka burżuazyjna XIX w. ileż okazuje ślepoty i obłądy. Przedtem świat opierał się na zasadzie wczesnego małżeństwa, bez mała schodzącego się z dojrzałością płciową. Przy tej zasadzie można było od biedy stawiać ideał przedmałżeńskiej czystości dla mężczyzn. Wiek XIX zmienił to: służba wojskowa, długie studia, powolna kariera opóźniły zakładanie domowego ogniska niemal do trzydziestego roku życia. Dziesięć lat musowego celibatu w dobie najwyższego głodu miłości, toż to fakt społeczny niezmiernie doniosłości! Wyobraźmy sobie taką przemianę stosunków w której ze starożytnych republik: wywołałoby to niechybnie odpowiednie zmiany w instytucjach społecznych; wciąż widzimy w starożytności, jak etyka płciowa zmienia się w pewnych punktach wedle życiowych warunków. Tutaj nie spowodowało to żadnej zmiany. Znowu przejęta z religii wzdarga dla spraw płci nie pozwoliła nawet zauważyć tej ewolucji. Otóż w religii jest to zrozumiałe o tyle, że prawidła, na których się wspiera, są niezmiennie; po wtóre, że cel życia przenoszą na tamten świat. Ale czym tłumaczyć tę obojętność u świeckich prawodawców? Żartowniś mógłby powiedzieć, że prawa robili zawsze starsi panowie, którzy zresztą, z tytułu swego stanowiska, są w położeniu wyjątkowym, ile że zawsze mają do rozporządzenia chmarę ładnych petentek, ta kwestia zatem nie interesowała ich osobiście. Ale faktem jest, że ucisk ascetycznej koncepcji życia, zamykania oczu na sprawy płci, zaciążył na całej demokracji XIX w., odbierając jej wszelką śmiałość i inicjatywę, nie tylko w rozwiązywaniu, ale nawet i w stawianiu sobie pewnych problemów. Odpadki ascezy religijnej w społeczeństwach bez wiary!

Ale asceza to za wielkie słowo; po prostu *prostitutka*, która stała się na wiek cały filarem moralności społecznej, niemal urzędnikiem państwowym. Równocześnie, utrwalając jej nieodzowność, społeczeństwo wdeptało ją w błoto tak głęboko, jak nigdy.

Sądzę, iż nie tak długo nadejdzie czas, gdy obowiązująca jeszcze do dziś urzędowa „ekonomia miłosna” wyda się czymś bardzo potwornym i śmiesznym. Bądź co bądź, przez cały wiek nie było poważniejszych tendencji do jej przebudowania. I charakterystyczne jest, że dzisiejsze próby stworzenia nowej etyki płciowej nawiązują — nie zdając sobie może z tego sprawy — do racjonalizmu wieku XVIII.

Racjonalizm... Nie ma bardziej zdyskredytowanego słowa. Ciekawy kaprys lingwistyczny: przymiotnik miał więcej szczęścia niż rzeczownik. Mówi się z uznaniem: *racjonalna hodowla*, racjonalne wychowanie, racjonalne odżywianie. Ale jako rzeczownik *racjonalizm* jest niemal obelgą. Zawinił w tym może sam racjonalizm, który nadymał się nad stan i robił miny osobistości zdolnej rozwiązać wszystkie tajemnice bytu. Stąd zazwyczaj do „racjonalizmu” dodaje się przymiotnik „ciasny”. Ale to, że racjonalizm okazał się niewystarczającym wytrychem do otwarcia sekretnych zamków wszechbytu, czyż to racja, aby w najbardziej życiowych sprawach uprawiać kult niedorzeczności?

Racjonalizmowi przeciwstawia się często wiarę. Ale gdy chodzi o urządzenia społeczne, przepisy religii były na wskroś racjonalistyczne: są to po prostu stare przepisy obyczajowo-higieniczne. Mojżesz na puszczy był wielkim racjonalistą. I — rzecz osobliwa — wówczas, kiedy oderwały się od rzeczywistości i nie odpowiadają już niczemu, przepisy te stają się najbardziej niewzruszone i święte, jak np. zakaz jedzenia szynki i tysiące innych

³⁸⁶zaziemski — dziś: pozaziemski. [przypis edytorski]

prawideł u Żydów. Racjonalnej dyskusji np. o zapobieganiu ciąży przeciwstawia się jako artykuł wiary historię z Biblii o losach Onana³⁸⁷, zdradzającą czysto racjonalistyczne motywy. Czyli że raczej dzisiejsze mają ustąpić racjonalizmowi racji racjonalnych dla pokoleń z innej części świata, sprzed kilku tysięcy lat. Nie mówilibym o takich dzieciństwach³⁸⁸, gdyby nie to, że one tak bardzo zaciążyły i jeszcze ciążą nad tyloma ważnymi sprawami.

Otóż w momencie, gdy problemy nowej etyki płciowej tak żywo są dyskutowane, przygotowywałem właśnie do nowego wydania tomik drobnych utworów Diderota³⁸⁹ pt. *To nie bajka...* Jest wśród nich jeden dialog: *Przyczynek do podróży Bougainville'a czyli o niewłaściwości łączenia pojęć moralnych z pewnymi czynnościami fizycznymi, które ich nie znoszą*. Utwór — jak wszystkie prawie rzeczy Diderota — nie mógł być wydany za życia autora, krążył w odpisach; napisany w r. 1772, ukazał się w druku aż w 1798. Bardzo zabawna i ciekawa lektura. Można by powiedzieć, że cała argumentacja Russella³⁹⁰ i innych — bo dziś te idee są w powietrzu — znajduje się tam już gotowa. Tak samo jak Russell za punkt wyjścia swojej książki *Matrzymstwo a moralność* bierze spostrzeżenia naszego znakomitego rodaka Malinowskiego³⁹¹ nad cywilizacją dzikich plemion, tak samo Diderotowi dają go doświadczenia współczesnego podróżnika Bougainville'a. W tym świetle Diderot poddaje dowcipnej i wymownej rewizji całą naszą etykę płciową; uwydatnia jej niedorzeczność i złudność, wyradzającą się w monstrum obłudy i okrucieństwa. Ale to, co angielski filozof i logik czyni w systematycznym wywodzie, temperament Diderota dramatyzuje na gorąco w dialogu dzikiego z bawiącym u niego w gościnie kapelanem, zaprawiwszy — sposobem osiemnastowiecznych filozofów — pobyt kapelana w chacie Otajczyków dość drastycznymi epizodami. Warto odczytać próbkę wymowy tego dzikiego: Diderot użyczył mu całej swojej!

„Cóż za potworna sieć niedorzeczności — powiada Oru do kapelana. — A ty jeszcze nie mówisz mi wszystkiego: skoro bowiem pozwolono sobie rozporządzić, wedle swego widzimisię, pojęciami sprawiedliwości, odjąć albo nadać rzeczom dowolny charakter, kojarzyć z pewnymi uczynkami dobro i zło, wypływają stąd niechybnie wzajemne pretensje, zarzuty, podejrzenia, tyrania, zawiść, zazdrość, oszukaństwo, zgryzoty, ukrywanie się, obłuda, szpiegostwo, pułapki, waśnie, kłamstwa. Córki okłamują rodziców, mężowie żony, żony mężów; córki — tak, jestem tego pewny! — będą dusiły własne dzieci; podejrzliwi ojcowie będą lekceważyli i zaniedbywali swoje; matki opuszczają je i zdadzą na łaskę losu, zbrodnia i rozpusta wyłonią się we wszelkiej postaci. Wiem to wszystko, jak gdybym żył wśród was. Tak jest, bo tak musi być; owo społeczeństwo, którego piękny ład mi zachwalasz, musi być zbiorem obłudników, którzy tajemnie depcą prawo, lub nieszczęśliwych, którzy, w swej uległości, stają się sami narzędziem własnej kaźni; głupców, w których zabobon zdławił głos natury, lub niedołęgów, w których natura nie domaga się swoich praw... Wierzaj mi, uczyniliście dołą człowieka gorszą od doli zwierzęcia...

Te osobliwe przepisy wydają mi się sprzeczne z naturą i przeciwne rozumowi; ustanowione po to, aby mnożyć zbrodnie... Przeciwnie naturze, bo przyjmują, że myśląca, czująca i wolna istota może być własnością drugiej. Czy nie widzisz, że pomieszano w twoim kraju rzecz, która nie ma uczucia, myśli, pragnienia, woli, którą się rzuca, bierze, wymienia, bez skargi z jej strony, z rzeczą, której nie da się wymienić ani nabyć, która ma wolę i chęć; która może się oddać lub wzbronić na chwilę, oddać się lub wzbronić na zawsze; która się skarży i cierpi, i którą czynić przedmiotem handlu znaczy przekreślać jej charakter i gwałcić jej naturę? Przepisy te są sprzeczne z ogólnym prawem żywych istot. Czy możesz sobie wyobrazić coś niedorzeczniejszego, niż prawo, które potępia tak naturalną w nas odmianę; nakazuje stałość, do której nie jesteśmy zdolni; gwałci wolność mężczyzny i kobiety, skuwając ich na wieki? Coś szaleńszego niż wierność, która ogranicza najkapryśniejszą z rozkoszy do jednego osobnika; niż przysięga niezmienności, którą wymieniają dwie osoby z krwi i ciała, w obliczu nieba, które nie jest ani przez chwilę

³⁸⁷ *Onan* — postać z biblijnej Księgi Rodzaju, patrz felieton *Autorytety*. [przypis edytorski]

³⁸⁸ *dzieciństwach* — dziś: *dziecinadach*. [przypis edytorski]

³⁸⁹ *Diderot, Denis* (1713–1784) — francuski pisarz, krytyk i filozof, współredaktor *Wielkiej Encyklopedii Francuskiej*, autor powiastki filozoficznej *Kubuś Fatalista i jego pan*. [przypis edytorski]

³⁹⁰ *Russell, Bertrand* (1872–1970) — brytyjski filozof, matematyk i logik, a także działacz społeczny i eseista, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury (1950). [przypis edytorski]

³⁹¹ *Malinowski, Bronisław* (1884–1942) — etnolog, socjolog i religioznawca, autor koncepcji „obserwacji uczestniczącej”. [przypis edytorski]

jednakie, pod sklepieniem groty, która grozi zawaleniem, u stóp drzewa, które murszeje, na kamieniu, który się obluźnia?”

Rzecz znamienita: racjonalizm XVIII wieku więcej troszczył się o oczyszczenie życia z zabobonów obyczajowych niż o przewrót polityczny; i oto, wręcz przeciwnie, rewolucja francuska przyniosła przewrót polityczny, ale nie tknęła prawie owych zabobonów, które w nowych warunkach egzystencji powykrzywiały się tym poczwarniej. Zbrojny i lekceważący ludzi pośpiech Napoleona, reakcja klerykalna, romantyzm literacki pociesznie zaszczerpiony na mieszczańskie ciasnocie, wszystko to utopiło na wiek cały wszelką śmielszą myśl obyczajową. Sceptyczne i liberalne mieszczaństwo okazało się w wielu punktach — np. w kulcie dziewictwa — surowsze od arystokracji i od chłopów. Parodia ascezy w materialistycznej i hedonistycznej burżuazji XIX wieku to jedna z zabawniejszych „komedii ludzkich”.

Tak więc, straciwszy półtora wieku bez mała, zaczynamy dyskusję w punkcie, w którym ją przerwano; słuchamy jako nowości rzeczy, które były powiedziane — nieraz śmielej — sto pięćdziesiąt lat temu. Z tą różnicą, że gdy wówczas nie można ich było drukować, dziś drukuje się je dość swobodnie, można mówić o nich głośno. A gdyby kto uważał, że ja za często wracam do tych zagadnień, proszę, niech porówna ilość czernidła drukarskiego zużywanego na te sprawy, z tym ile miejsca zajmują one w życiu i w myślach poszczególnych obywateli, oraz z sumą tego, co się pisze co dzień o sprawach związanych z głodem żołądka. Bardzo to pięknie, że łamiemy ręce nad wagonami zboża topionymi w morzu, ale równie pilnie trzeba radzić nad pudami³⁹² szczęścia ludzkiego, wciąż jeszcze topionymi w morzu głupstwa, obludy i niezaradności.

³⁹²*pud* — jednostka masy w dawnej Rosji, przen. wielki ciężar. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/zmysly-zmysly>

Tekst opracowany na podstawie: Tadeusz Boy-Żeleński, *Zmysły... zmysły*, Biblioteka Boya, Warszawa 1932

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Łukasza Jachowicza.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Marta Niedziałkowska, Małgorzata Wrzesień, Paulina Choromańska, Paweł Kozioł.

ISBN 978-83-288-0105-9

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.